Kartuskie Zeszyty Muzealne

6/2021

Kartuskie Zeszyty Muzealne

6/2021

pod redakcją
Barbary Kąkol

Kartuzy 2021

Komitet Redakcyjny
Barbara Kąkol – redaktor naczelny
dr Marian Jeliński
Ryszard Mielewczyk
prof. Marian Szarmach
Maria Wanke

Recenzent
dr Elżbieta Bugajna

Fotografie współczesne
Ryszard Mielewczyk, Barbara Konkol, Błażej Kwidziński

Zdjęcia archiwalne ze zbiorów
Andrzeja Dąbrowskiego, Krzysztofa Kowalkowskiego,
Dariusza Dolatowskiego, Barbary Kąkol

Korekta tekstów kaszubskich
Gracjana Pòtrëkùs

Korekta
Ewa Krefft-Bladoszewska, Grzegorz Szczepaniak, Wioletta Plichta

Projekt okładki
Błażej Kwidziński

Przygotowanie okładki
Izabela Rzońca

© Copyright by
Muzeum Kaszubskie im. Franciszka Tredera w Kartuzach 2021

ISSN 2451–3040

Wydawca
Muzeum Kaszubskie im. Franciszka Tredera w Kartuzach
Towarzystwo Przyjaciół Muzeum Kaszubskiego
im. F. Brzezińskiego w Kartuzach

Druk
Wydawnictwo REGION Jarosław Ellwart
81-574 Gdynia, Goska 8
biuro@wydawnictworegion.pl

SPIS TREŚCI

Słowo wstępne 7

ARTYKUŁY

Dariusz Dolatowski
Zuzanna Dolatowska (1935–1961) – kartuska nauczycielka. In memoria w 60. rocznicę śmierci 9

Marian Jeliński
Hafciarstwo kaszubskie szkoły żukowskiej / Kaszëbsczé wësziwanié żukòwsczégò sztélu z Krajowej listy niematerialnego dziedzictwa kulturowego 15

Krzysztof Kowalkowski
Edmund Kowalkowski (1839–1880) – nauczyciel w Mirachowie i Goręczynie 25

MATERIAŁY ŹRÓDŁOWE

Andrzej Dąbrowski
Dzieje rodziny Dąbrowskich z Dąbrówki i Borku w mojej pamięci 37

Barbara Kąkol
Wspomnienie Nowego Tuchomia 91

Edward Kolanek
Cała historia „Niebieskich Beretów" w jednym życiorysie. Wspomnienia ppłk w st. spocz. Edwarda Kolanka 105

Tomasz Rembalski

Wykazy dóbr szlacheckich dla okręgu kartuskiego z lat 1833–1834 111

KRONIKA

Barbara Kąkol

Sprawozdanie z działalności merytorycznej Muzeum Kaszubskiego im. Franciszka Tredera w Kartuzach za 2021 rok 139

Maria Wanke

Sprawozdanie Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Kaszubskiego im. F. Brzezińskiego w Kartuzach za 2021 rok 147

* * *

Galeria fotografii 149

SŁOWO WSTĘPNE

Szanowni Państwo,

przedstawiamy Państwu kolejny – szósty – numer Kartuskich Zeszytów Muzealnych. Jest on efektem pracy wielu autorów. Przeważająca jego część zawiera materiały źródłowe, które dokumentują losy mieszkańców, a także strukturę społeczną powiatu kartuskiego. Pierwszy z artykułów autorstwa Dariusza Dolatowskiego poświęcony jest pamięci Zuzanny Dolatowskiej w 60. rocznicę jej śmierci. Będzie on – mam nadzieję – znaczną pomocą dla osób piszących prace na temat nauczycieli powiatu kartuskiego w okresie powojennym. Dużą wartość w artykule mają fotografie utrwalające miejsca, budowle, których już nie ma lub które dziś wyglądają zupełnie inaczej.

Kolejny artykuł wyszedł spod pióra znanego gdańskiego genealoga-amatora, Krzysztofa Kowalkowskiego, który od lat zajmuje się dziejami swojej rodziny. Tym razem tematem jego tekstu jest biografia Edmunda Kowalkowskiego (1839–1880), nauczyciela w Mirachowie i Goręczynie. Nie należy mylić tej postaci z Edmundem Kowalkowskim, dekoratorem kościołów w Kartuzach i Sianowie, którego biogram ukazał się w trzecim numerze Kartuskich Zeszytów Muzealnych. Opracowanie obfituje w liczne szczegóły, które autor znalazł w literaturze przedmiotu oraz w zasobach archiwalnych, głównie w metrykach kościelnych i aktach urzędów stanu cywilnego.

Tekst Barbary Kąkol, podobnie jak poprzedni artykuł, dotyczy historii rodziny. Autorka wspomina swoje dzieciństwo spędzone w miejscowości Nowy Tuchom.

Edward Kolanek w niniejszym tomie pisze o legendarnych niebieskich beretach, jedynego w dziejach sił zbrojnych Polski związku taktycznego piechoty morskiej. „Niebieskie berety" stanowiły wizytówkę sił zbrojnych w okresie PRL-u na Pomorzu.

Spod pióra Andrzeja Dąbrowskiego wyszedł tekst pt. *Dzieje rodu Dąbrowskich z Dąbrówki i Borku*. Autor, w oparciu o wspomnienia i podania rodzinne, opisuje koleje rodziny, mającej duże tradycje kowalskie. Szczególnie dużą wartość historyczną mają opisy pracy w kuźni i gospodarstwie rolnym, a także nazewnictwo kaszubskie. Artykuł rozpoczyna opis dziejów drobnoszlacheckiej rodziny Dąbrowskich od czasów króla Jana III Sobieskiego. Nawiązuje do pięknej legendy o nobilitacji kaszubskich chłopów przez tego króla, przypisując genezę swojego rodu temuż monarsze.

Należy zauważyć, że początki szlachty kaszubskiej są dużo wcześniejsze, gdyż sięgają średniowiecza. Wybitny specjalista w tej dziedzinie, dr Tomasz Rembalski, napisał wiele artykułów na ten temat. W niniejszym tomie został opublikowany tegoż autora artykuł pt. *Wykazy dóbr szlacheckich dla okręgu kartuskiego z lat 1833–1834*. Ma on dużą wartość historyczną dla badaczy tego zagadnienia, a także stanowić będzie ciekawą lekturę dla lokalnej społeczności Kartuz i powiatu kartuskiego.

Ponadto w tomie znajdą Państwo sprawozdania, podsumowujące roczną działalność Muzeum Kaszubskiego im. F. Tredera i Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Kaszubskiego im. F. Brzezińskiego w Kartuzach.

Redaktor naczelna
Barbara Kąkol

Dariusz Dolatowski

ZUZANNA DOLATOWSKA (1935–1961) – KARTUSKA NAUCZYCIELKA. IN MEMORIA W 60. ROCZNICĘ ŚMIERCI

Urodziła się 15 kwietnia 1935 roku w Przepaści w powiecie Opatów w gospodarskiej rodzinie Stanisława Chmiela i Petroneli z domu Okleka zamieszkałej w Żurawicy w gminie Obrazów, gdzie prowadzili niewielkie gospodarstwo rolne. Mieli oni jeszcze dwóch starszych synów – Józefa (zmarł 1 stycznia 1945 roku) i Jana.

Naukę w siedmioklasowej szkole podstawowej (zwanej ówcześnie szkołą ogólnokształcącą stopnia podstawowego) Zuzanna kontynuowała w Obrazowie w powiecie sandomierskim. Tu działała aktywnie w drużynie harcerskiej. Naukę zakończyła 23 czerwca 1950 roku. Już wtedy kiełkowała w niej myśl o podjęciu w przyszłości pracy w szkolnictwie w charakterze nauczycielki. W celu realizacji swych planów we wrześniu 1950 roku podjęła naukę w czteroletnim Państwowym Liceum Pedagogicznym w Sandomierzu, które przygotowywało przyszłych

SWIADECTWO DOJRZAŁOŚCI
LICEUM PEDAGOGICZNEGO

Chmiel Zuzanna

Opatów

Kielcach

Sandomierzu

Sandomierz dnia 25 czerwca 19 61 r.

Nr 4

Il. 1.

Il. 2. Zuzanna Dolatowska z koleżanką przed budynkiem Muzeum Kaszubskiego w Kartuzach

nauczycieli do pracy w szkolnictwie podstawowym w klasach I–IV. Naukę, sfinalizowaną egzaminem dojrzałości i uzyskaniem wykształcenia średniego pedagogicznego, ukończyła 25 czerwca 1954 roku, po czym nakazem pracy została skierowana do pracy na Kaszubach w Szkole Podstawowej w Kamienicy Szlacheckiej. Wraz z nią na Ziemię Kaszubską przybyli dwaj jej koledzy i najbliższa przyjaciółka z klasy: Józef Morawski ze Stefanówka [nauczyciel Szkoły Podstawowej nr 1 i Szkoły Podstawowej nr 2 w Kartuzach, od 1963 roku zastępca inspektora szkolnego ds. kultury, późniejszy przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej w Kartuzach (1969–73), pracownik Wydziału Organizacyjno-Prawnego Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Kartuzach, dyrektor Powiatowego Zarządu Ekonomiczno-Administracyjnego Szkół], Krystyna Małysa z Żurawicy (nauczycielka języka polskiego w Sianowie), Dębowski.

9 października 1954 roku Zuzanna wyszła za mąż za Albina Dolatowskiego, który z zawodu był ślusarzem okrętowym. Zamieszkała u teściów, Tadeusza i Zofii Dolatowskich w Kartuzach przy ulicy Majkowskiego 27 (u państwa Lewańczyków). Wkrótce zmieniła miejsce pracy i zatrudniła się jako nauczycielka języka polskiego w Szkole Podstawowej nr 1 w Kartuzach. Po zakończeniu służby wojskowej

przez męża zamieszkała wraz z nim w Kartuzach przy ulicy Bernarda Wiki 10 (dziś Prokowska) u państwa Klebbów. Tu, 26 kwietnia 1957 roku, urodził się ich pierworodny syn Dariusz, a po nim, 20 stycznia 1959 roku, kolejny – Cezary Krzysztof.

1 września 1959 roku została zatrudniona na stanowisku nauczyciela języka polskiego w Szkole Podstawowej nr 3 w Kartuzach. Decyzją Rady Pedagogicznej z dnia 28 sierpnia 1959 roku powierzono jej też obowiązki wychowawcy klasy IV B. Została też członkiem ogniska Związku Nauczycielstwa Polskiego i prowadziła Szkolną Kasę Oszczędności.

Il. 3. Zuzanna Dolatowska wraz z mężem

Il. 4.

W tym czasie zamieszkała wraz z rodziną w służbowym mieszkaniu męża w kamienicy przy ulicy Jeziornej 36 (naprzeciw przedszkola mieszczącego się w siedzibie dawnego nadleśnictwa, do którego uczęszczał syn Dariusz). Tu doszło 27 lipca 1959 roku do tragedii, której ofiarą był zaledwie półroczny syn Cezary Krzysztof.

Do kolejnej tragedii doszło wieczorem 13 maja 1961 roku, kiedy to Zuzanna Dolatowska powróciła z pracy do domu, gdzie zajęła się karmieniem hodowanych przez siebie kaczek. Wtedy to wskutek dotknięcia lampy grzewczej doszło do śmiertelnego porażenia jej prądem. Przy trumnie zmarłej nauczycielki i wychowawczyni wraz z rodziną czuwały warty honorowe. Na kilka dni w szkole zamarł cały powszedni gwar.

Pogrzeb, jakiego Kartuzy nie widziały od chwili pochówku Aleksandra Majkowskiego, odbył się 17 maja o godzinie 14.00. Wzięła w nim udział młodzież szkolna ze wszystkich szkół, w których uczyła zmarła, nauczyciele, przedstawiciele Związku Nauczycielstwa Polskiego, harcerze, społeczeństwo miasta, delegacje zakładów pracy i organizacji społecznych oraz orkiestra kolejowa z Gdańska. Przemówienie nad grobem wygłosił kierownik Szkoły Podstawowej nr 3, Leon Brylowski. Do dzisiaj jest wspominana przez swych dawnych uczniów i wychowanków z wielką sympatią i życzliwością.

Il. 5.

Il. 6. Kondukt żałobny podczas pogrzebu Zuzanny Dolatowskiej

Il. 7.

Il. 8. Kondukt żałobny podczas pogrzebu Zuzanny Dolatowskiej

Il. 9.

KARTUSKIE ZESZYTY MUZEALNE
NR 6/2021
ARTYKUŁY

Marian Jeliński

HAFCIARSTWO KASZUBSKIE SZKOŁY ŻUKOWSKIEJ/KASZËBSCZÉ WËSZIWANIÉ ŻUKÒWSCZÉGÒ SZTÉLU Z KRAJOWEJ LISTY NIEMATERIALNEGO DZIEDZICTWA KULTUROWEGO

W 2015 roku hafciarstwo kaszubskie szkoły żukowskiej (*Kaszëbsczé wëszìwanié żukòwsczégò sztélu*) zostało wpisane na Krajową listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego. Fundacja Skansenu Pszczelarskiego w Żukowie była wnioskodawcą, zaś inicjatywę wsparła hafciarka ludowa, Wanda Dzierzgowska. Narodowemu Instytutowi Dziedzictwa (NID) przedstawiono listę planowanych działań na lata 2016–2020. Okres ten minął, a Fundacja została zobowiązana do złożenia w NID sprawozdania z realizacji planu oraz do przygotowania dalszych propozycji działań związanych z ochroną hafciarstwa kaszubskiego szkoły żukowskiej. Celem tego planu było wzmacnianie przekazywania wiedzy o hafciarstwie kaszubskim kolejnym pokoleniom. Istotne jest to, że haftowane bluzki oraz fartuszki noszą np. przedstawicielki kaszubskich zespołów pieśni i tańca. Funkcjonowanie tych zespołów wymaga stałego dopływu nowych haftowanych bluzek oraz fartuszków[1].

[1] F. Kwidziński, *Kaszubskie stroje ludowe*, Kartuzy, 1998, s. 7–8, 18.

O hafciarskich wyrobach wspomniał już w 1880 roku kaszubski poeta – Derdowski[2] (1990). Napisał on o pani Czorlińskiej, która wyruszając w drogę: *Jesz schòwała so do pùdła nową jedwabnicã, Złotogłòwã*... Tu należy zaznaczyć, że dwa wymienione stare wyrazy nie trafiły do słowniczka na końcu tej niewielkiej książki, ale według Sychty – jedwabnica to jedwabny czepiec bogato haftowany, istotny w dawnym ubraniu mężatek kaszubskich[3]. Drogi jedwab zastąpiono jednak później płótnem lnianym. Pewnie było to związane ze stwierdzeniem Romanowa[4], że po kasacji żukowskiego klasztoru w 1834 roku zakonnice przekazały swe umiejętności miejscowym dziewczętom, te z kolei kontynuowały oraz twórczo rozwinęły tradycję i sztukę pięknego haftu w Żukowie. Hafciarstwo kaszubskie szkoły żukowskiej to temat, który od dawna wzbudza zainteresowanie mieszkańców Kaszub i turystów. Ten haft to jeden z najważniejszych i najefektowniejszych wytworów kultury kaszubskiej.

Planuje się, że po zakończeniu planu działań na lata 2016–2020 nadal przekazywana będzie wiedza o hafciarstwie kaszubskim młodym osobom. Jest to też wkład w budowanie tożsamości i przypomnienie pewnych momentów nowej historii. Brak przekazywania wiedzy o hafciarstwie kaszubskim kolejnym pokoleniom spowodowałby zapewne wykreślenie go z krajowej listy.

Dla hafciarstwa kaszubskiego szkoły żukowskiej istotne jest nazwisko Ptach. Ponad 50 lat temu pojawił się w 1967 roku maszynopis i rękopis – Ptach, Grzędzickiego i in.[5] – opracowania, które znajduje się w Muzeum Parafialnym w Żukowie. Jest ono przykładem

---

[2] H. J. Derdowski, *O panu Czorlińscim co do Pucka po sece jachoł*, Gdańsk 1990, s. 98; J. Derdowski, *O panu Czorlińscim co do Pucka po sece jachoł*, Toruń 1880, s. 94. https://polona.pl/item/o-panu-czorlinscim-co-do-pucka-po-sece-jachol,ODA0OTUw/6/ (dostęp: 08.06.2021).

[3] B. Sychta, *Słownik gwar kaszubskich na tle kultury ludowej*, Wrocław–Warszawa–Kraków 1968, tom II, s. 92.

[4] A. Romanow, *Dzieje Żukowa w latach 1818–1920* [w:] *Dzieje Żukowa*, pod red. B. Śliwiński, Żukowo 2003, s. 158.

[5] J. Ptach, A. Grzędzicki i in., *Księga wiadomości o środowisku wsi Żukowo*, Żukowo, listopad 1967, (maszynopis i rękopis).

innowacyjnych rozwiązań i indywidualnej kreatywności, dorobkiem wyjątkowo utalentowanej hafciarki – Jadwigi Ptach (1902–1968)[6]. Do tego opracowania trafiły kolorowe elementy haftu kaszubskiego wykonane i nazwane przez tę znaną hafciarkę. Wiele z nich opublikowano na przełomie lat 2005/2006 w „Czasie Żukowa" nr 11/05 i dłuższy czas były one dostępne w internecie, do dziś zachowała się jednak tylko wersja papierowa[7]. Niestety, do tekstu zakradły się pewne pomyłki i z niejasnych powodów pominięto pierwszą stronę z kolorowymi elementami. Opublikowane elementy mają podobne znaczenie, jak motywy Teodory Gulgowskiej z Wdzydz. Gulgowski – mąż Teodory – napisał, że Wdzydze są właściwie kolebką odrodzenia haftu kaszubskiego[8]. Autor ten (1924) zauważył również, że klasztor w Żukowie, ówczesnej wsi koło Kartuz, miał duży wpływ na kulturę kaszubską[9]. Błaszkowski[10] wyraził życzenie, aby klasztory w Żarnowcu i Żukowie były wielkimi ogniskami kultury kaszubskiej. Stelmachowska[11] napisała, że około 1910 roku centrum hafciarskie na Kaszubach istniało m.in. w Żukowie u gospodarzy Ptachów, a nie tylko we Wdzydzach. Przeździecka[12] poinformowała, że według

---

[6] M. Jeliński, *Haft kaszubski szkoły żukowskiej – przeszłość i współczesność: materiały monograficzne*, Gdynia, 2006, s. 40. [wyjątki w:] https://www.zukowo.pl/pl/index.php?id=211#sub_mid (dostęp: 08.06.2021).

[7] M. Jeliński, *Motywy w hafcie kaszubskim szkoły żukowskiej*, „Czas Żukowa" 2005/2006, nr 11/05 (50), s. 2–3.

[8] I. Gulgowski, *Hafty ludowe na Kaszubach*, „Przemysł, Rzemiosło, Sztuka" 1924, nr 2, s. 13. http://bcpw.bg.pw.edu.pl/dlibra/doccontent?id=6527 (dostęp: 08.06.2021).

[9] I. Gulgowski, *Hafty…*, dz. cyt., s. 12. http://bcpw.bg.pw.edu.pl/dlibra/doccontent?id=6527 (dostęp: 08.06.2021).

[10] W. Błaszkowski, *Struktura etniczna i folklor kaszubski*, Gdańsk 1960, s. 62 (na prawach rękopisu).

[11] B. Stelmachowska, *Na marginesie dyskusji o hafcie kaszubskim*, „Polska Sztuka Ludowa" 1955, nr 3, s. 172. http://www.lib.pia.org.pl/Content/3791/Strony%20od%20PSL_IX_nr3-3_sprawozdania.pdf (dostęp: 08.06.2021).

[12] M. Przeździecka, *Zagadnienie genezy haftów kaszubskich*, „Polska Sztuka Ludowa" 1958, R. 12, nr 3, s. 149. [wyjątki w:] https://books.google.pl/books?id=pH_WAAAAMAAJ&q=%C5%BBukowie&hl=pl&source=gbs_word_cloud_r&cad=5 (dostęp: 08.06.2021).

krawca Uhlenberga urodzonego w 1887 roku, prawie 50 lat starsza od niego Pelowska z domu Wendk w Przodkowie wykonywała kolorowe hafty na serwetkach, a zapytana odpowiedziała, że nauczono ją haftowania w klasztorku w Żukowie. Autorka ta podała też, że Jadwiga Ptach projektowała wzory. Według Stróżyk[13] Gulgowska była jednak pierwszą autorką wzorów haftu kaszubskiego, a nie siostry Ptachówny: Jadwiga i Zofia.

W ciągu dziesięcioleci powstały instytucje i programy na poziomie społeczności lokalnej oraz międzywojewódzkim na rzecz utrzymania, promocji oraz w pewnym stopniu ochrony m.in. hafciarstwa kaszubskiego szkoły żukowskiej:

– Regionalna Spółdzielnia Pracy Rękodzieła Ludowego i Artystycznego – Cepelia w Kartuzach (1950–1990),

– Muzeum Kaszubskie w Kartuzach (od 1945),

– Konkurs i pokonkursowa wystawa haftu kaszubskiego w Lini (od 1996),

– Międzywojewódzkie Konkursy w Bydgoszczy pn. „Współczesna sztuka ludowa Kaszub" (1985–1997),

– Konkurs Współczesnej Sztuki Ludowej Kaszub organizowany przez Muzeum Historyczno- Etnograficzne w Chojnicach,

– Jarmark Dominikański w Gdańsku,

– Plenery twórców ludowych w Kaszubskim Uniwersytecie Ludowym i wystawa w Wieżycy[14],

– Jarmark Wdzydzki we Wdzydzach Kiszewskich (od 1973),

– Regularne organizowanie imprez w celu promowania hafciarstwa, np. pokonkursowe wystawy haftu kaszubskiego w Żukowie czy hafty widoczne podczas Zjazdów Kaszubów.

Rada Miejska w Żukowie podkreśliła również znaczenie haftu i wspiera wpis hafciarstwa kaszubskiego szkoły żukowskiej na listę reprezentatywną niematerialnego dziedzictwa kulturowego UNESCO. Aktualnie przyczynia się to do promowania tego hafciarstwa

[13] P. Stróżyk, *Działalność nowożytnych klasztornych pracowni hafciarskich na przykładzie Żarnowca*, „Rocznik Gdański" organ Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku (2013–2014), T. 73–74, wyd. 2016, s. 47–70.

[14] M. Jeliński, *Haft…*, dz. cyt., s. 33.

w kraju. Od wielu lat Ośrodek Kultury i Sportu w Żukowie organizuje m.in. przyznawanie ludziom kultury, np. hafciarkom, Gminnej Nagrody Artystycznej „Sucovia".

Wydrukowano też książki, np. Błaszkowskiego[15], istnieją prace opublikowane przez samorząd i Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie – *Wzory haftu kaszubskiego. Szkoła żukowska*[16] (m.in. czasopismo „Pomerania" publikuje od wielu lat dane o hafcie kaszubskim – np. Anonim[17], w pewnym stopniu czyni to też kwartalnik „Twórczość Ludowa" oraz gazeta „Dziennik Bałtycki"). Istnieje również dokumentacja w Muzeum Kaszubskim w Kartuzach.

Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego sprawuje patronat nad wyróżnieniami honorowymi, np.:

– Przyznawanie Medalu „Zasłużony Kulturze Gloria Artis", a wręczono go m.in. hafciarce Wandzie Dzierzgowskiej z Żukowa.

– Przyznawanie odznaki honorowej „Zasłużony dla Kultury Polskiej", a otrzymała ją m.in. hafciarka Wanda Dzierzgowska.

– Udzielane jest też wsparcie finansowe z budżetu Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, a dotyczy to m.in. hafciarek z Żukowa.

Głównie wysiłek hafciarek powinien zapewnić przekazywanie tradycji hafciarstwa kaszubskiego szkoły żukowskiej kolejnym pokoleniom, aby trwało ono w przyszłości.

Społeczności Żukowa udało się w dużym stopniu utrzymać i chronić swoje dziedzictwo w ciągu ostatnich ponad 65 lat, co ma znacznie w skali krajowej i międzynarodowej.

Zrealizowane i planowane środki zabezpieczające:

– Grudzień 2014 – Fundacja Skansenu Pszczelarskiego złożyła wniosek o wsparcie finansowe projektu, aby opracować strategię kontynuowania hafciarstwa w Żukowie z zamiarem wpisu hafciarstwa kaszubskiego szkoły żukowskiej na Krajową listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego,

---

[15] W. Błaszkowski, *Haft kaszubski*: [katalog], Gdańsk, 1965.

[16] *Wzory haftu kaszubskiego. Szkoła żukowska*, Gdańsk 2007.

[17] Anonim: *Lëniô. Swiãto wësziwkù*, „Pomerania" 2016, nr 7–8 (500), s. 77.

– 2015 lokalne muzeum w Żukowie udostępniło zbiory, a głównie hafty do filmowania,

– 2015 wyświetlono filmy o hafciarkach żukowskich w sali Urzędu Miasta i Gminy w Żukowie,

– trzy hafciarki w Żukowie, które mają znaczne zbiory haftów (w tym bluzki i fartuszki), włączyły się we wspólną realizację zadań,

– trzy szkoły w Żukowie realizowały edukację hafciarską, ale jest to dla dzieci i młodzieży nieformalne uczenie się, a jego kontynuacja jest planowanym środkiem zabezpieczającym,

– podnoszenie świadomości i przekazywanie wiedzy o kulturze i historii Kaszub w szkołach też ma swoje pozytywne znaczenie. W podręcznikach dla nauczycieli bywają dane o haftach żukowskich,

– pozalekcyjne kółka oferują możliwość uczenia się kaszubskiego haftu,

– przekazywanie wiedzy i umiejętności kolejnym pokoleniom jest tu podstawowym celem, który jednoczy członków grupy zainteresowanych ochroną hafciarstwa, a to zapewnia stały dopływ młodych hafciarek (hafciarzy jest niewiele),

– wystawy pokonkursowe haftu tworzą fora, które oferują możliwość interakcji wszystkich pokoleń, a ich kontynuowanie jest planowanym środkiem zabezpieczającym.

Lokalny etnograf, Wojciech Błaszkowski, badał hafciarstwo w Żukowie, a zapewne studenci ze Słupska i w pewnym stopniu z Gdańska nadal będą prowadzić badania z nim związane. Z Żukowa pochodzi też osoba, która przygotowuje pracę doktorską o współczesnych twórcach haftu kaszubskiego.

Zgodnie z programem nauczania języka kaszubskiego uczniowie posiądą podstawowe informacje w zakresie m.in. takich treści kształcenia jak haft kaszubski (kolorystyka, wzornictwo na odzież), a mowa jest też o warsztatach[18]. Uczennice klasy V Parafialnej Szkoły

[18] Rozporządzenie Ministra Edukacji Narodowej z dnia 14 lutego 2017 r. w sprawie podstawy programowej wychowania przedszkolnego oraz podstawy programowej kształcenia ogólnego dla szkoły podstawowej, w tym dla uczniów z niepełnosprawnością intelektualną w stopniu umiarkowanym lub znacznym, kształcenia ogólnego dla branżowej szkoły I stopnia, kształcenia ogólnego dla szkoły specjalnej

Podstawowej w Żukowie potwierdziły, że wykonanie haftu w ich wieku jest całkowicie realne. W książce pt. *Ùczba kaszëbsczégo jãzëka w szkòle*[19] wymieniono m.in.: *Sédem farwów kaszëbsczégò wësziwkù żukòwsczégò sztélu: cemnomòdri, czerwiony, czôrny, jasnomòdri, mòdri, zelony i żôłti*. Liczba siedmiu kolorów w tradycyjnym hafcie kaszubskim w Żukowie potwierdzona jest w warszawskim opracowaniu[20].

W latach 2016–2020 na konkursy w Lini, pow. wejherowski, wiele haftów przygotowali uczniowie z Żukowa: Szkoły Podstawowej im. Obrońców Wybrzeża i Parafialnej Szkoły Podstawowej, a w pewnym czasie też Publicznego Gimnazjum nr 2. W kategorii szkół podstawowych wystąpiło tam wielu uczniów, uzyskując nierzadko pierwsze miejsca. W 2020 roku, z powodu ograniczeń związanych z pandemią Covid-19, wystawa haftów zaplanowana została dopiero na wrzesień[21].

Opiekunką koła hafciarskiego, uczącą dzieci tej sztuki i jej motywów[22], jest głównie Bernadeta Reglińska, a jej matka, Monika Hildebrand, to uczennica sióstr Zofii i Jadwigi Ptach[23]. Starsza z nich, Zofia[24], która zmarła w 1970 roku[25], zabrała głos w sprawie kolorów haftu w Żukowie w 1953 roku[26]. B. Reglińską wspiera Maria Płotka i czasem nauczycielka języka kaszubskiego.

---

przysposabiającej do pracy oraz kształcenia ogólnego dla szkoły policealnej, Dz. U. 2017 poz. 356, s. 51–52.

[19] W. Czedrowskô, D. Pioch i J. Tréder, *Ùczba kaszëbsczégo jãzëka w szkòle. Materiałë dlô szkólnëch. Programy, rozkłady, konspekty i scenariusze*, Gduńsk 2001, s. 101.

[20] L. Buczek i A. Fiszerowa, *Studium w zakresie współczesnego haftu kaszubskiego i możliwości włączenia inwencji plastycznych hafciarek z Żukowa do wzornictwa przemysłowego*, Warszawa: Instytut Wzornictwa Przemysłowego, 1963 (maszynopis niepublikowany ze zbiorów IWP, a autor bardzo dziękuje za jego użyczenie).

[21] Red., *Lëniô. Warô kònkùrs wësziwù*, „Pomerania" 2020, nr 5 (542), s. 63.

[22] B. Rezmer, *Jak haftować po kaszubsku*, Gdańsk, 1982, s. 45–49.

[23] B. M. Reglińska i M. Jeliński, *Wspomnienie o hafciarce Monice Hildebrand*, „Twórczość Ludowa" 2004, R. XIX, nr 3, s. 37.

[24] A. Grzędzicki, *Żukowo*, Gdańsk 1989, s. 63–68.

[25] E. Pryczkowski, *Leksykon Ziemi Żukowskiej*, Banino-Żukowo, 2012, s. 84; M. Jeliński, *Haft…*, dz. cyt., s. 41.

[26] Z. Ptach, *Głos hafciarek z Żukowa (Dyskusja o hafcie kaszubskim)*, „Dziennik Bałtycki" 1953, nr 76, dod. „Rejsy" s. 8.

Młodzi nauczyciele tego języka kształcą się na etnofilologii kaszubskiej Uniwersytetu Gdańskiego w Gdańsku. Dnia 30 maja 2019 roku odbyła się – ciesząca się dużym zainteresowaniem – wystawa haftów kaszubskich szkoły żukowskiej, a w tym ze zbiorów z Muzeum Kaszubskiego w Kartuzach[27], na tym Uniwersytecie[28] i były tam dwie hafciarki z Żukowa. Nieco inaczej przebiegała dłuższa wystawa haftów kaszubskich szkoły żukowskiej na Politechnice Gdańskiej[29], którą zorganizowano w 2018 roku, współpracując z Muzeum Kaszubskim w Kartuzach, a na wernisażu obecna była jego dyrektor, B. Kąkol[30].

Deklaracja wspólnoty hafciarek z 2016 roku dotycząca woli umieszczenia hafciarstwa na Liście reprezentatywnej niematerialnego dziedzictwa kulturowego ludzkości UNESCO po podpisaniu trafiła do NID. O kolejności składania wniosków do UNESCO zadecydowała Rada ds. Dziedzictwa Niematerialnego i do pierwszej trójki, niestety, nie trafiło hafciarstwo kaszubskie szkoły żukowskiej[31]. Zatem zaplanowano, że w razie potrzeby zostanie sporządzona kolejna deklaracja i będzie ona przesłana do NID w Warszawie. Pewnie propozycja wpisu hafciarstwa kaszubskiego szkoły żukowskiej trafi do Paryża, tak jak było z szopkarstwem z Krakowa. W Paryżu, w siedzibie UNESCO, były już dwie hafciarki z Żukowa, jest zatem szansa na sukces.

---

[27] B. Kąkol, *Sprawozdanie z merytorycznej działalności Muzeum Kaszubskiego im. Franciszka Tredera w Kartuzach za 2019 rok*, „Kartuskie Zeszyty Muzealne" 2019, z. 4, s. 158.

[28] M. Jeliński, *Wystawa haftu kaszubskiego szkoły żukowskiej na Wydziale Filologicznym UG*, „Gazeta Uniwersytecka" czerwiec 2019, nr 3 (159), s. 23 i na okładce. https://gazeta.ug.edu.pl/wp-content/uploads/2020/07/GU_czerwiec_2019_-net.pdf (dostęp: 08.06.2021).

[29] J. Adrian-Balcer, *Kaszëbsczé wësziwanié żukòwszczégò sztélu na Politechnice Gdańskiej*, „Pismo PG" 2019, R. 26, nr 1 (235), s. 27. https://pg.edu.pl/documents/1152961/85091775/201901.pdf (dostęp: 08.06.2021).

[30] B. Kąkol, *Sprawozdanie z merytorycznej działalności Muzeum Kaszubskiego im. Franciszka Tredera w Kartuzach za 2018 rok*, „Kartuskie Zeszyty Muzealne" 2018, z. 3, s. 130. https://www.muzeum-kaszubskie.pl/images/zeszyty/KZM_3.pdf (dostęp: 08.06.2021).

[31] *J. Adrian-Balcer, Kaszëbsczé…,* dz. cyt., s. 28. https://pg.edu.pl/documents/1152961/85091775/201901.pdf (dostęp: 08.06.2021).

Warte podkreślenia jest, że nadanie tytułu księżniczki Kaszub w 2017 roku dotyczyło żukowianki. To wyróżnienie zostało przeniesione od Kaszubów w Kanadzie[32]. Nagroda związana z tym tytułem przyznawana jest młodym osobom za najlepsze prace hafciarskie, a wiąże się z promocją Żukowa, które zwane bywa kolebką haftu kaszubskiego. Ponorbertański obiekt klasztorny jest tu też często nazywany nekropolią kaszubskich księżniczek. W Żukowie spoczywa np. księżniczka Witosława – siostra Świętopełka Wielkiego, a córka księcia Mściwoja I. Do tego grona dołączyła – bardziej symbolicznie – M. Płotka z Żukowa, która zajęła pierwsze miejsca w kategorii młodzież w wojewódzkim konkursie hafciarskim w Lini. Młodą, aktywną hafciarką jest też Magda Leonarczyk. Warto podkreślić, że istnieje stypendium Burmistrza Gminy Żukowo za wybitne osiągnięcia artystyczne dla uzdolnionych dzieci i młodzieży.

Ponadto wspólnota hafciarek wyraża pilną potrzebę rozwoju wewnętrznego systemu kontroli jakości, aby gorsze imitacje haftów, produkowane maszynowo poza grupą, nie miały dużego znaczenia. Na konkursach w Lini bywał nierzadko przedstawiciel Fundacji Skansenu Pszczelarskiego, a hafciarki bywają tam regularnie. Nominacja do wpisu na Krajową listę została zainicjowana przez Fundację Skansenu Pszczelarskiego w Żukowie. Jej przedstawiciel jest łącznikiem ułatwiającym komunikację i kontakty między instytucjami lokalnymi oraz NID w przygotowaniu międzynarodowej nominacji.

Wystawy haftów kaszubskich, m.in. z Żukowa, przekroczyły już granice Polski i zapewne w Unii Europejskiej będą coraz bardziej znane. Pewne znaczenie ma tu chyba też krótki tekst w języku słowackim z fotografią haftów kaszubskich szkoły żukowskiej z Kanady[33]. Starania o umieszczenie hafciarstwa na Liście reprezentatywnej niematerialnego dziedzictwa kulturowego ludzkości UNESCO dały do tej pory ograniczone efekty, ale sytuacja w Żukowie, jak chodzi o hafty wykonywane przez młode pokolenie, pozwala z nadzieją patrzeć w przyszłość.

---

[32] D. M. Shulist, *Discovering Kashubia Europe: the fatherland of my Kashubian ancestors/Òdkrëwającë Eùropejszcé Kaszëbë: tatczëzna mòjich kaszëbsczich prastarków*, Ottawa 2018, s. 49.

[33] *Malý kašubsko-pol'sko-slovenský slovník*, „Život" 2019, R. 61, nr 10 (735), s. 33.

KARTUSKIE ZESZYTY MUZEALNE
NR 6/2021
ARTYKUŁY

Krzysztof Kowalkowski

EDMUND KOWALKOWSKI (1839–1880) – NAUCZYCIEL W MIRACHOWIE I GORĘCZYNIE

Urodził się 14 listopada 1839 roku w Chmielnie. Jego rodzicami byli: nauczyciel Ignacy Andrzej Kowalkowski[1] i Józefina z domu Konkol. Jej nazwisko pisano także Kenkoll. Sakrament chrztu otrzymał 17 listopada w Chmielnie[2]. Mało czytelne księgi parafialne nie pozwalają na podanie nazwisk rodziców chrzestnych. Edmund był najstarszym spośród 11 dzieci w tej rodzinie. Niestety, większość z jego rodzeństwa przedwcześnie zmarła. Dorosłości dożył jego brat Franciszek oraz siostra Balbina, o których wiadomo, że zawarli związki małżeńskie i doczekali się potomstwa[3].

Edmund naukę pobierał na pewno w szkole ludowej w Chmielnie pod okiem ojca. Zapewne zgodnie z obowiązującym wówczas prawem zakończył ją w wieku 14 lat, a więc w 1853 lub 1854 roku. Trudno dziś jednak ustalić, gdzie kontynuował naukę. Może Edmund ukończył tylko jedno z trzech istniejących wówczas na Pomorzu gimnazjów katolickich. Działały one wówczas w Chojnicach, Chełmnie

[1] Zob. więcej: K. Kowalkowski, *Ignacy Andrzej Kowalkowski*, Kartuskie Zeszyty Muzealne 2019, z. 4, s. 83–98.

[2] Archiwum Państwowe w Gdańsku [dalej APG], Księga chrztów parafii Chmielno 1825–1860, sygn. 1254. Brak paginacji.

[3] K. Kowalkowski, *Rodzina Kowalkowskich,* Gdańsk 1999, s. 41–51.

i Pelplinie (biskupie progimnazjum)[4]. Prawdopodobnie jednak ukończył najstarsze na Pomorzu seminarium nauczycielskie w Grudziądzu powstałe w 1816 roku. Przygotowywało ono nauczycieli do szkół polsko-katolickich. Do 1853 roku w seminarium nauczano języka polskiego w wymiarze trzech godzin tygodniowo. W następnych latach, do czasów Kulturkampfu, czterech a nawet sześciu godzin. W języku polskim przygotowywano również przyszłych nauczycieli religii, rachunków i śpiewu kościelnego. Oczywiście uczniowie musieli nauczyć się języka niemieckiego[5]. Wiadomo, że poszedł w ślady ojca i został nauczycielem. Prawdopodobnie w latach 1857–1860 kształcił się w Seminarium Nauczycielskim w Grudziądzu.

Nieznane jest miejsce pierwszej pracy Edmunda i data jej podjęcia. Może podjął ją już w 1860 roku. Jego synowie pracę nauczycieli rozpoczynali w wieku 20–21 lat[6]. Być może skierowano Edmunda do szkoły, w której pracował bardziej doświadczony nauczyciel, aby mógł nabrać wprawy w zawodzie. Niestety, nie udało się ustalić, gdzie i kiedy to było. Pierwsze sprawdzone informacje dotyczące miejsca pracy Edmunda znajdujemy w księdze ślubów parafii Chmielno. To w niej zapisano, że dnia 22 lutego 1865 roku Edmund Kowalkowski, nauczyciel z Mirachowa, zawarł związek małżeński z Pauliną Meier (jej nazwisko pisano też Mejer) z Sianowa, a ślubu udzielił im starszy brat Pauliny, ks. Marcin Meier, proboszcz parafii w Chmielnie[7]. W księdze ślubów zapisano, że Edmund miał w dniu ślubu 25 lat, a Paulina – ponad 17 lat. Rodzicami Pauliny byli Jan Meier i Róża

[4] W. Szulist, *Przeszłość obecnych obszarów diecezji pelplińskiej,* t. II, *1772–1920*, Pelplin 2006, s. 155.

[5] *Państwowe seminarium nauczycielskie męskie im. Stanisława Staszica w Grudziądzu* [w:] *Seminaria nauczycielskie poznańskiego okręgu szkolnego*. Księga zbiorowa, pod red. dr. T. Eustachewicza. Poznań 1936, s. 60.

[6] Synowie Edmunda, Bonifacy i Józef, zostawali nauczycielami, gdy mieli odpowiednio 21 i 20 lat.

[7] Ks. Marcin Meier (1828–1891). Wyświęcony w 1854 roku w Pelplinie i tu administrator parafii. W latach 1859–1882 proboszcz parafii w Chmielnie, następnie proboszcz parafii w Sępólnie i dziekan kamieński, zob. więcej: H. Mross, *Słownik biograficzny kapłanów diecezji chełmińskiej wyświęconych w latach 1821–1920*, Pelplin 1995, s. 204.

Stutzka, którzy w tym czasie mieszkali, jak to wynikało z księgi kościelnej, w Sianowie. Świadkami na ślubie Edmunda i Pauliny byli: nauczyciel Ignacy Kowalkowski z Chmielna (ojciec Edmunda) i Jan Lugart[8], proboszcz z Kartuz. Zapowiedzi przedślubne dla Edmunda ogłoszono w Chmielnie, gdzie Edmund się urodził, a dla Pauliny w Sianowie[9].

Paulina, córka gospodarza Jana Meiera i Rozalii z domu Stutzkiej, urodziła się 20 maja 1848 roku w Rzeczenicy pow. Człuchów[10]. Trudno dziś powiedzieć, co robiła młoda Paulina w Sianowie. Nie wiadomo też, czy przyjechała na teren parafii z rodzicami, czy może sama do pracy. Czy mieszkała w samym Sianowie, czy też we wsi należącej do parafii Sianowo? Do parafii należało wówczas 15 wsi i 7 przysiółków.

Odpis Poświadczenie ślubu

Poświadcza się niniejszem, że narzeczeni Edmund Kowalkowski i Paulina Meier ślub brali w tutejszym Kościele dnia 22. lutego 1865 r.

Chmielno 18. 8. 22.
Urząd parafjalny Chmielno
Ks. Hoffmann prob.

Odpis powyższy zgadza się z oryginałem
Rytel dn. 24. sierpnia 1922 r.
Urząd parafjalny
Ks. Antoni Kowalkowski.

Il. 1. Poświadczenie ślubu Edmunda i Pauliny sporządzone przez ich syna, ks. Antoniego Kowalkowskiego, ze zbiorów autora

[8] Jan Lugart (1819–1886), pochodzący z pow. kłodzkiego, święcenia kapłańskie otrzymał w 1845 roku w Pelplinie. Wikary w Grodzicznie, Sianowie, proboszcz w Jastarni. Od 3.06.1862 roku do swej śmierci proboszcz w Kartuzach. Od 1864 roku inspektor szkół ludowych w dekanacie kartuskim.

[9] Archiwum Diecezjalne w Pelplinie [dalej ADP], Księga ślubów parafii Chmielno 1825–1874, W 192.

[10] Wywód przodków Edmunda Kowalkowskiego i Pauliny Meier, sporządzony przez jedno z nieustalonych dziś dzieci Edmunda. Wywód przesłała Jadwiga Kowalkowska (1909–1995), wnuczka Edmunda. W zbiorach autora.

Choć fakt ślubu odnotowany jest w księdze parafii Chmielno, to Gertruda Kowalkowska – (elżbietanka, s. Lucentia) urodzona w 1916 roku, córka Józefa Serwacego (najmłodszego syna Edmunda) – wspominała, że ksiądz Meier przyjechał do Łapalic i tu udzielił ślubu we dworku, w którym w późniejszych latach była szkoła[11]. Dlaczego akurat ślub miałby odbyć w Łapalicach, jeśli Paulina w dniu ślubu mieszkała w Sianowie? O jaki dworek w Łapalicach chodziło? Przed 1883 rokiem istniały w Łapalicach trzy działy dóbr liczące kolejno: 386,93 ha, 259,52 ha i 193,53 ha[12]. Trudno dziś powiedzieć, ile w tej informacji jest prawdy, a ile zmienionej przez lata opowieści.

Il. 2. Edmund i Paulina Kowalkowscy przed 1880 rokiem, ze zbiorów autora

[11] Gertruda Kowalkowska, s. Lucentia, relacja ustna, Oslo 30.01.2006 rok.

[12] *Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich* (dalej cyt. SGKP), t. V, Warszawa 1884, s. 79.

Wróćmy jeszcze do sprawy podjęcia pracy przez Edmunda w Mirachowie. Willi Heidn w swojej pracy pisze, że w majątku Mirachowo ewangelicka szkoła istniała od 1789 roku i wymienia w niej kolejnych nauczycieli, wśród których nie ma Kowalkowskiego. Natomiast, według niego, szkoła katolicka we wsi powstała w 1866 roku i uczęszczało do niej w tym roku 142 dzieci. Jak widać występuje tu rozbieżność w stosunku do informacji w księdze ślubów parafii Chmielno. Być może Heidn, którego praca została wydana w 1965 roku, popełnił błąd i szkoła powstała wcześniej. Dodał także, że katolicka szkoła w Mirachowie została odciążona, gdy wybudowano nową szkołę w Bączu[13]. W innym miejscu swej pracy pisze, że szkoła w Bączu powstała w 1879 roku[14]. Natomiast, według informacji zamieszczonych na stronie Szkoły Podstawowej w Mirachowie, szkoła w tej wsi powstała w 1766 roku, a jej fundatorem był ówczesny starosta mirachowski, Ignacy Przebendowski[15].

Trudno jednoznacznie ustalić, gdzie mieszkał Edmund, pracując w Mirachowie. Czy w budynku szkoły, czy też u któregoś z gospodarzy? W 1868 roku we wsi mieszkało 316 osób, z czego 67 ewangelików, 241 katolików i 8 żydów. Natomiast w niezależnym administracyjnie majątku Mirachowo (*Gut Mirachau*) w 1868 roku mieszkało 100 ewangelików i 76 katolików. Ponadto w nadleśnictwie Mirachowo mieszkało 3 ewangelików i 2 katolików. Katolicy mieli swój kościół parafialny w Sianowie[16], zaś ewangelicy w Mirachowie[17]. W cytowanym tu *Topographisch-statistisches Handbuch*... także zapisano, że w Mirachowie w tym czasie znajdowały

---

[13] W. Heidn, *Die Ortschaften des Kreises Karthaus in Vergangenheit*, Marburg/Lahn 1965, s. 343.

[14] Tamże, s. 16.

[15] https://spmirachowo.stronyzklasa.pl/historia-szkoly,26,pl (dostęp: 14.10.2011).

[16] Dotychczasowy lokalny wikariat należący do parafii w Strzepczu został przekształcony w samodzielną parafię aktem erekcyjnym z 13.06.1864 roku, zob. więcej, E. Pryczkowski, *Świónowskô nasza Matinkó,* Banino 2016, s. 113–115.

[17] *Topographisch-statistisches Handbuch für dem Regierungsbezirk Danzig,* Danzig 1869, s. 119.

się dwie niezależne szkoły. Ewangelicka stała w majątku Mirachowo i uczęszczały do niej dzieci z Bącza, Mirachowa wsi, nadleśnictwa i majątku, Nowej Huty, Starej Huty, Staniszewa i Stryszej Budy. Razem uczęszczało 47 ewangelickich dzieci. Do szkoły katolickiej we wsi Mirachowo (*Landgemeinde Mirchau*) w 1869 roku uczęszczały dzieci z Bącza, Mirachowa wsi, nadleśnictwa i majątku, Nowej Huty, Starej Huty, nadleśnictwa Staniszewo i Stryszej Budy. Razem uczęszczało 220 dzieci[18]. Tak wielka liczba dzieci sugeruje, że w szkole katolickiej musiało pracować dwóch lub trzech nauczycieli. Inne dane dotyczące szkoły przynosi jednak *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego*..., w którym zapisano, że do katolickiej szkoły w Mirachowie w 1866 roku uczęszczało 142 dzieci z Bącza, Nowej Huty, Starej Huty, Olszowego Błota, Stryszej Budy[19]. Trudno dziś powiedzieć, skąd taka rozbieżność.

Z małżeństwa Edmunda i Pauliny urodziło się dziewięcioro dzieci. Dwoje najstarszych dzieci urodziło się w Mirachowie: Antoni Ignacy (1866-1932) i Bernard Stanisław (1867)[20], zmarł jako niemowlę. Tu warto dodać, że ojcem chrzestnym Bernarda był Jan Elwart, nauczyciel z Sianowa. Trzecie w kolejności dziecko w tej rodzinie urodziło się martwe 17 sierpnia 1868 roku w Goręczynie i tu, 20 sierpnia, zostało pochowane[21]. Pozostałe dzieci urodziły się także w Goręczynie. Są to: Hiacynt (*Hjacinth)* (1869–?), Bonifacy Adalbert (1871–1940), którego ojcem chrzestnym był goręczyński karczmarz Michael Wolff, Edmund Jan (1876–1936), Maria Regina (1878–1879) i Józef Serwacy (1880–1940), dziadek piszącego te słowa[22]. Dla porządku dodać należy, że 4 lutego 1875 roku urodziło się w tej rodzinie kolejne martwe dziecko[23]. Wieku dojrzałego dożyło pięcioro dzieci. Antoni

[18] *Topographisch-statistisches* ..., dz. cyt., s. 274–276.

[19] SGKP, t. VI, s. 488.

[20] ADP, Księga chrztów parafii Sianowo 1848–1880.

[21] ADP, Księga zgonów parafii Goręczyno maj 1867–sierpień 1917, W 348.

[22] ADP, Księga chrztów parafii Goręczyno 1869–1897, W 344.

[23] ADP, Księga zgonów parafii Goręczyno maj 1867–sierpień 1917, W 348.

Ignacy został księdzem[24], Hiacynt (Jacek) wstąpił do zakonu[25], Bonifacy Adalbert został, podobnie jak jego ojciec, nauczycielem, kolejno w Borzechowie (od 1899), Dąbrowie (od 1901), Piecach (od 1911) i Mirotkach (w latach 1916–1931). Na emeryturze mieszkał w Czersku, gdzie został aresztowany. Zginął 1 maja 1940 roku w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen[26]. Kolejny syn, Edmund Jan, był malarzem, dekoratorem kościołów[27]. Najmłodszy z synów, Józef Serwacy, był także nauczycielem w Pączewie (od 1900), Rombarku (od 1912) i Kręgu (w latach 1921–1936), a po przejściu na emeryturę był w latach 1936–1939 wójtem niezawodowym gminy Starogard wieś[28].

Brak dokładnych informacji co do przebiegu pracy zawodowej Edmunda Kowalkowskiego. Jak już wcześniej napisano, drugi syn Edmunda zmarł w listopadzie 1867 roku w Mirachowie, a trzecie w kolejności dziecko zmarło przy porodzie 17 sierpnia 1868 roku w Goręczynie. Oznacza to, że już w tym czasie Edmund był nauczycielem właśnie w tej wsi. Trudno powiedzieć, kiedy nastąpiła zmiana szkoły, ale mogło to być po wiosennym wystawieniu świadectw uczniom opuszczającym szkołę.

Goręczyno, w którym w 1867 roku zamieszkał Edmund, miało (wraz z osadą Koszowatką) 29 posiadłości gburskich, 19 zagrodników i 72 budynki mieszkalne. Stał tu katolicki kościół parafialny i szkoła katolicka[29]. W tymże 1867 roku parafia Goręczyno liczyła 2621 katolików i obejmowała 19 wsi i osad, w tym Kiełpino mające

---

[24] Zob. K. Kowalkowski, *Ks. Antoni Kowalkowski. Proboszcz, budowniczy, autor pieśni*, Pelplin 2016.

[25] Hiacynt Kowalkowski. Brak o nim informacji. Jak pokazuje zachowane zdjęcie Jacek był zakonnikiem, a przekaz rodzinny mówi, że był redemptorystą, ale nie miał święceń kapłańskich.

[26] Zob. K. Kowalkowski, *Nauczyciel Bonifacy Adalbert Kowalkowski (1871–1940),* „Zeszyty Chojnickie" 2021, nr 37.

[27] Zob. K. Kowalkowski, *Edmund Jan Kowalkowski (1876–1936). Dekorator kościołów w Kartuzach i Sianowie*, „Kartuskie Zeszyty Muzealne" 2018, z. 3, s. 85–98.

[28] Zob. K. Kowalkowski, *Józef Serwacy Kowalkowski (1880–1940) – ostatni przedwojenny wójt gminy Starogard wieś*, „Rydwan" 2011, nr 6, s. 51–56.

[29] *Słownik Geograficzny Państwa Polskiego i ziem historycznie z Polską związanych*, t. I., z. 13, pod red. S. Arnolda, Warszawa 1937–1939, s. 1558.

Il. 3. Kościół parafialny pw. Trójcy Świętej i Wszystkich Świętych w Goręczynie, stan na 2011 rok. Fot. K. Kowalkowski

kościół filialny i szkołę parafialną[30]. Proboszczem goręczyńskiej parafii w latach 1850–1883, a więc w czasie pracy Edmunda Kowalkowskiego w Goręczynie, był ks. Julius Rudolph (1819–1884)[31]. Do katolickiej szkoły, w której uczył Kowalkowski, uczęszczało 116 dzieci z Goręczyna i Ramlej. Druga katolicka szkoła była w Kiełpinie i tu uczęszczało 70 katolickich dzieci. Dzieci katolickie z pozostałych miejscowości w parafii uczęszczały do 4 ewangelickich szkół[32]. Uzupełnia te dane *Topographisch-statistisches Handbuch*... z 1869 roku, w którym czytamy, że Goręczyno wraz z osadą Koszowatką liczyło wówczas 608 mieszkańców, z czego 9 ewangelików. Było 29 gospodarzy oraz 19 zagrodników (*kathnergrundstüde*). Wieś zajmowała

[30] *Schematismus des Bisthums Culm*, Pelplin 1867, s. 161.

[31] H. Mross, *Słownik biograficzny kapłanów diecezji chełmińskiej wyświęconych w latach 1821–1920*, Pelplin 1995, s. 282.

[32] *Schematismus des Bistums Culm,* Pelplin 1867, s. 161–162.

obszar 2797 mórg. Istniał tu kościół parafialny i szkoła katolicka. Ewangelicy mieli swój kościół w Kartuzach[33].

Edmund Kowalkowski był prawdopodobnie jedynym nauczycielem w goręczyńskiej szkole. Jeśli tak, to sam musiał uczyć wszystkich wymaganych przedmiotów. Pamiętać przy tym należy, że nauka w tym czasie odbywała się w języku niemieckim, a jedynie lekcje religii prowadzono w języku polskim. W 1865 roku ograniczono nauczanie w języku polskim do klas najniższych. W klasach średnich i wyższych nauka musiała odbywać się w języku niemieckim. Następne ograniczenia wprowadzano systematycznie po zjednoczeniu w 1871 roku państw niemieckich pod przewodnictwem Prus[34]. Jak widać z powyższego, polscy nauczyciele, a wśród nich Edmund Kowalkowski, musieli stale dostosowywać swoje umiejętności do zmieniających się przepisów pruskiego państwa.

Liczba mieszkańców Goręczyna i okolicznych wsi wzrastała nieznacznie. Gdy 3 grudnia 1867 roku w Goręczynie mieszkało 608 osób, to 1 grudnia 1871 roku było to 612 osób, z czego 11 ewangelików, ale wszyscy zostali określeni jako nie Prusacy. Z tej liczby poniżej 10. roku życia było 165 dzieci. Warto tu dodać, że kształcenie zaprowadzone przez zaborcę, bez względu na jego cel, doprowadziło do tego, iż coraz więcej osób umiało czytać i pisać. We wspomnianym 1871 roku czytać i pisać w Goręczynie umiało 160 osób. Odnotowano jednak we wsi jeszcze 287 analfabetów, zapewne pośród najstarszych mieszkańców wsi oraz wśród dzieci robotników, które zmuszano do pracy kosztem uczęszczania do szkoły[35]. Willy Heidn pisze, że w 1879 roku do jednoklasowej katolickiej szkoły w Goręczynie uczęszczały także dzieci ze wsi Kolano, Schneidewind (Kolańska Huta) i Dombrowo. Jeden nauczyciel nauczał 99 dzieci: 98 katolickich i 1 ewangelickie[36].

---

[33] *Topographisch-statistisches ...,* dz. cyt., s. 106

[34] L. Burzyńska-Wentland, *Strajki szkolne w Prusach Zachodnich w latach 1906–1907*, Gdańsk 2009, s. 34–35.

[35] *Die Gemeinden und Gutsbezike des Preussischen Staates,* Berlin 1874, s. 378–379.

[36] W. Heidn, *Die Ortschaften des Kreises Karthaus in Vergangenheit*, Marburg/Lahn 1965, s.147.

Edmund Kowalkowski do śmierci mieszkał w Goręczynie, gdzie był nauczycielem. Zmarł 18 czerwca 1880 roku w Goręczynie i tu został, w dniu 22 czerwca 1880 roku, pochowany. Niestety, na goręczyńskim cmentarzu nie zachował się jego nagrobek. Siostra Lucentia, córka Józefa Serwacego (najmłodszego syna Edmunda), wspominała, że Edmund zmarł prawdopodobnie na gruźlicę[37]. Informacje o śmierci Edmunda podało pismo „Przyjaciel: pismo dla ludu". Czytamy w nim: *Kartuzy. Dnia 18 bm. nad wieczorem po 4 tygodniowej chorobie zmarł w Goręcinie nauczyciel Eduard Kowalkowski, w 40 roku życia. Pozostawił żonę i pięć młodych dzieci*[38]. Co prawda w informacji popełniono błąd w imieniu, ale na pewno mowa jest o Edmundzie Kowalkowskim.

Jak zapisano w księdze zgonów goręczyńskiej parafii, żona Edmunda – Paulina – pozostała sama z pięciorgiem dzieci: Antonim lat 14, Hiacyntem lat 9, Bonifacym lat 4 i Józefem, który urodził się 13 maja, a więc miesiąc przed śmiercią ojca[39]. Z pomocą rodzinie przyszedł brat Pauliny, ks. Marcin Meier. Wnuczka Edmunda i Pauliny, s. Lucentia, wspominała, że Paulina pracowała u swojego brata, ks. Meiera, w Chmielnie, co pozwoliło utrzymać rodzinę[40]. Marcin Meier proboszczem w Chmielnie był w latach 1859–1882. W 1881 ks. Meier miał zostać proboszczem w Bobowie, ale funkcji tej nie przyjął, gdyż z powodu złego stanu zdrowia chciał objąć mniejszą parafię. W dniu 1 marca 1882 roku otrzymał taką w Sępólnie, gdzie zmarł w 1891 roku[41]. Czy Paulina i jej dzieci przeprowadziła się razem z ks. Meierem, trudno powiedzieć. Na pewno jednak ostatnie lata swego życia Paulina spędziła u swego najstarszego syna, ks. Antoniego Kowalkowskiego, w Rytlu. Tam też mieszkała do swej śmierci.

---

[37] Gertruda Kowalkowska, s. Lucentia, relacja ustna, Oslo 30.01.2006 rok.

[38] *Rozmaitości*, „Przyjaciel: pismo dla ludu" nr 26, Toruń, dnia 24 czerwca 1880 r., s. 3.

[39] ADP, Księga zgonów parafii Goręczyno maj 1867- sierpień 1917, W 348.

[40] Gertruda Kowalkowska, s. Lucentia, relacja ustna, Oslo 30.01.2006 rok.

[41] H. Mross, *Słownik biograficzny kapłanów diecezji chełmińskiej wyświęconych w latach 1821–1920,* Pelplin 1995, s. 204.

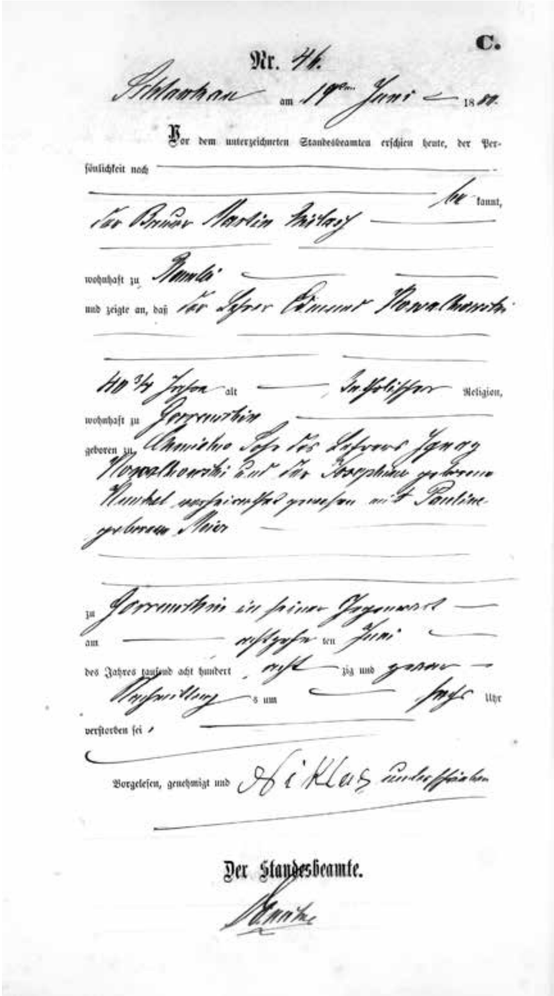

C.

Nr. 46.

[illegible] am 19ten Juni 1880

Vor dem unterzeichneten Standesbeamten erschien heute, der Persönlichkeit nach [illegible] bekannt,

der Bauer Martin [illegible]

wohnhaft zu [illegible]

und zeigte an, daß der Lehrer Edmund Kowalkowski

40 3/4 Jahre alt [illegible] Religion,

wohnhaft zu [illegible]

geboren zu [illegible]

[illegible]

zu [illegible]

am [illegible] ten Juni

des Jahres tausend acht hundert [illegible] zig und [illegible]

[illegible] s um [illegible] Uhr

verstorben sei.

Vorgelesen, genehmigt und [illegible]

Der Standesbeamte.

[illegible]

Il. 4. Akt zgonu Edmunda Kowalkowskiego, APG księga zgonów USC Goręczyno 1880 rok, sygnatura 2008/21

Paulina Kowalkowska zmarła 1 marca 1923 roku w Rytlu, mając niemal 75 lat. Pochowana została na tamtejszym cmentarzu parafialnym. Gdy zmarł jej najstarszy syn, ks. Antoni Kowalkowski, proboszcz

Il. 5. Paulina Kowalkowska ok. 1900 roku, archiwum parafii w Rytlu

tej parafii, został pochowany obok swojej matki[42]. Dziś mają jeden wspólny nagrobek postawiony staraniem parafii w 2017 roku.

[42] K. Kowalkowski, *Ks. Antoni Kowalkowski*..., dz. cyt., s. 98.

KARTUSKIE ZESZYTY MUZEALNE
NR 6/2021
MATERIAŁY ŹRÓDŁOWE

Andrzej Dąbrowski

DZIEJE RODZINY DĄBROWSKICH Z DĄBRÓWKI I BORKU W MOJEJ PAMIĘCI

Na północnych obrzeżach wsi Borek, za wsią Lemany, znajduje się osada o nazwie Dąbrówka. Zawdzięcza ona swoją nazwę mieszkającemu tu od czasów Jana III Sobieskiego szlacheckiego rodu Dąbrowskich, którego członkowie początkowo byli wyznania luterańskiego, a następnie przeszli na katolicyzm. Osada - gospodarstwo w czasach obecnych należy terytorialnie do gminy Sulęczyno. Ze względu na bliskie położenie od zwartej zabudowy wsi Lemany, Dąbrówka należy do parafii gowidlińskiej. Dąbrówka jest jedynie nazwą „ludową" w parafii gowidlińskiej, a nie prawnie zatwierdzoną czy wymienianą w dokumentach państwowych. Wykazy urzędowe z 1980 roku nie wspominają o Dąbrówce. Dawniej należała ona do parafii Świętej Trójcy w Sulęczynie. Około 1920 roku, dzięki staraniom Jana Dąbrowskiego, włączono ją do parafii gowidlińskiej.

Natomiast Borek około 1660 roku był podzielony na 11 działów, z którego jeden należał do rodziny Dąbrowskich. Tutejsi Dąbrowscy według legendy otrzymali tytuł szlachecki „von" (szlachcic zagrodowy) w nagrodę za udział w walkach zbrojnych za panowania króla Jana III Sobieskiego. Oprócz herbu szlacheckiego dostali w darowiźnie ziemię[1]. Rodzina Dąbrowskich otrzymała gospodarstwo w Borku,

[1] Jest to jeden z kaszubskich mitów. Początki szlachty kaszubskiej są dużo wcześniejsze, gdyż sięgają średniowiecza. Piękna legenda jednakowoż nie ma nic wspólnego z prawdą historyczną. Zob: T. Rembalski, *Predykaty „nobilis", „de" i „von"*

które bardzo długo prosperowało. Niestety, pod koniec XX wieku uległo ruinie. Dąbrowscy, podobnie jak inne borkowskie rodziny szlacheckie, trudnili się rolnictwem. Oprócz tego mieli prawo połowu ryb w Jeziorze Gowidlińskim. Kataster fryderycjański z lat 1772–1773 wymienia Jana Dąbrowskiego jako właściciela „działu C".Do około 1945 roku właścicielem Dąbrówki był szlachcic Jan Dąbrowski. Jan miał trzy córki: Elżbietę, Anastazję i Antoninę, którą nazywano „Zośką". Gospodarstwo wówczas miało 75 ha, zaś z lasem i jeziorem około 100 ha. Nazwisko to przetrwało tutaj na „szlacheckim" gospodarstwie do lat 90. XX wieku. Elżbieta była ostatnią osobą z rodziny Dąbrowskich zamieszkującą w Dąbrówce. Jan Dąbrowski wraz z bratem Faustynem zginęli prawdopodobnie na Wschodzie. W 1945 roku zostali internowani przez Rosjan. Ich brat Władysław był nauczycielem w Goręczynie. Jak wielu nauczycieli z powiatu kartuskiego został zamordowany w Kaliskach koło Kartuz. Jego nazwisko znajduje się na tablicy – obelisku upamiętniającym pomordowanych w czasie drugiej wojny światowej, a znajdującym się przed Szkołą Podstawową nr 1 w Kartuzach.

Bazyli i jego rodzina

Wspomnienia, które opisuję, to opowiadania mojego dziadka Bazylego, babci Marty – jego żony, mojego ojca Jana i jego braci: Franciszka z żoną Antoniną „Zośką" i Władysława z żoną Hanką. Niektóre wspomnienia mogą odbiegać od rzeczywistych opowiadań, dlatego opisuję je tak, jak je zapamiętałem.

Bazyli Antoni Dąbrowski urodził się 1.10.1887 roku, zmarł 27.11.1968 roku. Był synem Józefa, potomka jednej z gałęzi rodziny Dąbrowskich z Dąbrówki i Antoniny z domu Stenka z Gowidlina. Rodzice Bazylego zarządzali majątkiem Dąbrówka, w zamian za co mogli tam mieszkać i dzierżawić trochę ziemi na własny użytek. Na własne potrzeby mogli także korzystać z dobrodziejstwa lasu i jeziora.

w pisowni kaszubskich nazwisk szlacheckich w kontekście historycznym, „Acta Cassubiana" 2018, t. XX, s. 192–220.

Dziadek Bazylego miał czworo dzieci: Józefa (ojciec Bazylego), Marcina, Faustyna i córkę Józefinę.

Bracia Marcin i Faustyn, czyli wujowie Bazylego, wyemigrowali „za chlebem" do Ameryki przed I wojną światową. Dokładnie nie wiadomo, do jakiej części i kiedy. Bazyli – bratanek i kuzyn ich dzieci – jako jedyny z rodziny utrzymywał z nimi kontakt listowny. Ostatni list otrzymał przed II wojną światową. Pamiętam, że w Borku pozostały trzy pożółkłe zdjęcia z Ameryki. Pierwsze zdjęcie przedstawia syna Marcina albo Faustyna na tle samochodu. W głębi widać konstrukcję wieży wiatrakowej i jakieś zabudowania. Na drugim zdjęciu widzimy Ignacego Dombrowskiego. Na odwrocie fotografii zapisano ołówkiem *To jest Ignac Dombrowski*. Niestety, nie wiadomo, czyim był synem.

Il. 1.

Trzecie zdjęcie się nie zachowało. Było to zdjęcie któregoś z nich, z żoną i córką na tle terenowego samochodu ze skrzynią, w której leżały ubite jelenie z wielkimi rogami z jakiegoś polowania . Na fotografii widoczne było, że żona i córka były trochę otyłe. Na odwrocie zdjęcia zapisano: *To jest moja żona i córka „mamlocia" najmłodsza*.

Bazyli pisał do nich, o tym, że w Polsce jest bieda i czy nie mogliby wspomóc biedniejszych w rodzinie. Jeden z nich odpisał, że *mają zabrać się do roboty, bo im też samo nic z nieba nie spadnie*. Ostatnią

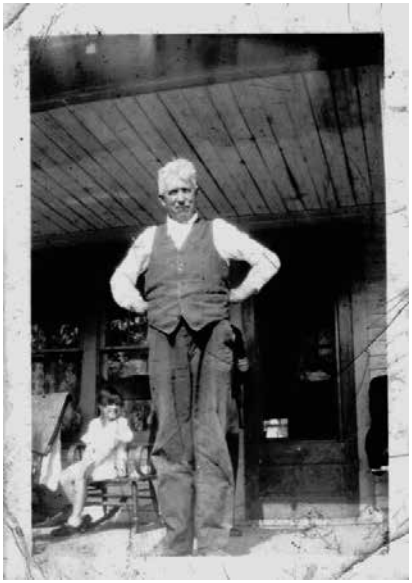

Il. 2.

wiadomością od rodziny z Ameryki był telegram o ich śmierci przed II wojną światową. Na Kaszubach wierzy się, że zmarli przed odejściem często dają jakiś znak. Tak też uważał Bazyli, który przed otrzymaniem telegramu usłyszał w kuźni na strychu dziwny hałas, przypominający wielki huk i łomot, tak jakby rozpadł się komin i cegły spadały z dachu na ziemię. Gdy wyszedł na zewnątrz, okazało się, że komin jest cały. O Józefinie, siostrze Marcina i Faustyna, niestety, nic nie wiemy.

Ojciec Bazylego – Józef – miał czworo dzieci: syna Franciszka, Teofila (ur. 20.06.1882, zm. 08.10.1953, 71 lat), pochowany w Gowidlinie, syna Bazylego (ur. 1.10.1887, zm. 27.11.1968, 81 lat), pochowany w Sulęczynie, i córkę Lucynę.

Ojciec Bazylego, Józef, jak już wyżej wspomniałem, mieszkał wraz z żoną Antoniną w Dąbrówce. Był tam duży majątek, którego zarządcą najpierw był dziadek Bazylego, a potem jego ojciec Józef. W zamian za to mogli tam mieszkać w osobnej chacie i dzierżawić trochę ziemi. Majątek należał do szlachcica Jana Dąbrowskiego, który to przejęła jego córka Zośka. Poprzez ożenek Franciszka – syna Bazylego – z Zośką, córką Jana, gospodarstwo znalazło się w rękach Dąbrowskich z linii Józefa.

Szlachcic Jan Dąbrowski w czasie II wojny światowej ukrywał w swoim domostwie ks. Franciszka Gruczę, którego poszukiwali Niemcy. W ten sposób narażał swoje życie. Gdy w 1945 roku wiadomym było, że lada dzień wkroczą Rosjanie, ksiądz Grucza doradził mu, że najlepiej będzie, jak spali swoje dokumenty. Jan, jako sołtys,

zmuszony został do podpisania Niemieckiej Listy Narodowej (NLN). Dokumenty wrzucił do pieca i spalił. Po wkroczeniu Armii Czerwonej do Dąbrówki w marcu 1945 roku, kiedy nie mógł się wylegitymować, został aresztowany przez NKWD i zesłany wraz z bratem Faustynem i z innymi Kaszubami do Związku Radzieckiego. W 1945 roku Rosjanie Pomorze i Kaszuby odbierali jako ziemie germańskie. Dlatego tak dotkliwe represje spadły na ludność cywilną. Osoby te najpierw przewożono do więzień NKWD w Ciechanowie, Grudziądzu i Działdowie. Stamtąd wyruszały transporty na Wschód. Rodzina otrzymała gryps z prośbą o ratunek. Ktoś z rodziny pojechał, ale ze względu na brak dokumentów Jana, nie można było mu pomóc. Ślad po nich zaginął. Komuś z Borku udało się jednak stamtąd wrócić.

Szczęść Boże – Jan Dąbrowski z Borka – taki napis widnieje między innymi w drzewcu Sztandaru Kółka Rolniczego z Kistowa z 1928 roku. Sztandar obecnie znajduje się w archiwum parafialnym w Sulęczynie.

***

Wróćmy do historii Józefa i jego dzieci. Franciszek i Teofil, bracia Bazylego, mieszkali w Gowidlinie w wynajmowanych mieszkaniach. Żyli skromnie. Utrzymywali się z podejmowania różnych prac.

Teofil chyba był szewcem. Miał z pierwszą żoną dwoje dzieci – córkę i syna – chorych na dziecięce porażenie mózgowe. Poznałem ich podczas mojej wizyty z babcią Martą u nich w domu w Gowidlinie. Mogli mieć wtedy około 30 lat. Byli tam razem ze swoją mamą. Wszyscy bardzo przestraszeni i niespokojni. Okazało się, że w nocy, z soboty na niedzielę, wybuchł wielki pożar naprzeciw ich domu, po drugiej stronie drogi, która prowadzi do Starej Huty. Było to dokładnie z 7 na 8.10.1961 roku. Spaliło się wtedy kilka zabudowań.

Teofil po śmierci żony ożenił się po raz drugi. Z drugiego małżeństwa urodził się w 1925 roku syn Władysław (zmarł 12.01.2011 w wieku 86 lat). Od córki Władysława, Genowefy Szymańskiej (ur. 1953) z Rzechcina k. Potęgowa, dowiedziałem się, że w czasie II wojny światowej Władysław służył w 2 Korpusie Polskim gen. Andersa. Po wojnie wrócił z Anglii do Polski, gdzie był prześladowany i więziony przez ówczesną władzę ludową.

Lucyna, córka Józefa, wyszła za mąż za Żmudę. Mieszkała w Sylcznie k. Sulęczyna. Wiem tylko, że miała syna Ignacego, kaprala, który zginął we wrześniu 1939 w Gdyni na Oksywiu. Pochowany został na cmentarzu wojennym w Gdyni Redłowie. Na 8. tablicy zbiorowej jest jego nazwisko pod numerem 489. Było 9 tablic. Tablice 6. i 8. zginęły w 2009 roku. W latach 70. XX w. mieszkałem w Gdyni Redłowie, gdyż pracowałem w stoczni w Gdyni. Ignacy był kuzynem mojego taty. Ojciec mi o nim wspominał. Odnalazłem tę mogiłę i odwiedzam ją, gdy jestem w pobliżu. W 2011 roku w miejscu zaginionych aluminiowych tablic zamontowano nowe z tworzywa. Mogiła znajduje się w 4. rzędzie od dołu i 18. od lewej strony. Na mogile jest tablica z brązu w kształcie tarczy herbowej z napisem „IGNACY ŻMUDA", kapral, zginął (w obronie Oksywia) 19.09.1939 roku. Wiele tych tablic z brązu innych poległych żołnierzy, zostało skradzionych przez tzw. „zbieraczy złomu" i zastąpiono je plastikowymi.

Bazyli w 1907 roku ukończył pruską szkołę zawodową w Bytowie w zawodzie kowal, ślusarz, zegarmistrz, blacharz. Praktykę odbył u kowala Martina Wirkusa w Jamnie. Kopię świadectwa ukończenia szkoły rodzina przekazała muzeum w Kartuzach i Bytowie.

Po ukończeniu szkoły Bazyli został powołany do służby wojskowej w armii pruskiej w Colmar – obecnie na południu Francji w górach Wogezach (Alpy). Była to jednostka strzelców konnych, w której służył do roku 1911. Uzyskał w niej specjalizację kucia koni, na którą otrzymał stosowny dokument, który jest w posiadaniu rodziny, a kopia znajduje się w Muzeum Kaszubskim w Kartuzach. Pracował w tym rejonie jako kowal w kopalni.

Z wojska przywiózł kilka różnych pamiątek, niektóre z nich poginęły, jak: odznaki, piękny album gór Alp oraz miasta Colmar i okolic, a także porcelanowa fajka i manierka, na których widniały namalowane kolorowe scenki z motywem żołnierskim. Manierka miała metalową nakrętkę z orłem, z rozpostartymi skrzydłami, który w oczach miał soczewkę z widokiem gór, a w dziobie na łańcuszku trzymał jakiś mały proporczyk. Pozostał tylko oryginał obrazu przedstawiający Bazylego w mundurze galowym z szablą, na koniu z lancą, a także litrowy kufel – dzbanek fajansowy z kolorowymi scenkami z życia żołnierskiego. Jest

Il. 3. Świadectwo – dyplom uzyskany w Bytowie przez Bazylego Dąbrowskiego, który w latach 1904–1907 uczył się zawodu kowala

na nim także lista 42 nazwisk, w tym *von Dombrowsky*. Kopia obrazu i kufel – dzbanek oraz inne dokumenty są w posiadaniu autora. Rzeczy te, jako pamiątki, przekazał mi mój ojciec, Jan, a syn Bazylego. Ojciec wspominał, że kufel miał kiedyś na zawiasie ładną metalową pokrywkę, która zaginęła. Na pokrywce był metalowy konik, stojący na tylnych nogach, będący symbolem kawalerii.

Bazyli, po odbyciu służby wojskowej, wrócił do domu i pracował u kowala w Rokitach. W czasie I wojny światowej, w 1917 roku, został zmobilizowany do wojska pruskiego w Grudziądzu (Grandez) i Królewcu (obecnie Kaliningrad). Przeżył wybuch pocisku artyleryjskiego.

Wielu zginęło i zostało ciężko rannych. Jemu udało się przeżyć, do końca życia jednak miał kłopot ze słuchem.

Oddział, w którym służył Bazyli, przesuwał się od Królewca na południe, pod Lublin, a następnie wycofał się w kierunku na Łódź. Wojna zakończyła się jesienią 1918 roku, ale Bazyli wrócił z niej już na wiosnę. Regiment, w którym służył, został rozbity i rozproszony. Dowództwo pruskie oznajmiło żołnierzom, aby każdy ratował się sam jak może. Wspominał, że *spali w jakiejś stodole, a gdy rano odkryli słomę, na której leżeli, okazało się, że spali na ukrytych trupach*.

W czasie wojny, w 1918 roku, w trudnych warunkach socjalnych: głód, zima, choroby, w tym grypa, na którą także zachorował, był jednym z nielicznych, którzy przeżyli. Opowiadał, że wypadły mu włosy i że codziennie widział, jak ze szpitala polowego „lazaret" od rana wynoszono ciała zmarłych, które grzebano w dołach i posypywano wapnem (kalkiem), aby zapobiec dalszemu rozwijaniu się choroby.

Po powrocie z wojny Bazyli z żoną Martą (z domu Sildatk) i synem Franciszkiem zamieszkali u rodziców wraz z rodzeństwem: braćmi Franciszkiem i Teofilem oraz siostrą Lucyną, która wyszła za mąż za Żmudę i mieszkała w Sylcznie k. Sulęczyna. Bracia Franciszek i Teofil później mieszkali w Gowidlinie. Rozpoczął pracę u tego samego kowala, Niemca, w Rokitach.

Po I wojnie światowej odrodziła się Polska w nowych granicach. Granica między innymi przebiegała tuż za wsią Kamionka. Rokity wtedy należały do Niemiec. Bazyli musiał nieźle zarabiać, gdyż wkrótce stać go było na kupno gospodarstwa i wybudowanie własnej kuźni. W latach 30. XX wieku kupił gospodarstwo rolne o powierzchni 8,52 ha w Borku koło Sulęczyna od Franciszka Malka, który wyprowadził się do Kartuz. Do nowego gospodarstwa Bazyli zabrał ze sobą swoich rodziców. Pochowani zostali w Sulęczynie. Wiem, gdzie był ich wspólny grób i pamiętam, że było w domu zdjęcie, jak oboje leżą w otwartych trumnach ubrani w pośmiertne, długie koszule i czapeczki na głowach. Tak kiedyś przygotowywano zmarłych na ceremonię pogrzebową.

Na nowym gospodarstwie w Borku Bazyli postawił kuźnię i świadczył usługi dla okolicznej ludności. Rodzina utrzymywała się

z gospodarstwa i z tego, co zrobił w kuźni. Znał się bardzo dobrze na koniach. Bazyli z żoną Martą (ur. 4.03.1893, zm. 29.02.1976) mieli sześcioro dzieci: Franciszka 16.03.1916–17.12.1997 (81 lat), pochowany w Gowidlinie, Stefanię 21.01.1919–15.02.2000 (81 lat), pochowana w Sopocie, Władysława 4.02.1920–27.10.1988 (68 lat), pochowany w Łodzi, Helenę 8.12.1921–03.04.1955 (34 lata), pochowana w Sulęczynie, Jana 25.01.1927–12.10.2004 (77 lat), pochowany w Sulęczynie i Agnieszkę 15.11.1929–21.12.2006 (77 lat), pochowana w Bytowie.

Bazyli był cenionym kowalem, swoje wyroby znakował specjalnym młotkiem cechownikiem literą „D". Zajmował się naprawą sprzętu rolniczego i domowego. Robił pługi konne, radła, brony, motyki, okucia do wozów i sań oraz bryczek, a także całe kompletne wozy i osprzęt do nich. Wykonał drewniane taczki, taborety, *szchańdë* (kasz. nosidła na bark, do noszenia wiader lub koszy), drewniane wiadra i *czerzenczi* (kasz. cierzenki) do masła napędzane korbką oraz różne inne rzeczy z drewna. Lutował dziurawe garnki, miski, naprawiał przeciekające parniki do kartofli. Odlewał z pszczelego wosku *gromnice* (kasz. świece) w specjalnych przez siebie skonstruowanych formach. Dla własnych potrzeb potrafił naprawić uprząż dla konia (kasz. *sla*), a także reperował buty rodzinie. Miał do tego odpowiednie narzędzia, sprzęt i prawdziwe profesjonalne trójkopytowe stalowe kowadełko dla szewców. Był kowalem i gospodarzem dobrze zorganizowanym jak na ówczesne czasy. Miał chyba do wszystkich prac, którymi się zajmował, odpowiedni sprzęt i narzędzia, nie musiał od nikogo pożyczać i nie lubił pożyczać innym. Najważniejszymi urządzeniami, które kupił do kuźni – zgodnie z katalogiem „Przemysł" z 1931 roku z Krakowa – była *bórmaszina* (kasz. wiertarka stołowa z napędem ręcznym na korbę), *szrybsztok* (po kaszubsku zwany również *jimadło* – imadło zawiasowe), kowadło, palenisko, narzędzia do gwintowania i inne. Natomiast skórzany miech kowalski musiał pochodzić z Gdańska, bo taki napis widnieje na nim – Danzig 1911. Część tych urządzeń w latach 2012–2013 rodzina przekazała do zbiorów Muzeum Kaszubskiego w Kartuzach. Były to: miech, palenisko, imadło, tokarka, *szlifsztok* (zwany po kaszubsku również

toczëdło – szlifierka do dokładniejszego szlifowania na mokro), *szmërdżel* (kasz. szlifierka) i inne drobiazgi, a także wcześniej sprzedaną wiertarkę (kasz. *bórmaszina*), którą udało mi się odnaleźć i odkupić w 2011 roku za cenę 1700 zł.

Kuźnia Bazylego musiała dobrze prosperować, gdyż doświadczony kowal planował wybudować wiatrak młyński. Przed obawą utraty wartości pieniądza pożyczył pewną kwotę szwagrowi, który budował dom. W przeliczeniu miała to być wartość 7 krów, tak się umawiali co do zwrotu. Wkrótce nastąpiła denominacja i wartość pieniądza zmalała. Szwagier nie dotrzymał słowa i zwrócił wartość, tak jak banki, trzykrotnie pomniejszoną, tłumacząc się tym, że gdyby Bazyli miał te pieniądze w banku, to też dostałby tylko tyle albo jeszcze mniej. Na to Bazyli odpowiedział: *niech tak będzie jak mówisz, ale według mnie to tak nie jest*.

Il. 4. Zespół budynków koszarowych w Colmarze, gdzie Bazyli był w wojsku 1908–11. Zdjęcie z 2010 roku. Obecnie stacjonuje tam francuska specjalna jednostka wojskowa „czerwonych diabłów"

Żona Bazylego, Marta Sildatk z Leman, miała pięcioro rodzeństwa: Jana, Wiktora, Anastazję, Juliannę, Teofila. Brat Jan był stolarzem, mieszkał w Lemanach. Brat Wiktor również wykonywał zawód stolarza w Wieliszewie. Wiktor miał czworo dzieci: Irenę, Jadwigę, Ewę, Marka. Siostra Anastazja Twardowska mieszkała w Gdyni, potem w Bytowie z dwoma synami Zbigniewem i Stanisławem. Siostra Julianna Wolska

Il. 5.–6. Obraz i kufel – pamiątki Bazylego z wojska

(1899–1963) wyszła za mąż za Bazylego (1897–1985) ze Starej Huty. Mieli syna, Jana. Teofil natomiast mieszkał w Borku (16.11.1897–14.12.1964), miał potomstwo: Martę, Annę, Jana.

Il. 7. Bazyli z żoną Martą i dziećmi

Il. 8. Kuźnia, I poł. XX wieku Borek, gm. Sulęczyno. Kowal, Bazyli Dąbrowski 1887–1968

Il. 9. Andrzej przed kuźnią dziadka Bazylego 2012 rok (w 2017 roku kuźnię zburzono)

Przy niektórych pracach w kuźni pomagaliśmy dziadkowi, między innymi przy tłuczeniu węgla na małe kosteczki do paleniska lub dmuchaniu miechem, które polegało na pociąganiu dźwigni umieszczonej pod sufitem. Wykonywaliśmy też inne prace, jak pomoc przy ręcznym napędzie: *bórmaszinë* (kasz. *bórmaszina* – wiertarka), *szlifsztokù* (kasz. *szlifsztok* – szlifierka do ostrzenia dokładnego na mokro), *szmërgla* (kasz. *szmërdżel* – szlifierka do ostrzenia zgrubnego na sucho) lub tokarki do drewna, na której dziadek toczył drewniane głowice do piast kół wozów konnych i taczek lub szpulki do kołowrotków. Nie było wtedy elektryczności i te wszystkie czynności robiło się ręcznie. Były także poważniejsze czynności, jak pomoc przy szwajsowaniu (zgrzewaniu) i naciąganiu gorącej *réfy* (kasz. *réfa* – obręcz) na drewniane koło wozu. Czynność taką trzeba było wykonać bardzo szybko, póki obręcz była gorąca i rozszerzona pod wpływem ciepła. Wykonywało się to na dworze, przed kuźnią, przy pomocy specjalnych haków i drążków, przy palu z hakiem specjalnie do tego celu przeznaczonym. Było przy tym dużo dymu, smrodu, aż koło się paliło. Trzeba było gasić to mokrymi szmatami. Natychmiast po nałożeniu obręczy kompletne koło chłodziło się w korytku z wodą.

Pomagaliśmy także przy kuciu naszego konia, klaczy Nysy, którą należało trzymać gołymi rękoma za jej kopyto, które, jak była niespokojna, wyrywała z rąk. Było to bardzo niebezpieczne, gdyż wystające gwoździe w czasie przybijania podkowy mogły poważnie zranić dłoń, ale dziadek sprytnie te wystające gwoździe natychmiast zaginał i obcinał, a potem dokładnie je przyklepywał i opiłowywał. Gdy koń był niespokojny w czasie kucia, to jeszcze jedna osoba musiała trzymać go za pysk specjalnym krępownikiem. Zabawnie wyglądało to, a czasem i groźnie, jak dziadek uspokajał Nysę, grożąc jej młotkiem, wymachując nim koło pyska, a potem jakby przepraszał, poklepywał i głaskał ją po szyi. Jeszcze teraz przypominam sobie gryzący w gardło i oczy dym, jego zapach w czasie przypalania gorącą podkową kopyta po to, aby podkowa dobrze do niego przylegała. Wspomnę, że Nysa była klaczą zgrabną, o smukłej sylwetce, bardzo podobna do konia na zdjęciu z czasów służby wojskowej dziadka w kawalerii konnej. Może dlatego dziadek miał do niej szczególny szacunek. Nie pozwolił,

aby podczas pracy w polu lub w czasie jazdy zbyt mocno się przemęczyła. Dbał także o jej wygląd, jej sierść była zawsze wyczesana do połysku. Pamiętam, że była koniem niezbyt szybkim, potrafiła zwalniać w czasie pracy w polu, kieracie lub w czasie jazdy, aż do momentu zatrzymania się, dalej nie chciała iść. Nie pomagały prośby ani słowa: *ije, wio* itp., nawet postraszenie batem – wówczas wierzgała tylnymi nogami i wydawała przeraźliwy, ostry krzyk i nerwowe chrapanie. Sytuacja wtedy stawała się niebezpieczna, gdyż rozpędzała się nieraz do szalonego biegu, tak że z trudem ją było można zatrzymać. Przydarzyło mi się to w czasie bronowania. Chciałem ją postraszyć batem, aby szybciej szła. Szarpnęła mnie wtedy lejcami, które miałem założone przez plecy. Przewróciłem się i ciągnięty byłem na brzuchu, tuż obok bron, kilkanaście metrów po ściernisku i kamieniach. Oprócz ogólnych potłuczeń i zadrapań nic mi się nie stało. Przestraszyłem się trochę, że mógłbym wpaść pod brony.

Chętnie pomagałem dziadkowi w kuźni przy różnych pracach i obserwowałem, w jaki sposób je wykonuje. Przydało mi się to później w czasie nauki zawodu. Rodzice moi za namową dziadka oraz widząc, że miałem w tym kierunku zainteresowanie, po ukończeniu szkoły podstawowej w 1968 roku wysłali mnie 1 września do 3-letniej szkoły zawodowej w Słupsku, którą ukończyłem w zawodzie ślusarz-mechanik. Co dwa tygodnie, na niedzielę, wracałem do domu. Dziadek był ciekawy, czego się w szkole uczę i zadawał pytania związane ze ślusarstwem. W tym samym roku – 27 listopada 1968 r. – dziadek zmarł.

Życie rodzinne i sąsiedzkie dziadek z babcią prowadzili spokojnie, mile i gościnnie. W wolnych chwilach dziadek zajmował się pszczelarstwem. Miał około 10 uli i zawsze trochę miodu na własne potrzeby rodzinne. Jak wielu Kaszubów lubił zażywać tabakę, za co strofowany był przez babcię, która przypominała mu, aby zaniechał tej używki, zwłaszcza w okresie Wielkiego Postu. Dla urozmaicenia czasu domowego, przy fajce, w wolnych chwilach amatorsko przygrywał na swojej harmonii, która po jego śmierci przechowywana była na strychu i tam się spaliła w czasie pożaru domu, o czym poniżej. Wieczorami, przy lampie naftowej opowiadali o starych dziejach, o dobrych i złych czasach.

Babcia Marta miała maszynę do szycia. Oprócz podstawowych zajęć domowych, szyła i reperowała bieliznę i odzież dla rodziny. Często narzekała na bóle głowy, ale do lekarza pójść nie chciała i w życiu u żadnego nie była.

Dziadek chorował na wrzody żołądka. Bardzo cierpiał, bo wrzody się odnawiały. Jadł tylko lekkostrawne zupy jarzynowe i mleczne z pszennym chlebem, który często mu kupowałem i przynosiłem w drodze powrotnej ze szkoły z Borowego Lasu. Nieraz zdarzało mi się, że pół chleba w drodze zjadłem na sucho. Wstyd mi wtedy było, ale dziadek tylko się z tego śmiał. Miał kilka operacji, a przy ostatniej lekarze nie mogli już nic pomóc. Dawali mu kilka miesięcy życia. Mojemu tacie powiedzieli, że z wrzodów powstał rak, który objął większą część żołądka. Zmarł niespodziewanie. Rano mama była zaniepokojona, że zbyt długo nie przychodzi na śniadanie. Poszła zobaczyć do jego pokoju i zastała go martwego w łóżku. W tym samym pokoju spała babcia i niczego nie zauważyła. Bazyli był sprawny do końca życia. Jeszcze poprzedniego dnia był w kuźni.

Losy dzieci Bazylego Marty

Il. 10. Borek 1939 rok. Od lewej: Helena, Marta, Agnieszka, Bazyli i Franciszek

Na pozostawionej dzierżawie w Dąbrówce pozostał najstarszy syn Bazylego, Franciszek z siostrą Stefanią i bratem Władysławem. Tam razem pracowali, a także pomagali swemu ojcu Bazylemu na gospodarstwie w Borku. W czasie II wojny światowej Franciszek pozostał sam na dzierżawionym gospodarstwie w Dąbrówce, gdyż Władysław był w wojsku i na początku wojny, w kampanii wrześniowej w 1939 roku w walkach nad Bzurą, dostał się do niewoli niemieckiej. Stefania i mój ojciec Jan, wtedy 14-letni chłopiec, zmuszeni zostali do pracy przymusowej w gospodarstwach niemieckich koło Bytowa. Rodziny, które nie podpisały volkslisty tak jak Bazyli, były wysyłane na roboty przymusowe, zsyłane do obozów, wysiedlane. Taki los spotykał wiele kaszubskich rodzin. Bywało, że Kaszubi, mimo że podpisali listę, byli wyrzuceni ze swego gospodarstwa. Franciszek w czasie wojny należał do Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Kaszubski". Musiał ukrywać się przed Niemcami. W tym czasie Bazyli pozostał na gospodarstwie z żoną Martą i dwiema córkami, Heleną i Agnieszką.

Il. 11. Borek, 1939 rok. Bazyli z końmi, z lewej Anastazja Twardowska, siostra babci Marty i mąż jej, Franciszek Twardowski*, z prawej Helena i Agnieszka

* Franciszek Twardowski – mąż Anastazji, strażnik graniczny w Gowidlinie 1920–30, potem w Gdyni, do 1939 roku więziony w Wejherowie. Rodzina otrzymała telegram, że tam zmarł na zapalenie płuc. Być może został rozstrzelany w Lesie Piaśnickim. Ciała nie odzyskano.

Dom w Borku nachodziła żandarmeria niemiecka w poszukiwaniu Franciszka. Wszyscy się niepokoili, a najbardziej babcia Marta. Bała się tak bardzo, że popadła w depresję i ta dolegliwość pozostała jej do śmierci. Było też zdarzenie, że podczas najścia dwóch SS-manów w czarnych mundurach, z trupimi czaszkami na czapkach, mówiących po niemiecku i ukraińsku, babcia przestraszyła się tak bardzo, że zaniemówiła, gdy ją o coś zapytali. Sytuacja była o tyle niebezpieczna, gdyż Bazyli w tym czasie, w kuźni nad ogniskiem w kominie, wędził nielegalnie ubitą świnię, za co groził obóz koncentracyjny Stutthof. Niemcy chyba nie wyczuli zapachu wędzonego mięsa, gdyż byli zbytnio zajęci naprawą motoru i w tym celu pojawili się w kuźni Bazylego.

Il. 12. 1942 rok. Marta i Bazyli, z tyłu od lewej Helena, Agnieszka i Jan

Il. 13. 1945 rok. Helena, Agnieszka i Jan

Ojciec mój, Jan, był na przymusowych robotach w okolicach Bytowa u Niemca Malenke. Raz w miesiącu, na niedzielę, otrzymywał przepustkę i na rowerze przyjeżdżał do domu. Na takie przepustki jeździł także sąsiad Malek, brat Romana, Augustyna i Leona, który został zastrzelony w czasie próby ucieczki w lesie Wądół przed

Żakowem. Nie wrócił z przepustki do pracy, gdyż skaleczył się w rękę. Przyjechali po niego niemieccy żandarmi i stwierdzili, że chyba symuluje. W celu wyjaśnienia zabrali go do Sulęczyna i wtedy, podobno, próbował im zbiec.

Tata opowiadał, że był dobrze traktowany przez tych Niemców, Malenke. Jak członek rodziny. Jadł razem z nimi przy wspólnym stole, na co władze niemieckie nie pozwalały. Mieszkał z nimi stary Niemiec – ich dziadek, który nie lubił Polaków, słuchał ciągle radia i cieszył się, jak w wiadomościach podawano, że wojska niemieckie podbijają coraz to inne kraje. Sytuacja odwróciła się, gdy Niemcy wojnę przegrali, wtedy to stary Niemiec strasznie klął, tak że tata musiał się przed nim chować. Przed wejściem wojsk radzieckich Niemcy zaczęli uciekać, a tacie kazali wracać do domu.

Po wojnie plany Bazylego były takie, że gdy wróci z niewoli niemieckiej syn Władysław, to ożeni się z Zośką i pozostanie na gospodarstwie w Dąbrówce. Zośka, jako jedna z trzech córek dziedzica – szlachcica Jana Dąbrowskiego z Dąbrówki – otrzymała w wyniku reformy rolnej jedną trzecią część gospodarstwa, to jest 25 ha ziemi i około 7 ha lasu nad brzegiem Jeziora Gowidlińskiego, tak zwana Kana i na półwyspie Gagówc. Władze komunistyczne PRL-u ustaliły, że prywatne gospodarstwa rolne nie mogą przekraczać 25 ha. Kto miał więcej, to był „kułak" i musiał nadwyżkę oddać innym. W ten sposób, po prawie 250 latach, gospodarstwo zostało podzielone.

Władysław wrócił z niewoli, ale nie sam. Przyjechał z żoną Hanką, która była już w zaawansowanej ciąży. Pochodziła z Łodzi. Poznali się w czasie niewoli w Niemczech pod Hanowerem, tam, gdzie pracowali. On pracował przez całą wojnę u bauera na gospodarstwie, a ona w fabryce artykułów piśmiennych „Pelikan". Dla Bazylego był to szok. Nie był zachwycony synową z wielkiego miasta, która nie potrafiła mówić po kaszubsku i nie znała się na pracy w gospodarstwie. Miał wątpliwości co do ważności ich ślubu, który zawarli w Niemczech. W Borku w 1946 roku urodził się im pierwszy syn, Czesław. W krótkim czasie wyjechali do Łodzi i tam pozostali. Hanka bardzo tęskniła za swoją mamą, która tam mieszkała. Tęsknota Hanki do swej matki była tak wielka, że w czasie okupacji, narażając swoje życie, uciekała kilka razy

z niewoli, bez biletu, pociągiem do Łodzi, aby zobaczyć swoją mamę. Za każdym razem była schwytana przez policję niemiecką i odsyłana do więzienia. Ostatni raz ostrzeżono ją, że jeżeli jeszcze raz ucieknie, to będzie surowo ukarana. Przeżyły wojnę, jednak po jej zakończeniu, po jakimś czasie wydarzył się tragiczny wypadek, w którym jej mama zginęła, wpadając na peronie pod nadjeżdżający pociąg. Władysław nie chciał wracać do Polski. Obawiał się represji ze strony władz PRL-u za to, że poddał się do niewoli niemieckiej i że może być uznany za dezertera. Wrócili do Polski tylko za namową Hanki. Przypłynęli wielkim statkiem z Hamburga do Zatoki Gdańskiej. Na statku było wielu Polaków, ale także Rosjan, Litwinów i ludzi innych narodowości. Na wodach neutralnych, na redzie ich statek stał na kotwicy i czekał na odbiór pasażerów. Podpływały wtedy mniejsze statki, łodzie oraz kanonierki wojskowe, które zabierały na pokład zdecydowanych na powrót do kraju. Podpływały też inne łodzie, z których przez megafony odradzano powrotu, informując, że w Polsce jest źle, rządzą komuniści, pozamykano kościoły, zniesiono własność prywatną, powstały kołchozy, a na powracających z zagranicy czekają więzienia, obozy pracy i kary śmierci dla dezerterów. Tego najbardziej obawiał się Władysław. Natomiast z innych megafonów nawoływali, aby powrócili, bo ojczyzna, Polska, na nich czeka, że będą mieli mieszkania, pracę, a państwo będzie się o nich troszczyć. Dużo ludzi nie uwierzyło w to i odpłynęło z powrotem. Władysława z Hanią, gdy przypłynęli do Gdyni, pozostawiono własnemu losowi, każdy miał sobie radzić na własną rękę, jak mógł. Ostatecznie pozostali w Polsce, a dzięki temu ja miałem sposobność słuchać ich opowieści.

Wspomnienia wujka Władysława, inaczej Władysa, bo tak się w domu na niego mówiło, utkwiły mi szczególnie w pamięci. Przebywał w niewoli prawie 6 lat i miał dużo do opowiadania, a ja chętnie go słuchałem. Mówił, że ogólnie dobrze był traktowany przez gospodarzy. Jeden z synów gospodarzy był SS-manem. Rodzina bała się go. Gdy przyjeżdżał do domu, Władysławowi nie kazano siadać przy wspólnym stole. Utkwił mu tylko w pamięci niemiły wybryk ich młodszego syna – chłopca, który dla żartu poganiał go batem, gdy on pracował z końmi w polu. Widzieli to rodzice tego chłopca i go skarcili.

Ogólnie było mu dobrze przez całą wojnę, tęsknił tylko za rodzinnym domem. Wspominał, że Amerykanie bombardowali okoliczne zakłady i magazyny. Opowiadał, że było tam mnóstwo rzeczy, różne rodzaje sprzętu do domu, ubrania i żywność. Nikt tego nie pilnował. Ludzie przyjeżdżali wózkami i furmankami, brali co popadło i tyle, ile mogli donieść. Wujek także wywoził ze zbombardowanej fabryki czekolady tyle kartonów czekolady i innych słodyczy, ile tylko mógł pomieścić na rowerze. Potem tym towarem wymieniano się. Bardzo dużo towarów w czasie bombardowania zostało zniszczonych, sporo też zniszczyli sami ludzie, depcząc go w czasie plądrowania ruin.

Il. 14. Polacy w niewoli niemieckiej, Władysław z harmonią

W końcu wyszło tak, że z Zośką ożenił się Franciszek i pozostał z nią na nowym, wydzielonym gospodarstwie w Dąbrówce. W Borku, w domostwie, pozostali: mój ojciec Jan, Helena i Agnieszka.

Jan przez jakiś czas pomagał swojej siostrze Stefanii na gospodarstwie, na którym pracowała przymusowo w czasie wojny u Niemców. Było to w Modrzewie, gmina Tuchomyśl, a obecnie Modrzejewo, gmina Tuchomie w powiecie bytowskim. Po wojnie, w 1946 roku, dzięki staraniom jej ojca Bazylego, otrzymała gospodarstwo na własność w drodze zasiedlania Ziem Odzyskanych. Gospodarstwo to

o powierzchni 10,5 ha i 1,5 ha lasu było zadbane i dobrze wyposażone w podstawowe maszyny i narzędzia. Budynki murowane i zelektryfikowane. Niemcy pozostawili także inwentarz żywy. W późniejszych latach gospodarstwo to Stefania sprzedała i wyprowadziła się do Wielkiego Kacka (od 1953 roku dzielnica Gdyni).

Jan także pracował na niemieckim gospodarstwie, nie mógł jednak go otrzymać na własność, gdyż nie miał wówczas chyba wymaganego wieku 20 lat. W roku 1980 odwiedziłem z tatą to gospodarstwo. Pojechaliśmy wtedy samochodem Syrena 104. Była to mała wioska, nie pamiętam jej nazwy, ale było to gdzieś w bok od szosy między Parchowem a Bytowem. Nowi właściciele, którzy tam mieszkali, utrzymywali zagrodę w nienagannym stanie. Tata mówił, że nic się tam nie zmieniło od 1945 roku.

Il. 15. Jan przyjęty do I Komunii św. w 1937 rok

Il. 16. Jan na przymusowych robotach, lata ok. 1943–1945

Il. 17. Jan w wojsku 1946 rok

Il. 18. Na zdj.: Jan (z lewej) z sąsiadem Ekmanem, 1951 rok

Ciężkowice

Po wojnie na Ziemiach Odzyskanych, na byłych majątkach niemieckich, powstały Państwowe Gospodarstwa Rolne (PGR). Na takim PGR w Ciężkowicach, obecnie Jerzkowice k. Czarnej Dąbrówki, dorywczo i sezonowo pracował tata Jan. Tam poznał żonę Annę z domu Okoniewską z Kistowa. Jej rodzicami byli Józef (1901–1935) i Matylda z domu Mielewczyk (1899–1950) z Widnej Góry. Jan i Anna ślub zawarli w Rokitach 18.02.1952 roku, a wesele odbyło się w Ciężkowicach[2].

Il. 19. Wesele Jana Dąbrowskiego i Anny zd. Okuniewska 18.02.1952 rok

[2] Mama Anna opowiadała, że w 1945 roku (miała wtedy 14 lat) w ich domu w Kistowie nocowało kilku niemieckich żołnierzy. Uciekali przed Rosjanami. Byli bardzo zmęczeni. Częstowali dzieci czekoladą i cukierkami. Po obmyciu położyli się spać pod własnymi kocami i płaszczami. Zawsze jeden z nich miał wartę. Wujek Jan, mamy brat, chciał koniecznie zastąpić wartownika. Miał wtedy 21 lat. Matka Matylda kategorycznie mu tego zabroniła. Następnego dnia o świcie do Kistowa weszli Rosjanie. Niemcy zaczęli uciekać przez okna do sadu. Jeden z nich został zastrzelony i pochowany przez Jana obok domu przy drodze. Jan wtedy zrozumiał, że to on mógł być zabity w tym niemieckim mundurze, gdyby nie matka. Następnej nocy spali u nich Rosjanie na słomie i sianie, które wnieśli do pokoi. Pamiętam, że jeszcze na początku lat 60. był ten grób.

Il. 20. Anna z domu Okoniewska

Il. 21. Anna i Jan Dąbrowscy

Na czas moich narodzin tata zawiózł mamę do dziadków do Borku i tam się urodziłem. W Ciężkowicach mieszkaliśmy do 1960 roku. W tym czasie urodził się brat Mieczysław i siostra Bogumiła.

Na PGR-ach w tamtych czasach ludziom żyło się dobrze. Jeśli ktoś tam pracował i mieszkał, to mówiło się, że „oni tam na tym majątku mają sobie dobrze", bo rzeczywiście tak było, wszystko zadbane,

Il. 22. Andrzej Dąbrowski z rodzicami 1954 rok

ładny pałac z parkiem i stawem. W takim dobrym stanie majątek pozostawili Niemcy. Pamiętam gwar, ruch, mury tętniące życiem, a także ryczenie krów, kwiczenie świń, rżenie koni i turkot maszyn. Wśród pól traktory Ursusy z zawieszonymi wiadrami na tłumikach i z pługami pędziły tam i z powrotem, a gdy przejeżdżały brukową drogą przez wieś, to cała wieś się trzęsła. Tylko smuga czarnego dymu za nimi się ciągnęła i zapach spalonej ropy. Trzeba jednak pamiętać, że ludowe państwo robiło z tych gospodarstw pokazówki poprzez dofinansowania, żeby „udowodnić" nierentowność, nienowoczesność gospodarstw indywidualnych.

Tata wstawał o czwartej nad ranem, albo i wcześniej, żeby krowy w porę wydoić, nakarmić, wyczyścić, obornik wyrzucić i wymienić pod nimi ściółkę. Lekko nie miał, bo do oporządzenia było około 70 krów razem z cielakami, jałówkami i bykami. Wieczorami było wesoło. Ludzie spotykali się na rozmowach, przy okazji wódeczkę lub bimber popijając. Razem bawili się, śpiewali, chociaż z różnych stron pochodzili. Byli Ukraińcy, którzy przybyli w ramach akcji Wisła, „zza Buga", inni z centralnej Polski, których nazywano „bosymi Antkami" i Kaszubi, a także Niemka Myna z synem Jurgenem, którego osobiście dobrze znałem i jego dalsze rodzinne losy[3].

Władza ludowa dbała o to, aby każdy miał pracę. Robotnicy otrzymywali mieszkania, kawałek działki na warzywa, codziennie nieodpłatnie świeże mleko, ziemniaki i inne przydziały. Mogli dla siebie hodować krowę, świnię, drób i inne zwierzęta, załatwiając dla nich w różny sposób, nie zawsze legalny, karmę i paszę z PGR-u. Socjalistyczne zarządzanie zakładami państwowymi, w tym PGR-ami, niezbyt dobrze sprawdziło się w tym okresie, który trwał 45 lat, do 1990 roku, do upadku komunizmu. Coraz bardziej pogarszał się stan techniczny przestarzałych maszyn i urządzeń oraz źle lub w ogóle nieremontowanych obiektów budowlanych, które popadały w nieodwracalną ruinę. Brak dyscypliny i organizacji pracy, także wysokie koszty utrzymania nadmiernej ilości zatrudnionych ludzi w stosunku

[3] Jurgen z matką Myną ukrywali się przez 2 lata w piwnicy Ciężkowicach. Pracowali w PGR, w latach 60. XX wieku wyemigrowali do Berlina Zachodniego.

do wielkości produkcji. Dla nich także trzeba było na koszt państwa budować służbowe mieszkania z wszelkimi wygodami. Budowano bloki mieszkalne, a nawet całe osiedla wraz z zapleczem socjalnym i technicznym. Istniały punkty usługowe, sklepy, świetlice i inne udogodnienia. Aby to wszystko ogrzać, budowano kotłownie. Obiekty te były bardzo energochłonne, kotłownie pożerały duże ilości węgla, którego na koszt państwa nie żałowano. Wiele innych jeszcze przykładów można by przytoczyć, które miały wpływ na złą gospodarność. W wyniku tego zyski nie pokrywały kosztów utrzymania, a państwa nie było stać na ciągłą dotację finansową. W końcu, wraz ze zmianą ustroju, PGR-y poupadały i wydzierżawiono je różnego rodzaju spółkom, które natychmiast zredukowały zatrudnienie, nawet dziesięciokrotnie. Zlikwidowano niedochodową produkcję, a do prac polowych wynajęto specjalistyczne firmy z nowoczesnymi, wysoko wydajnymi maszynami i innym sprzętem rolniczym. Na przykład w PGR Mikorowo zatrudnionych było około 60 osób, a po jego upadku i to tylko w okresie natężonych prac zatrudniono 5–6 osób. Tak jest podobnie w innych okolicznych dawnych PGR-ach.

W tamtym czasie na PGR w Ciężkowicach pracowali także wszyscy mamy bracia: Jan, Józef – mój chrzestny, Leon, Alfons oraz siostry: Lena, Józefa i Teresa. Były to siostry z drugiego małżeństwa matki z Wacławem Wentą. Z tego małżeństwa urodzili się jeszcze Bronisław i Agnieszka, którzy w tym czasie mieszkali w Kistowie. Lena i Teresa oraz Bronisław i Józefa byli bliźniakami. Na przełomie lat 60. XX wieku z tego PGR-u zaczęli wszyscy się wyprowadzać. Jan kupił poniemieckie gospodarstwo w Główczycach, Alfons w Czarnej Dąbrówce. Józef zamieszkał w Słupsku i tam pracował w jakiejś firmie budowlanej jako murarz. Leon od dziecka był niepełnosprawny fizycznie. Pomagał i mieszkał zawsze z bratem Alfonsem. Miał sparaliżowaną lewą stronę ciała. Utykał i miał niesprawną lewą dłoń, za to posiadał podwójną moc w prawej dłoni. Wygrywał zakłady w siłowaniu się na prawą rękę, nikt nie był w stanie go pokonać.

Borek

W roku 1960, na prośbę dziadka Bazylego, przeprowadziliśmy się do Borku. Dziadek przekonał rodziców, aby przejęli jego gospodarstwo, gdyż sam nie dawał sobie już rady. Miałem wtedy 7 lat. Było lato. Pamiętam, jak przywiózł nas bryczką, mamę, mnie, Mietka i Bogusię, wujek Franek. Dziadek Bazyli miał wówczas 73 lata, przywitał nas z babcią Martą i po kolei brał nas w ramiona, zdejmując z bryczki. Tata w tym czasie jechał traktorem z kimś wynajętym z PGR-u z tyłu za nami, z meblami i całym dobytkiem. Przed przyjazdem do Borku Bazyli miał już przygotowany na piśmie testament z 13 lipca 1960 roku, w którym pełen tekst brzmiał: *ustanowił jako swego syna jedynego spadkobiercę, syna swego Jana Dąbrowskiego*.

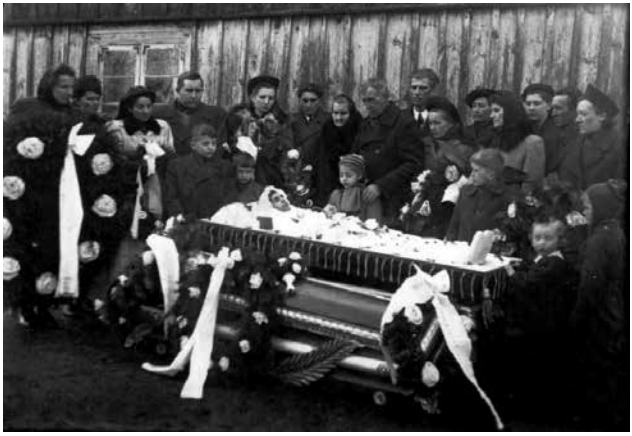

Il. 23. Pogrzeb Heleny Dąbrowskiej, Borek 1955 rok

W 1955 roku w wieku 34 lat zmarła na jakąś chorobę płuc córka Bazylego – Helena, moja chrzestna, która po wyjściu za mąż miała pozostać na tym gospodarstwie. Agnieszka – najmłodsza – wyszła za mąż za Władysława Sildatka z Rozłazina. Wyprowadzili się do Miastka. Franciszek starał się ojcu pomagać, ale było mu ciężko, bo sam miał swoje o wiele większe gospodarstwo do obrobienia. Nasz tata nie bardzo chciał wrócić do Borku. Zgodził się tylko za namową naszej mamy, której nieraz wypominał tę decyzję, szczególnie

w trudnych chwilach związanych z różnymi niepowodzeniami w prowadzeniu gospodarstwa. I tak rodzice wraz z trójką dzieci: Andrzejem (ur. 22.02.1953 r. w Borku), Mieczysławem (ur. 10.08.1954 r. w Czarnej Dąbrówce) i Bogumiłą (ur. 7.09.1955 r. w Bytowie) zamieszkali w Borku.

W Borku urodziło się moje pozostałe rodzeństwo: Genowefa (ur. 2.11.1960), bracia bliźniacy Stanisław i Zygmunt (19.01.1962) oraz Janusz, który urodził się 22.04.1968 roku w Gdańsku.

Il. 24. 1962 rok. Od lewej: Bogusia, Stachu, Andrzej, Mietek, Zyguś i Gieńka

Il. 25. 1962 rok. Mietek i ja – Andrzej

Gospodarstwo było mało dochodowe, nie było prądu, pracy było dużo, a plony mizerne. Takie prace jak: cięcie sieczki czy śrutowanie robiło się kieratem (kasz. *rozwerk*), który napędzany był przez jednego lub dwa konie (w przypadku młócenia). Czyszczenie wymłóconego zboża robiło się za pomocą wialni zwanej *bulermaszyna* (po kaszubsku zwana również *szëdrownica*), która napędzana była ręcznie za pomocą korby. Ta czynność – kręcenie korbą – przeważnie należała do nas. W ten sposób pomagaliśmy tacie przy czyszczeniu zboża. Było to nudne i monotonne zajęcie, którego nie lubiłem. Tata łopatą dosypywał wymłócone ziarna z plewami, regulował dozowanie

i podśpiewywał lub pogwizdywał sobie jakieś melodie. Najczęściej to była *Jarzębina czerwona* lub *Głęboka studzienka*, a ja kręciłem i kręciłem. Nieraz zdarzało się, że kręciłem w rytm tych gwizdanych przez tatę melodii. Maszyna wydawała wtedy charakterystyczny dźwięk podobny do bębna w orkiestrze. Tata zwracał mi uwagę, dlaczego tak nierównomiernie kręcę, to mu odpowiadałem, że kręcę w rytm melodii, jaką gwiżdże. Uśmiał się z tego tata i powiedział coś w tym rodzaju: *co të knôpie za głëpòtë gôdôsz, môsz krącëc równomiernie i so nie wëgłëpiac, bò za wiele zôrna jidze w plewë* (kasz. *Co ty chłopcze za głupoty mówisz, masz kręcić równomiernie i się nie wygłupiać, bo za wiele ziarna idzie w plewy*).

Il. 26. Borek 1964 rok. Ja z tatą i mamą w polu przy wykopkach

Tata, aby zapewnić rodzinie utrzymanie, dodatkowo pracował w państwowej pracy w melioracji. Była to praca w delegacji. Przyjeżdżał do domu na sobotę i niedzielę. W sobotę wykonywał trudniejsze i cięższe prace w gospodarstwie. Dopiero gdy rodzice zaczęli stosować nawozy sztuczne (w II poł. lat 60. XX wieku), sytuacja znacznie się poprawiła. Zboża było tyle, że składano je w stóg, bo nie mieściło się w stodole, ziemniaki, brukiew i inne płody trzeba było kopcować, a nawet nadwyżki można było sprzedawać. Mama wtedy zwiększyła hodowlę świń, bekonów kontraktowanych. Jednorazowo było ich zawsze w chlewie ok. 20 sztuk, albo i więcej razem z prosiakami i warchlakami.

Gdy dorosły i zostały sprzedane, ich miejsce w buchtach było zaraz uzupełniane następną taką liczbą do dalszej hodowli. Bekony musiały być chude, bo od tego zależało, jaką otrzymają klasę i mieć odpowiednią wagę nieprzekraczającą 50 kg. Te, które ją przekraczały, sprzedawane były jako tuczniki po mniej korzystnych cenach.

Pracy związanej z tą hodowlą mieliśmy sporo, szczególnie ja i brat Mietek. Naszym obowiązkiem było dopilnowanie wymiany ściółki, aby świnki zawsze miały czysto i sucho oraz zapewnienie im w zapasie ugotowanych kartofli. Ziemniaki przed gotowaniem w parniku były przez nas dokładnie umyte z piasku w specjalnym drucianym koszu, następnie wsypywało się je do parnika i zalewało niewielką ilością wody. Po ich ugotowaniu, ostrożnie, tak aby się nie poparzyć, do wiadra zlewało się wrzątek. Tak ugotowane kartofle rozdrabniało się w drewnianej skrzyni (kasz. *kasta*). Robiło się to specjalną do tego celu przeznaczoną maszynką napędzaną ręcznie za pomocą korby, którą ustawiano na tej skrzyni. Było to wielkie udogodnienie, gdyż kto nie miał takiego urządzenia, wykonywał to ręcznie tak zwanym *sztãpólcem* (kasz. *sztãpólc* – ubijak) lub *sekôczem* (kasz. *sekôcz* – nóż w kształcie litery S do siekania paszy, osadzony na długim trzonku). Przygotowaniem karmy, czyli po dodaniu do kartofli dodatkowych składników w postaci specjalnej mieszanki lub pociętego na sieczkarni zielska, lub jeszcze innych dodatków, potem wymieszaniem tego i karmieniem, najczęściej zajmowała się mama.

W tym samym roku, w którym przeprowadziliśmy się do Borku, poszedłem do pierwszej klasy szkoły podstawowej w Borowym Lesie „Kablowo". W Ciężkowicach jako dzieci podobno mówiliśmy ładnie po polsku – tak mówili nauczyciele. W Borku i szkole w Kablowie bardzo szybko nauczyliśmy się mówić po kaszubsku. Tutaj tylko się tak mówiło, prawie wszystkie dzieci na przerwach rozmawiały po kaszubsku. Nauczyciele – chociaż sami byli Kaszubami, a zwłaszcza kierowniczka tej szkoły Salomea Błaszczyk – zwracali rodzicom i dzieciom uwagę, aby starały się mówić w domu i szkole po polsku. Bardzo często było tak, że dzieci poznawały język polski dopiero w szkole. W pierwszej klasie uczyły się najpierw mówić po polsku. Zdarzały się śmieszne sytuacje, np. gdy zapytany uczeń miał powiedzieć, co przedstawia

w elementarzu obrazek na literkę "i" z indyczką, to odpowiedź padała *gùla*. Gdy nauczyciel zapytał się o literę "w" jak wanna, to oczywiście padała odpowiedź *balika*. Teraz, gdy to wspominam, są zupełnie inne czasy. Język kaszubski zanika, zaś uczyć się go można w niektórych szkołach podstawowych i liceach, a także zdawać maturę z języka kaszubskiego.

Nasze dzieciństwo, praca, nauka i przygody

Borek to było dla nas miejsce tajemnicze i urokliwe, stary dom kryty strzechą, z dala od sąsiadów, wokół cisza i spokój. Dużo zieleni, sad pełen kwitnących drzew, wśród których buszowały motyle, bzykały osy i dziadka pszczoły. Później, gdy drzewa obrodziły, można było zebrać pełno owoców, a zwłaszcza pachnących gruszek, których rosło kilka odmian. Były także smaczne, soczyste szarotki, słodkie jak miód miodówki, gniłki i wiele innych. Dla mnie najsmaczniejsze były duże klapsy. Sądzę, że nazwano je tak dlatego, że wydawały charakterystyczny dźwięk klapsa, gdy spadały na ziemię. Do jedzenia nadawały się te, które ręcznie zrywało się z drzewa. Dlatego do wekowania albo suszenia zrywano owoce tydzień lub dwa tygodnie wcześniej przed ich dojrzeniem. Gruszek było tyle, że mama sprzedawała je chętnym osobom, które po nie przyjeżdżały do nas do domu. Czasami z mamą sprzedawaliśmy je w Sulęczynie prosto z konnego wozu. Rosły także inne drzewa owocowe: wiśnie, kilka odmian jabłek, czereśni i śliwek. Jabłek nie mieliśmy zbyt dobrych, były to w większości jabłka bardzo kwaśne, tak zwane *heltczi* (kasz. *heltka* – dzikie, niedojrzałe jabłko), którymi karmiono zwierzęta. Sprzedawaliśmy je, a nadwyżki innych owoców zawoziliśmy do punktów skupu owoców. Między dziadka kuźnią a piwnicą rosła czereśnia, która miała bardzo smaczne owoce. Czereśni wokół zabudowań rosło więcej, ale ta, za piwnicą, miała największe i najsmaczniejsze owoce. Dziadek mówił, że to jest jego czereśnia i miał ją na oku, szczególnie gdy był w kuźni. Pilnował jej przed nami, abyśmy nie zrywali jeszcze niedojrzałych owoców i przed szpakami (po kaszubsku szpak to *skórc*). Często wychodził wtedy na zewnątrz kuźni i odstraszał szpaki, dzwoniąc

dzwonem. Dziadek miał taki niewielki dzwon, o czystym brzmieniu, który zrobił z jakiegoś stalowego elementu z rozbitego niemieckiego bombowca, którego historię opisuję w dalszej części wspomnienia. Od pozostałych czereśni ta dziadkowa dojrzewała najszybciej, stąd jak owoce ledwo dojrzały, to ukradkiem wchodziliśmy wysoko na górne gałęzie, tak aby dziadek nas tam nie zauważył i je zajadaliśmy.

Obok podwórka znajdował się mały staw (kasz. *błotkò*) z *kòplą* (kasz. *kòpla* – ogrodzone pastwisko), z którego wieczorami dochodził rechot żab. Było to takie odgrodzone miejsce dla gęsi i kaczek, aby nie wchodziły i nie brudziły podwórka, bo podwórko było zawsze taką wizytówką świadczącą o porządku w zagrodzie i gospodarstwie. Na środku podwórka stał duży, stary kasztan, w którego cieniu latem można było skryć się przed upałem. Zaraz za zabudowaniami rozciągały się pagórkowate pola z żytem, owsem i kartoflami oraz z zagonkami warzywnymi. Za stodołą polna droga prowadziła na pastwisko i błota torfowe między dwoma bagnistymi jeziorkami. W jednym z tych jezior dziadek wpuścił kilka wiader narybku karasia, ale jak opowiadał, w ciągu 2 lat, wszystko wyginęło i podusiło się pod lodem. Ponawiał próby, ale nic z tego nie wychodziło.

W domu nie było elektryczności i bieżącej wody, a jedynym wieczornym oświetleniem były lampy naftowe lub świeczki, gdy zabrakło nafty. W dużym pokoju gościnnym, pośrodku, nad stołem, wisiała pod sufitem ładna, duża lampa naftowa z regulowaną wysokością. Cała lampa wraz z ozdobnymi łańcuchami, na których wisiała, wykonana była z brązu i przyozdobiona kolorowymi elementami z porcelany. Miała duży klosz z materiału w kolorowe kwiatki, z którego zwisały frędzelki z kryształowymi małymi kuleczkami, a zapalana była od święta, dla gości i na czas kolędy. Pamiętam także nocną lampę na naftę z porcelanową podstawą i szklanym mlecznym kloszem.

Oporządzanie inwentarza starano się robić wieczorem, gdy jeszcze było widno, a gdy zapadał zmrok, używano przenośnej latarni naftowej. Wodę pitną do kuchni nosiło się na *szchańdach* (kasz. *szchańdë* – drewniane nosidła) wiadrami z studni oddalonej ok. 100 m od domu. Była to zwykła woda opadowa. W lepszą wodę zaopatrywano się u Maleka lub innych jeszcze dalszych sąsiadów.

Gdy dorośliśmy, mieliśmy coraz więcej pracy i obowiązków przy gospodarstwie. Wykonywaliśmy niektóre prace przekraczające nasze siły. Były to chyba prawie wszystkie roboty polowe, w zagrodzie i przy domu. Każdy z nas wiedział, co ma robić i jaka czynność do kogo należy. Wiedzieliśmy, kto z nas ma nanosić opału, torfu i drewna do domu i świńskiej kuchni, a kto dostarczyć do świńskiej kuchni i obory dwie 200 litrowe beczki wody *na szchańdach* w drewnianych ciężkich kubłach, które były cięższe niż woda w nich. Wykonywaliśmy także prace mniej i bardziej niebezpieczne. Do takich prac szczególnie niebezpiecznych, przy których trzeba było bardzo uważać, należały: rżnięcie sieczki, pomoc przy wpuszczaniu snopków do młóckarki. Przez nieuwagę sieczkarnia lub młockarnia mogła wciągnąć palce i urwać całą dłoń. Niebezpiecznym zajęciem było cięcie słomy na ściółkę dla zwierząt, drewna na pile tarczowej, rąbanie toporem na drewnianym klocu. Do takich nieprzyjemnych i śmierdzących czynności należało wywożenie drewnianą ciężką taczką *kùmkarą* (kasz. *kùmkara* – taczka ze skrzynką) obornika od zwierząt. Robiło się to średnio dwa razy w tygodniu. Natomiast raz na tydzień lub dwa było wynoszenie wiadrami gnojowicy na obornik lub pole. Pracy było bardzo dużo, a potrafiliśmy jeszcze znaleźć czas na różne zabawy i odrabianie lekcji przy lampie naftowej, na wysłuchanie opowiadań dziadka i babci Marty. Nie mieliśmy żadnych rozrywek. Musieliśmy je sami sobie wymyślać i organizować, a pomysłów nam nie brakowało. Niektóre z nich zapewne były niebezpieczne i mogły się źle skończyć, a nawet tragicznie.

Katastrofa bombowca

Wpadliśmy na pomysł, aby zbudować rakietę z jakiejś aluminiowej lotniczej rury, którą dziadek miał w kuźni po katastrofie potężnego bombowca Heinkel. Samolot ten w czasie II wojny światowej, w styczniu 1942 roku, runął na zamarznięte w pobliżu jeziorko w Królewskim Lesie przy Bukowej Górze (Kamionka Gowidlińska). Z opowiadań dziadka, taty i mieszkańców okolicznych wsi wiem, że tego dnia miała miejsce straszna śnieżyca, nic nie było widać.

Samolot prawdopodobnie miał awarię, bo leciał bardzo nisko, z przeraźliwym rykiem silników, od strony wsi Bawernicy, tak jakby pilot szukał miejsca do lądowania. Być może dlatego samolot zahaczył o najwyższe drzewa. Zgubił ogon. Potem spadł na zamarznięte jeziorko. Zupełnie się roztrzaskał. Przeżył tylko strzelec, który siedział z tyłu w ogonie. To on powiadomił ludzi o tym, co się stało. Dwóch pilotów zginęło. Widziano ich zmasakrowane ciała. Niemcy przyjechali bardzo szybko i otoczyli cały teren. W pośpiechu uprzątnęli teren i odjechali. Wcześniej zorganizowali pomoc, angażując okolicznych kowali i rolników z silnymi końmi, z mocnymi saniami. Roztrzaskany kadłub z jednym skrzydłem i silnikiem ściągnięto na brzeg przy pomocy lin i koni. Część drugiego odłamanego skrzydła wraz z silnikiem i podwoziem przebiła warstwę lodu i opadła na dno, głęboko w muł, całkowicie znikając pod wodą. To, czego nie zabrali Niemcy, pozbierali miejscowi kowale. Pamiętam, że jeszcze na początku lat 60. XX wieku dziadek miał w kuźni mnóstwo różnych elementów pochodzących z tego samolotu, a przed kuźnią stały oparte o ścianę różne oderwane i pogięte aluminiowe fragmenty konstrukcji kadłuba lub skrzydeł. Były to nitowane elementy blaszane ze skrawkami materiału. Na zewnątrz kuźni, pod dachem, wisiał dzwon, o którym już wspominałem, że wykonany był z fragmentu tego samolotu bardzo podobnego do dzwonu. Wisiał na haku zawsze w tym samym miejscu. Miał jakieś dorobione serce, ale najczęściej dziadek uderzał w niego młotkiem, bo wtedy było go najlepiej słychać. Służył nie tylko do płoszenia szpaków. Dziadek dawał nim umówiony sygnał, gdy potrzebował czyjejś pomocy w kuźni. Istniały dwa identyczne takie elementy. Ten drugi posiadał wujek Franek.

Tu chciałbym wspomnieć, jakie było moje zdziwienie, gdy ten dziadka zardzewiały dzwon przynieśli mi do biura uczniowie, kiedy pracowałem w warsztatach szkolnych Technikum Mechanicznego w Kartuzach. Było to w roku 1992. Byłem zatrudniony na etacie głównego mechanika i nauczyciela zawodu ślusarz mechanik, a także zastępcy kierownika warsztatu. Moja pierwsza reakcja to szok i pytanie: *skąd to macie?* Zaraz za nimi wszedł pracownik kontroli jakości, Jerzy Dułak z Sulęczyna. Zapytał mnie, czy może z tego zrobić dzwon,

bo ma ładny dźwięk, uczniowie zaś wyczyszczą go od rdzy. Poza tym dorobi się toczone serce i mocne prawdziwe zawieszenie. Wysłuchałem jego z niecierpliwością i zapytałem, po co mu taki dzwon i co będzie z nim robił, a w ogóle skąd to ma? Zakomunikowałem też, że jest to dzwon mojego dziadka z Borku. Potwierdził i poinformował mnie, że dał mu to proboszcz z Sulęczyna, który, będąc na kolędzie, dostał to od kogoś w Borku. Ksiądz prosił, aby z tego zrobić tymczasowy dzwon do nowo budowanego kościoła w Węsiorach.

W naszej szkole organizowano zbiórki złomu. Uczniowie rywalizowali między sobą o to, kto przyniesie więcej, bowiem można było zarobić parę złotych. Przywiozłem raz taki element, który leżał w złomie przed kuźnią. Był bardzo ciężki, że ledwo dałem radę go włożyć na rower. Przypominał kształt bomby. Ten pan, który przyjmował złom i nauczyciele przestraszyli się, gdy to zobaczyli. Nikt nie wiedział, co to może być. Pytali mnie, skąd to mam. Ogarnął ich wszystkich strach, gdy powiedziałem, że jest to element z rozbitego w lesie niemieckiego bombowca. Nauczyciele kazali natychmiast oddalić się ciekawskim dzieciom. Z niecierpliwością czekali, aż pan od złomu, po wnikliwym zbadaniu tego elementu, oznajmi, że zagrożenia nie ma i przyjął go na złom. Jeden niewielki aluminiowy element, jaki jeszcze zachował się w kuźni, przekazałem do Muzeum Kaszubskiego w Kartuzach. Znajduje się na ekspozycji *Kuźnia Bazylego*.

Dowiedziałem się, że w czerwcu 2006 roku Bractwo Historii Wojskowości w Gdańsku przy pomocy płetwonurków wydobyło drugi silnik wraz z innymi elementami i po jego renowacji przekazany został jako część ekspozycji na zamku w Gniewie. Byłem tam z Mietkiem w 2013 roku i widzieliśmy go. Miał 12 cylindrów po 6 w rzędzie w układzie V. W torfowym mule zachował się niemal w doskonałym stanie. Z informacji wynikało, że był to silnik Jumo 211f produkcji niemieckiej z 1941 roku, od bombowca Heinkel HE-111 na wyposażeniu Luftwaffe. Widok silnika zrobił na mnie wielkie wrażenie, gdyż uzmysłowiłem sobie, że latem w czasie wakacji kąpaliśmy się w tym jeziorze, w którym głęboko na dnie leżał ten silnik, a przy jego brzegu zbieraliśmy jagody. Wtedy jeszcze można było tam natrafić na drobne elementy z tego samolotu.

Il. 27. Bombowiec Heinkel HE-111 z czasów II wojny światowej. Dane charakterystyczne: rozpiętość 22,5 m; długość: 16,4 m; wysokość: 3,9 m; ciężar: 7720 kg; ładunek: 6350 kg; prędkość: 400 km/godz.; pułap 8390 m; zasięg 2800 km; uzbrojenie: 6 karabinów 6,92 mm, 1 działko 20 mm, ładunek bomb 2500 kg

Rakieta

Wracając do naszego pomysłu z rakietą, wykorzystaliśmy rurę, która miała z jednej strony zakończenie podobne do dziobu rakiety. Była długa na około metr i miała 10 cm średnicy. Napełniliśmy ją do połowy wodą, a w drugi jej koniec wbiliśmy dosyć mocno drewniany korek. Takie podobne doświadczenie pokazała nam pani na lekcji fizyki, ale było to doświadczenie z małą probówką napełnioną wodą i zatkaną korkiem. Korek wystrzelił, gdy probówkę podgrzano na małym palniku z denaturatem. Doświadczenie spodobało się nam do tego stopnia, że postanowiliśmy podobną próbę przeprowadzić z naszą rurą u dziadka w kuźni w palenisku. Wykorzystaliśmy odpowiedni moment po obiedzie, kiedy dziadek robił sobie drzemkę. Próba udała się pomyślnie. Nastąpił taki wybuch, że cała kuźnia zatrzęsła się, szyby zadrżały, a w kuźni zrobiło się ciemno od pary, kurzu i dymu. W pierwszym momencie nie wiedzieliśmy, co się stało. Po chwili rozjaśniło się i ucieszyliśmy się, że żyjemy. Wokół leżał tlący się węgiel z paleniska, a my brudni wyglądaliśmy jak czarne diabełki. Dobrze, że w tym momencie wybuchu do kuźni nie wchodził dziadek, bo

mógł zginąć śmiercią tragiczną od tak dużego korka, który z ogromną siłą wyleciał przez drzwi aż na podwórko. Tragedia byłaby wielka. Dwie wojny światowe przeżył, na froncie walczył, a tu w domu, we własnej kuźni wnukowie taki by mu zgotowali los. Na szczęście dziadek dosyć długo spał i zdążyliśmy w kuźni zrobić jako taki porządek, że nie poznał, co tu się działo. Eksperyment tak nam się spodobał, że rurę przerobiliśmy na rakietę, dorabiając z blachy skrzydełka pod odpowiednim kątem, aby nadać jej lot obrotowy. W niedzielne popołudnie, gdy rodzice i dziadek odpoczywali w domu, postanowiliśmy przeprowadzić następne próby z naszą rakietą na łące, gdy paśliśmy krowy. Zeszła się wtedy z ciekawości gromadka dzieci od bliższych i dalszych sąsiadów, aby zobaczyć, co będzie się działo. Ustawiliśmy rakietę do pionowego startu, z drewnianym korkiem w wykopanym dołku, w tak zwanym silosie. Na dnie dołka, który wykopaliśmy w torfie, ułożyliśmy spory kamień, aby rakieta miała lepszy odrzut. Wokół niej rozpaliliśmy ognisko, które wcześniej nakryliśmy starym, bez dna, kotłem, co ochraniało ognisko przed wiatrem. Z dala od ogniska czekaliśmy na jej start. Kilka startów było nieudanych. Udało się nam ją wznieść do góry, gdy wbiliśmy mocniej korek. Nastąpił potężny wybuch i jej start w otoczeniu kurzu oraz dymu. Rakieta ciągnęła za sobą efektowną smugę pary, jak prawdziwa rakieta i wzniosła się tak wysoko, że prawie straciliśmy ją z oczu. Zauważona została wtedy, jak zaczęła spadać prosto na nas. Z krzykiem i w strachu rozbiegliśmy się w różne strony. Strach nas obleciał jeszcze większy, gdy zobaczyliśmy, że spadająca rakieta wbiła się do połowy w łąkę. Był to niezapomniany ostatni lot naszej rakiety i na tym zabawa się skończyła, gdyż rozerwała się rura i nie było szansy na jej naprawę.

Zabawy

Jedną z ulubionych rozrywek w okresie letnim było wchodzenie wysoko na drzewa, a zwłaszcza na brzozy, które rosły na błotach. Przeskakiwaliśmy z gałęzi na gałąź, z brzozy na brzozę, a zimą z drąga na drąg w stodole. Skakaliśmy po nich jak najlepsi kaskaderzy. Nie baliśmy się spadać nieraz z wysokości około 4 m na słomę w *zepùlë*

(kasz. *zepùla* – skład słomy lub zboża w stodole), a czasem rozkrokiem na drąg, co było bardzo bolesne. Płakaliśmy z bólu, ale śmialiśmy się na żałosny widok poobijanych, sinych i opuchniętych tyłków.

Pewnego razu nie miałem tyle szczęścia i zamiast skoczyć na słomę, z dużej wysokości spadłem na twarde jak beton klepisko. Leciałem głową na dół, na szczęście w ostatnim momencie zdążyłem się obrócić tak, że upadłem na kolana. Miałem ogromne szczęście, że nie upadłem na obok stojące urządzenie do cięcia słomy z ostrym nożem, długim jak kosa. Brat Mietek pomógł mi stanąć na nogi. Kolana bardzo mi spuchły i nie mogłem się poruszać. Chodziłem jak na szczudłach, nie mogłem nóg zginać, bo tak bardzo bolały. Dobrze, że był to początek ferii zimowych. Po feriach, w szkole poślizgnąłem się i upadłem na kolana na próg. Znowu przy pomocy Mietka i sanek, z wielkim trudem dotarłem do domu. Kolana spuchły jak balony, że ledwo nogawki spodni dało się ściągnąć. Widząc, że sytuacja jest poważna, gdyż ból uniemożliwiał mi pójście do szkoły, opowiedziałem całe zdarzenie (ale tylko to ze szkoły) mamie. Zabawę w stodole celowo pominąłem. Ludzie, jak mogli, sami sobie radzili z leczeniem różnych dolegliwości. Wizyta u lekarza to była ostateczność. Na moje opuchnięte kolana, stary kawaler, Jan Chrzanowski, na którego mówiło się *Chrzunów Jon*, nasz domowy fryzjer, doradził mamie, aby robić okłady z tartej brukwi. Pomogło mi to szybko dojść do sprawności. Z błahymi problemami, dolegliwościami staraliśmy się nie zawracać mamie głowy.

Zimą do zabawy na śniegu mieliśmy tylko sanki, na których zjeżdżaliśmy z okolicznych pagórków. Służyły nam także do jazdy w karuzeli na zamarzniętym błotku lub jeziorze. Sami wykonywaliśmy sobie drewniane łyżwy na drucie lub narty z *bietek* (kasz. *bietka* – klepka używana na ściany wyrobów bednarskich) po starej beczce. Potrafiliśmy także zrobić narty, które swym wyglądem prawie niczym nie różniły się od nart zakupionych w sklepie. Były ręcznie wystrugane z brzozy przy pomocy toporka, ośnika (kasz. *smëdles*) i innych prostych narzędzi pożyczonych z dziadka kuźni bez jego wiedzy. Brzozę na narty wypatrzyliśmy sobie za dnia u kogoś w brzozowym lasku spod Królewskiego Lasu. Pod wieczór, tak aby nikt nas nie zauważył, wycięliśmy ją, obcięliśmy gałęzie oraz czubek. Z wielkim strachem

i wysiłkiem, prawie przez 2 km, targaliśmy dosyć ciężką kłodę brzozy na sankach do domu. Na naszych i sąsiednich błotach też rosły brzozy, ale żadne nie nadawały się na narty. Najlepszy byłby jesion, ten, który rósł u nas za chlewem. Mieliśmy instrukcję z gazety Gromada Rolnik Polski, w jaki sposób wykonać narty. Należało kłodę rozciąć wzdłuż. Wymagało to sporego wysiłku, gdyż trzeba było drewno rozpiłować ręczną piłą we dwóch, jeden na dole, drugi na górze. Nie było wtedy jeszcze piły tarczowej (kasz. *kréjżôga*). Rozcinaliśmy tę kłodę przez kilka dni w *szaurze* (kasz. *szauer* – komórka) w tajemnicy przed mamą, aby nie krzyczała, że nie robimy tego, co trzeba. Po kilku dniach narty były wystrugane, odpowiednio wygięte, wysuszone, pomalowane, okute i nawoskowane. Jeździliśmy na nich jeszcze tej samej zimy. Cieszyliśmy się, że nasz wysiłek opłacił się.

Wiosną, gdy na jeziorze puściły lody, pomyśleliśmy o budowie łódki. Zabraliśmy dziadkowi kilka desek brzozowych, które chował w stodole, a miał je przeznaczone na wyrób „cierzenek" (kasz. *czerzenka* – maselica) do robienia masła. Robił je w różnych kształtach i rozmiarach, potem zaś sprzedawał. Dziadek wtedy był już poważnie chory i bardzo cierpiał. Pomyśleliśmy, że nie zdąży tych wszystkich desek zużyć, stąd zabraliśmy ich tyle, ile nam było potrzebnych. Zaopatrzyliśmy się w różne niezbędne narzędzia i gwoździe, które zabraliśmy z kuźni. Dziadek kuźnię zamykał na kłódkę, ale mieliśmy sposób, aby tam wejść. Wchodziło się na poddasze po drabinie przez drzwiczki w szczycie, a tam w podłodze były następne drzwiczki, taka podnoszona klapa, przez którą schodziło się na piec do pieczenia chleba i już było się w środku. Przykrą, a zarazem dla nas śmieszną, przygodę przeżył wówczas nasz kolega, Naczków Kazik, który był razem z nami przy budowie łódki. Wysłaliśmy go do kuźni po jakieś narzędzie, tłumacząc, że dziadek po południu na pewno jest w domu i śpi, że drzwi do kuźni zamknięte są na kłódkę i ma tam wejść po drabinie przez poddasze. Po chwili Kazik przyszedł zapłakany i opowiedział nam, że gdy wszedł do kuźni przez poddasze, to tam w środku był dziadek, jakby na niego czekał i na przywitanie oberwał od niego ciężką kowalską ręką po uszach. Miał dziadkowi wytłumaczyć, po co tam wszedł, ale ze strachu zaczął się jąkać. Dziadek, trochę głuchy,

nie mógł go zrozumieć, więc wygonił go, zwyzywał od złodziei, a na drogę jeszcze raz porządnie zdzielił po uszach. W drugi dzień świąt nasza łódka była już gotowa. Trochę kształtem przypominała kajak. Potem dorobiliśmy wiosła. Cieszyliśmy się, że wreszcie sobie popływamy. Niestety, po jej zwodowaniu okazało się, że zbyt szybko nabiera wody i nie da się nią popływać. Wszystkie nieszczelności trzeba było dodatkowo uszczelnić skrawkami szmat i nasmołować. Marzyliśmy zawsze o własnej łódce i w końcu ją mieliśmy. Projekt i wykonanie nie były zbyt udane, ale za to radość ogromna. Mogła w niej pływać tylko jedna osoba, dlatego że była trochę mała i wywrotna. Później dorobiliśmy jej blaszany ster oraz żagiel z foliowych worków po nawozach. Dzięki temu mogliśmy pływać po całym jeziorze.

Jeziorko

Pamiętam, że w latach 60. XX wieku jeziorko nie było tak zarośnięte jak teraz. Z każdej strony był dobry dostęp do brzegu. Mogliśmy poić krowy i nabierać wiadrami wody dla trzody chlewnej, którą woziło się do domu beczkowozem (na zdjęciu niżej) skonstruowanym przez dziadka.

Il. 28. Andrzej przy beczkowozie, 2012 rok

Dla ułatwienia nabierania czystszej wody z jeziora zbudowany został niewielki około 5 metrowy pomost, który także służył nam jako przystań dla łódki. Latem w ciepłe dni można było usiąść na tym pomoście, przy okazji wymoczyć nogi i przyjrzeć się dzikim kaczkom na wodzie, jak pływają z młodymi kaczątkami. Można było obserwować ciekawy świat roślin i zwierząt życia na wodzie i pod wodą.

Błota

Błota były bagnistym, torfowym terenem położonym pomiędzy dwoma jeziorkami. Znajdowały się niedaleko za stodołą, przylegały do łąki, na której paśliśmy krowy. Ten teren był także naszym ulubionym miejscem na nasze zabawy. W miesiącu maju kopało się tam torf, który do lat 60. XX wieku stanowił podstawowy opał dla tych, którzy mieli do niego dostęp. Za naszym torfowiskiem swoje działki torfowe mieli: Dalecki, Malek, dalej Cyman i inni. Torf wydobywano na własne potrzeby, przeważnie w ciągu kilku ciepłych, pogodnych dni w maju. Dlatego w maju, gdyż musiał przez lato dobrze wyschnąć. Wydobywany był w postaci brykietów, takich prostokątnych klocków wielkości i grubości dwóch złożonych na płasko cegieł, na które mówiło się *kãpë* (kasz. *kãpa*). Na przykład mama powiedziała: *Andrzéj, włóż do blatë jednã kãpã, abò dwie kãpë torfù*. Takie wysuszone brykiety kiedyś miały także zastosowanie przy budowie domów o drewnianej konstrukcji, którymi na glinę wypełniano ściany. Przed kopaniem torfu trzeba było wyznaczyć miejsce wykopu około 2 na 4 metry, odkryć go, czyli zdjąć wierzchnią warstwę darniny, wrzosów, sitowia i innych narośli. Warstwa torfu sięgała przeważnie do głębokości około 2 m, niżej był piasek. Czasami kopanie trzeba było zakończyć szybciej, gdy do wyrobiska wsiąkała woda i nie nadążano jej wiadrami wylać. Najbardziej kaloryczny był ten torf, który tkwił najgłębiej. Przez tysiące lat był bardziej uleżały i sprasowany. Po wyschnięciu stawał się ciężki, koloru ciemnobrązowego, prawie czarnego i twardy jak węgiel brunatny. Natomiast ten z górnej warstwy był lekki i mniej kaloryczny. Miał kolor brązowożółty, dlatego mówiło się na niego

torf lisowaty *lës*. W niektórych pokładach torfu można było napotkać leżące kłody drzew, niektóre nadwęglone były w wyniku pożaru. Na skutek procesu gnilnego przez wiele wieków albo tysięcy lat miały konsystencję bardzo gęstej mazi. Po wydobyciu gołymi rękami mokry, galaretowaty, zimny torf nakładano na *szlupë*, takie niskie sanie, którymi konno odwożono torf trochę dalej do suszenia na słońcu. U nas, aby koń miał lżej do ciągnięcia, dziadek wymyślił *„lurki"*, takie szlupy na drewnianych rolkach. Mokry torf składało się na ziemi w małe stosy z 4–6 brykietów. Po kilku dniach, kiedy brykiety podeschły, budowano z nich większe stosy, potem jeszcze większe, takie okrągłe od podstaw piramidy. Następnie wysuszony torf zwożono do domu wozem konnym załadowanym wysoko, że ledwo można było wjechać do *torfôczka* (kasz. *torfôcz*) – pomieszczenia na opał.

W świeżo wykopanych dołach po torfie, zwanymi torfiankami (kasz. *torfkùla*), latem kąpaliśmy się. Można powiedzieć, że były to nasze naturalne baseny kąpielowe z borowinami jak w sanatorium. W tych torfiankach uczyliśmy się pływać. Nauka była prosta i skuteczna. Końskimi lejcami wiązało się w pasie chętnego do nauki i przeciągało w głębokiej wodzie w tę i z powrotem, nie dając szansy wyjścia na brzeg, coś w rodzaju: *nauczysz się albo się utopisz*. Pamiętam, jak tym sposobem nauczyły się pływać siostry Bogusia i Gienia. Gienia była jeszcze mała. Wymachiwała rękami na wszystkie strony, zachłystywała się wodą, zgrzytała zębami z zimna, ale nie poddawała się, gdyż koniecznie chciała nauczyć się pływać. Takie błota były niebezpieczne. Z opowiadań wynikało, że zdarzały się wypadki śmiertelne. Niedoświadczony człowiek, wciągnięty w głąb bagna, ginął bez śladu.

Na dodatek nocną porą pojawiały się tam błędne ogniki, po kaszubsku mówiono na nie *yrlyche*, które jako latarnie mylnie naprowadzały idącego przez takie błota. Według opowiadań pojawiały się w nocy w postaci odległych światełek tuż nad ziemią. Najczęściej występowały na obszarach bagiennych, nad wodą. Ogniki miały zwodzić wędrujących nocą ludzi. Wierzono, że ognikami stawały się po śmierci dusze ludzi okrutnych, obojętnych na krzywdę ludzką, złych i nieuczciwych. Poprzez zwodzenie ludzi odpokutowały one za krzywdy wyrządzone innym ludziom za życia. Niekiedy mówiono na

nie *biésë* (kasz. *biés* – zły duch). Nie bez powodu dziadek Bazyli, jak się zdenerwował, gdy mu coś nabroiliśmy, to pogroził nam i mówił do nas *wa biésë, biésôsë* albo coś w rodzaju: *wa spieklôńcowie, smarkòlowie*. Dzisiaj wiemy, że jest to zjawisko związane z samozapłonem gazów, głównie metanu lub fosforowodoru wydobywającego się z gnijących szczątków pochodzenia organicznego. Podobne zjawisko udało mi się zobaczyć na własne oczy za kuźnią, na błotach u Macha Alojzego, innym razem na błotach Cymana. Kiedy indziej, wieczorem, zauważyliśmy obok stodoły świecący seledynowym, fosforyzującym światłem spróchniały w ziemi duży pień topoli. Odrywaliśmy jego kruche kawałki i przynosiliśmy pokazać je w domu. Od okruchów tego pnia przez chwilę świeciły nam ręce i ubranie.

Tu wspomnę, że Mach Alojzy i jego żona Augusta *„Machów Alizy z Głystu"* byli naszymi najbliższymi sąsiadami. Nie mieli dzieci. Mach nie posiadał konia. Prace polowe, takie jak oranie czy inne prace w polu, wykonywał przy pomocy krów. Z pola do domu też wszystko zwoził krowami albo sam zwoził taczką. Gospodarstwo jego nigdy nie miało prądu. Po ich śmierci zagroda poszła w zapomnienie. Tak samo w niepamięć poszły inne zagrody znajdujące się niedaleko od nas: Alojzego Malka – *Ferszta*, na wschód Ekmana, a przy drodze do Borku po lewej stronie naprzeciw Malka Józefa mieszkał Dalecki Leon – *Froncyla*. Takim dalszym sąsiadem gospodarzem był Dalecki Onufry – *Nyfer*. Gospodarstwo swoje sprzedał Ambrożemu i Stefanii Bulczakom. Wkrótce Ambroży zmarł. Po jego śmierci gospodarzem był drugi mąż Stefanii, Lis Stanisław. Dalszym sąsiadem gospodarującym za jeziorem był Malek Edmund – *Grintela*.

Las

Łatwiej się nam żyło, gdy tata zaczął pracować w pobliskim lesie zwanym Królewski Las. Pracował tam jako drwal-pilarz w leśnictwie Kamionka, gdzie obsługiwał piłę spalinową, inaczej mówiło się *żôga motórowô*. Dotychczas wszystkie prace w lesie związane ze ścinaniem, przecinaniem i obcinaniem drzewa wykonywało się 2-osobową piłą ręczną i siekierami. Tata wykonywał także inne prace związane z lasem.

Il. 29. Od lewej: Klejna Antoni z Gowidlina wyb., Lis Stanisław z Leman, nn., tata – Jan Dąbrowski. Około 1980 roku

Nie mieliśmy wtedy problemu z drewnem opałowym, którego było zawsze pod dostatkiem. Tata po pracy codziennie wracał do domu, stąd większość cięższych prac odeszło z naszych obowiązków. To była dobra strona tej pracy. Z drugiej strony byliśmy pod większym nadzorem taty, mieliśmy mniej swobody i czasu na zabawy. Tata sprawdzał, czy się uczymy, odrabiamy lekcje, pomagał przy pracach ręcznych do szkoły. Chodził też na wywiadówki szkolne. Wymagał, aby wszelkie prace w gospodarstwie wykonywane były solidnie i dokładnie. Wszędzie na koniec pracy musiał panować ład i porządek. Narzędzia i różnego rodzaju sprzęty musiały być zawsze sprawne, czyste i odłożone na swoje miejsce. Las, w okresie wakacji, był także naszym miejscem zarabiania pieniędzy. Zbieraliśmy i sprzedawaliśmy jagody leśne, borówki, żurawiny i grzyby. To był nasz wakacyjny obowiązek. Takim sposobem wspomagaliśmy budżet domowy. Na jagody jeździliśmy rowerami, z mamą lub sami. Mieliśmy bliżej do Królewskiego Lasu, ale jeździliśmy do większego lasu, w stronę Chośnicy i jeszcze dalej, prawie 10 km pod Parchowo. W tych lasach można było szybciej znaleźć dobre miejsca z jagodami. Była to ciężka praca, ale nieźle dochodowa. Jagody zbierało się na kolanach lub na stojąco

w pochylonej pozycji przez cały dzień. Bolały kolana i kręgosłup, a tu trzeba było jeszcze dojechać z pełnymi i ciężkimi koszami jagód do punktu skupu i dalej do domu. W domu była kolacja, spanie i rano znowu do lasu. Dobrze, jak dopisywała pogoda. Gdy było zimno, padał deszcz – palce sztywniały i mniej się uzbierało. Gdy było za gorąco, to komary bardzo gryzły. Takie wakacje miały prawie wszystkie dzieci w okolicy. Zazdrościliśmy dzieciom z miast, które w wakacje przyjeżdżały na kolonie. Nie musiały pracować jak my, tylko bawiły się i odpoczywały. W okresie jesiennym można było trochę zarobić na zrywaniu i sprzedaży owoców jarzębiny, o ile punkty skupu ją odbierały. Jarzębiny dziko rosły wokół naszego gospodarstwa. Mama po drabinie wchodziła wysoko na jarzębinę, zrywała ich grona i zrzucała na ziemię, a my skubaliśmy je i napełnialiśmy nimi kosze oraz worki. Baliśmy się, żeby mama nie spadła. Wszyscy pomagaliśmy mamie. Zawsze mobilizowała nas do różnych prac, które mogły przynieść jakiś dochód. Bardzo się starała, aby niczego nam nie brakowało. Gdyby nie jej zaradność, to mogłoby być biednie.

Elektryfikacja

W 1964 roku nastąpiła elektryfikacja naszego rejonu i zostaliśmy podłączeni do prądu. Dokładnie 20 marca o godz. 18:06 w okolicy, u sąsiadów i w naszym domu, zaświeciły pierwsze żarówki. Elektrycy montowali jeden punkt świetlny w domu, przeważnie jedna lampa w kuchni i jedno gniazdko w pokoju. Tak samo w jednym z pomieszczeń gospodarczych, a także jedno gniazdo siłowe na ścianie budynku. Był to ważny moment historyczny a zarazem początek unowocześniania gospodarstwa. Cieszyliśmy się z tej okazji, ale radości zbyt wielkiej nie okazywał dziadek Bazyli. Mówił, że było to niepotrzebne, szkoda było wydawać na to pieniądze i że: *dotëchczas widu nie bëło i téż sã żëło* (kasz. *dotychczas światła nie było i też się żyło*). Stopniowo prąd podłączano do pozostałych pomieszczeń, także w końcu dziadek zgodził się podłączyć światło do swego pokoju. Niedługo potem został zakupiony motor na siłę i krajzega oraz śrutownik. Dotychczas drzewo na opał przecinało się na klocki dwuosobową piłą ręczną, a śrutowanie odbywało się

urządzeniem zwanym żarnami, które napędzane były kieratem. Żarna miały dodatkowe wyposażenie w postaci zestawu sit, którymi mogła być przesiewana mąka. W następnej kolejności do silnika elektrycznego przystosowywano pozostałe maszyny, między innymi dziadek dorobił do młockarni drewnianą szajbę wzmocnioną stalowymi pierścieniami i śrubami, taką podobną, jaką wcześniej zrobił na silnik. Ja, po kilku latach, dorabiałem tacie stalowe szajby. Podziwiałem wtedy te drewniane, zrobione przez dziadka – przypominały mi prawdziwe mistrzowskie dzieła sztuki. Podłączenie naszego gospodarstwa do prądu było bardzo kosztowne dla rodziców. Inne gospodarstwa wokół były ujęte w planie elektryfikacyjnym i za linię energetyczną chyba nic nie płacili, a tylko za przyłącze do domu i instalację wewnętrzną. Tata, jeśli chciał, aby nasze gospodarstwo było podłączone do prądu w tym samym czasie, musiał prywatnie zapłacić za żelbetonowe słupy, druty i za wszystko, co było potrzebne do podłączenia. Musiał też sam, na własny koszt, wykopać w zamarzniętej ziemi otwory pod słupy.

Pożar

W 1969 roku dotknęło nas nieszczęście, spalił się nasz rodzinny dom. Całe szczęście, że nie dożył tego dziadek. W czasie pożaru tata był w pracy w lesie. Pojechałem po niego po zakończonej akcji gaśniczej. Gdy mu powiedziałem, co się stało, bardzo się tym przejął. Przyjechaliśmy do domu i gdy to wszystko zobaczył, zmartwił się tym smutnym widokiem. W milczeniu usiadł pod kasztanem. Po chwili ze smutkiem spojrzał na nas i powiedział: *co më zrobimë, bùdink so spôlił i gdze më terôz bãdzemë mieszkelë* (kasz. *Co my teraz zrobimy, budynek się spalił i gdzie my teraz będziemy mieszkali*).

Mój ojciec Jan bardzo się przejął. Żal nam się zrobiło taty. Mama pocieszała go, aby się nie martwił, wspierała tatę duchowo, dodawała mu otuchy, mówiąc do niego: *Jónkù nie martw sã. Dôł Bóg dzéń, dô i radã.* Nas wszystkich także podtrzymywała na duchu. Była takim naszym motorem do dalszego działania. Sama też ciężko pracowała, a jednocześnie nas wszystkich siedmioro wychowywała. Nigdy nie narzekała i nie wątpiła w sens życia, nawet w najtrudniejszych

Il. 30. W tle widok starego domu przed pożarem, z lewej strony obora ze stajnią, a z prawej, u dołu, cień stodoły. Na tle domu widać sylwetkę Bogusi. Widoczne okno domu to pokój dziadka Bazylego i babci Marty

chwilach niepowodzeń, a bywało różnie. Z wielką gorliwością zachęcała nas do modlitwy i przypominała, abyśmy zawsze pamiętali o Bogu. Zawsze nam wszystkim dawała nadzieję, mówiła, że będzie lepiej. *Może i dobrze* – powtarzała nam – *że stary dom się spalił. Najważniejsze, że wszyscy żyjemy i nikomu nic się nie stało*. Mówiła, że z PZU powinniśmy dostać jakieś odszkodowanie, bo dom był ubezpieczony, weźmiemy pożyczkę i pobuduje się nowy, murowany dom. Mama miała rację, bo z tatą wspólnie myśleli o budowie w przyszłości nowego domu. Nie sądzili jednak, że nastąpi to w takich okolicznościach. Tylko wtedy za rozbiórkę starego domu nie dostaliby nic, a tak otrzymali ok. 60 tys. zł odszkodowania. Bank udzielił kredytu na kwotę 150 tys. zł na niski procent. Zaletą było również to, że dla pogorzelców były specjalne przyśpieszone przydziały na materiały budowlane, takie jak: cement, wapno, cegła, stal i inne. Pamiętać należy, że był czas, kiedy nie tylko półki sklepowe świeciły pustkami, ale i problem był z zakupem materiałów budowlanych. Można je było nabyć z wielkimi trudnościami, etapowo, na zapisy w kolejce, z otrzymanym przydziałem z gminy i pozwoleniem na budowę.

Budowa nowego domu

Rodzice podjęli decyzję o rozbiórce starego domu po pożarze i budowie nowego murowanego domu. Po oszacowaniu strat przez PZU rozebraliśmy z Mietkiem wszystkie mury, posortowaliśmy deski, belki i pozostałe elementy tak, aby jak najszybciej przygotować plac pod budowę. Czekała nas ciężka praca: przygotowania wykopów pod piwnicę, zalanie fundamentów i ław. Wraz z siostrą Bogusią pomagaliśmy przy wykonywaniu pustaków betonowych, do których użyliśmy piasku znad jeziora w Lemanach. Ciężkie pustaki trzeba było ręcznie załadować na wóz, przywieźć do domu i rozładować. Dużego wysiłku wymagała także zwózka innych materiałów do budowy jak: cement, wapno, cegła czy piasek. Cement wówczas pakowany był w workach 50 kg, które ledwo mogliśmy udźwignąć. Cegłę woziliśmy z cegielni Długi Kierz, załadować trzeba było ją ręcznie i w domu ręcznie rozładować. Wszystkie inne materiały także załadowywano i rozładowywano ręcznie. Nawet piasek do budowy ręcznie łopatami ładowano na wóz konny. Nie było wówczas, tak jak obecnie, że wszystko przywiozą na palecie i rozładują. Wykop pod piwnicę i fundamenty, które wytyczył wujek Józef, mamy brat ze Słupska, kopałem z Mietkiem ręcznie łopatami chyba przez dwa tygodnie. Przy kopaniu pomagała cała rodzina, kto tylko mógł. Wykopaną glinę konno woziliśmy szlupami do *kòpli*, takiej małej łąki za błotkiem.

Dzisiaj taki wykop koparka wykonuje w kilka godzin. Wujek Józef, gdy już mieliśmy gotowe wykopy, we wrześniu budował nasz dom od podstaw, począwszy od ław i fundamentów do zabetonowania stropu piwnicy. Dalej budowę kontynuował następny brat mamy, wujek Jan, który postawił wszystkie mury i zabetonował strop parteru. Jak powiadała mama, przez jego i Mietka ręce przeszły wszystkie pustaki i cegły a także inne materiały. Pod koniec września dom stał już w surowym stanie i można było przystąpić do dalszych prac. W następnym roku, na jesień, można już było przeprowadzać się do nowego domu.

Na początku września pojechałem do Słupska, aby dalej kontynuować naukę zawodu w 2 klasie. Wówczas przy budowie domu najwięcej wujkom pomagał Mietek. W ogóle, kiedy wyjechałem do

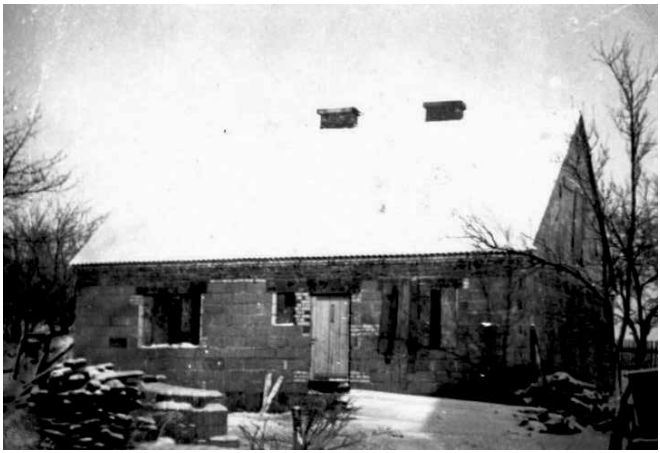

Il. 31. 1969 rok, grudzień. Dom w surowym stanie

Słupska w 1968 rok, to więcej obowiązków w domu spadło na Mietka i Bogusię. Młodsze rodzeństwo wówczas miało po kilka lat. Gienia miała 8 lat, a Stanisław i Zygmunt po 6 lat, natomiast Janusz w tym roku się urodził. Mniej więcej w tym samym czasie z wujkiem Władkiem wykopaliśmy studnię w miejscu, które wskazał różdżkarz. Wodę z niej używaliśmy do 1995 roku do wybudowania gminnej sieci wodociągowej.

W roku 1979 tata z mamą postanowili i pobudowali w miejscu starej, małej drewnianej stodoły ze słomianym dachem nową, większą, murowaną stodołę z oborą, garażem, świńską kuchnią i kurnikiem. Następnie został zlikwidowany śmierdzący obornik, który dotychczas składowano prawie na środku podwórka, a w jego miejscu zbudowano szambo. Nowy skład obornika przeniesiono za nową stodołę, w miejsce, gdzie kiedyś był kierat (kasz. *rozwerk*). Tu wspomnę, że świńska kuchnia to pomieszczenie, w którym przygotowywano karmę dla zwierząt. Ta dotychczasowa znajdowała się przy wjeździe na podwórko, tam gdzie teraz jest garaż z wejściem do piwnicy. Zbudowana była z pruskiego muru, z drewnianym dachem pokrytym papą. Wcześniej, dwa lub trzy lata przed pożarem domu, z wujkiem Władkiem z Bytowa rozebraliśmy ją. Pobudowaliśmy nową z lanego betonu i kamieni, na której później dobudowano piętro.

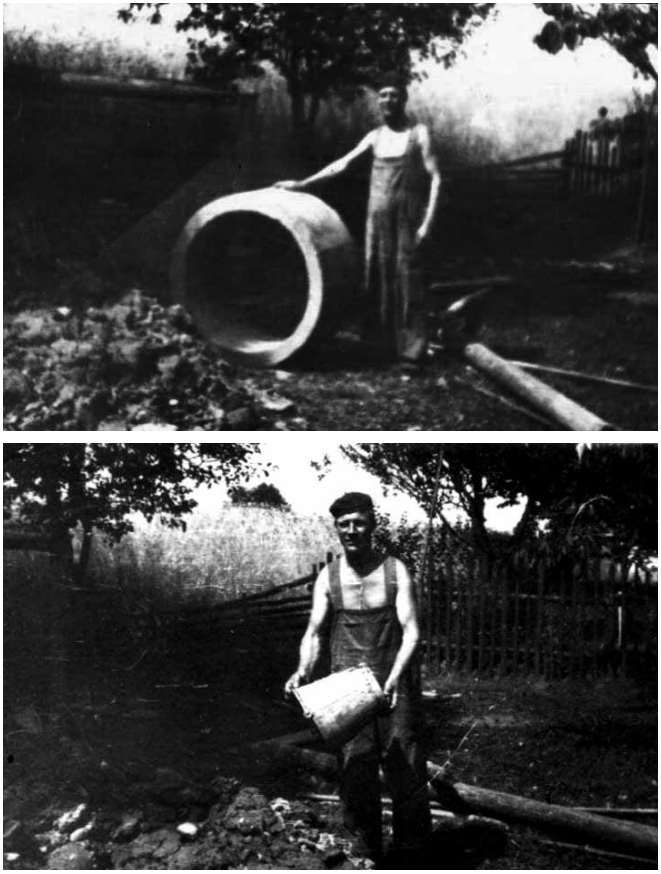

Il. 32.–33. Wujek Władek przy budowie studni

W 1980 roku wykonałem instalację elektryczną do nowej stodoły, obory i pozostałych pomieszczeń. W tym samym roku wykonałem wodociąg z hydroforem i instalacją wodociągową w domu, oborze wraz z poidłami dla krów i w nowej świńskiej kuchni. Kolejne prace wykonane w domu to centralne ogrzewanie z ciepłą i zimną wodą do kuchni i łazienki, a także całe wyposażenie łazienki. Jak na tamte czasy był to wielki krok do przodu, gdyż nie każdy miał wtedy na wsi takie udogodnienia.

W 1975 roku ożeniłem się i przeprowadziłem do Kartuz. Na gospodarstwie pozostał brat Stanisław, który zmarł tragicznie. Żyją żona i dzieci. W 2004 roku zmarł mój ojciec Jan, a w 2021 roku moja mama Anna. Pamięć o dziadku Bazylim trwa dzięki ekspozycji w Muzeum Kaszubskim w Kartuzach i jego ideach, które mi przez całe życie przyświecały.

Il. 34. Rok 1965 Gowidlino. Andrzej przyjęty do I Komunii Św. drugi rząd, piąty od prawej. Trzeci rząd, czwarty od lewej: Zblewski Stanisław, drugi od prawej Szela Andrzej, ks. Tadeusz Olszewski

Il. 35. Rok 1965, Sulęczyno. Pogrzeb nauczyciela Jana Błaszczyka z Borowego Lasu. Od lewej: Danuta Stenka, Andrzej Dąbrowski, Agnieszka Peta, z tyłu od lewej Maria Gruchała

Il. 36. Rok 1967. Przyjęcie do I Komunii św. Mietka i Bogusi. Obok Mietka siedzą jego rodzice chrzestni. Obok Bogusi siedzi mama z tatą. Klęczą od lewej: Stanisław, Gienia i Zygmunt. Ostatni z prawej siedzi Bazyli, za nim stoi Andrzej

Il. 37. Rok 1970. Stanisław i Zygmunt

Il. 38. Rok 1972. Stanisław i Zygmunt z rodzicami

Il. 39. Stanisław, Janusz i Zygmunt. Jan i Anna z dziećmi

KARTUSKIE ZESZYTY MUZEALNE
NR 6/2021
MATERIAŁY ŹRÓDŁOWE

Barbara Kąkol

WSPOMNIENIE NOWEGO TUCHOMIA

Miejscowość Nowy Tuchom leży w województwie pomorskim w gminie Żukowo, w powiecie kartuskim. Obecnie administracyjnie Nowy Tuchom należy do obwodu sołectwa Miszewko, do parafii zaś Chwaszczyno. W średniowieczu wraz z małym Tuchomiem i dużym Tuchomiem był własnością klasztoru cystersów w Oliwie[1]. Miejscowość położona jest przy drodze krajowej Stargard – Szczecinek – Gdynia, 1,5 km na południe od Tuchomia (niem. Gross Tuchom). Niewiele jest informacji źródłowych o tej miejscowości. Pewne wiadomości można uzyskać z dzieła Willego Heidna *Die Geschichte des Kreises Karthaus (Vom Ende der Ordensherrschaft 1466–1945)*. Nowy Tuchom *w* zaborze pruskim nazywany był (niem.) Neu Tuchheim, później Neu Tuchom. Z publikacji tej wiemy, że w II połowie XIX wieku powstał folwark, którego właścicielem był Rudolf Ulrich. Od 1909 roku dysponentem 54,46-hektarowego majątku został Kurt Ulrich. Wówczas Nowy Tuchom liczył dwa domostwa, które zamieszkiwało 13 osób[2].

[1] M. Biskup, A. Tomczak, *Mapy województwa pomorskiego w drugiej połowie XVI w. I. Rozmieszczenie własności ziemskiej. II. Sieć parafialna*, Roczniki Towarzystwa Naukowego w Toruniu 1955, R. 58, Z. I, ss. 1–182; *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, t. XII, red. F. Sulmierskiego, B. Chlebowskiego i W. Walewskiego, Warszawa 1890, s. 136. Por. T. Wilczewski, *Nazwy miejscowości na Kaszubach*, Gdańsk 2015, s. 317. https://pbc.gda.pl/dlibra/publication/56260/edition/50166/content (dostęp: 12.02.2021).

[2] W. Heidn, *Die Geschichte des Kreises Karthaus (Vom Ende der Ordensherrschaft 1466–1945)*, Hamburg 1971, s. 637.

Na mocy traktatu wersalskiego Nowy Tuchom znalazł się w granicach państwa polskiego. W międzywojniu zamieszkali w nim moi dziadkowie. W 1942 roku nazwę miejscowości zniemczono na Netuchheim.

Wychowałam się w Nowym Tuchomiu. Tuż za naszym domostwem rosną nadal dwa duże, rozłożyste dęby, które wyznaczają granice z Baninem. Ogromnym walorem Nowego Tuchomia są nieodległe, okoliczne lasy ciągnące się aż do Osowej, a także bliskie sąsiedztwo z jeziorem Tuchom. Tymi lasami niejednokrotnie jeździliśmy do kościoła w Chwaszczynie, a także do rodziny do Osowej. W lesie w Borowcu jest zresztą takie miejsce za mostem, na rzece Strzelence, z którego można obrać drogę na północny wschód – na Osowę, na wschód – na Barniewice, na zachód – na Nowy Tuchom, na południe – na Banino, na północ – na Chwaszczyno. Dzisiaj wiedzie tędy wytyczony szlak konny imienia Daniela Chodowieckiego[3].

Ziemia, na której gospodarowali moi dziadkowie, potem rodzice, dawniej należała do Zygmunta Czarneckiego, który był właścicielem majątku Tuchom[4]. W czasie parcelacji zakupił ją mój pradziadek

[3] I jego odcinek biegnie przez: Gdańsk-Osowę – Barniewice – Nowy Tuchom – Tuchomek – Warzenko – Tokary – Kawle Dolne – Trzy Rzeki – Rąb – Otalżyno.

[4] Babcia zawsze utrzymywała, że ziemię zakupili od Czarneckiego, a nie – jakby się mogło wydawać – od K. Ulricha, którego posiadłość znajdowała się znacznie bliżej gospodarstwa dziadków. Zygmunt Czarnecki wraz Grosskopfem wybudowali w 1874 roku pierwszą cegielnię w Osowej nad południowo-wschodnim końcem Jeziora Osowskiego. Około 1900 roku cegielnię odkupił od nich wraz z ziemią Rotman. Były właściciel cegielni Czarnecki nabył wówczas w 1929 roku majątek Tuchom, kupując go od Niemca Boelcke. Do wybuchu II wojny światowej Czarnecki prawdopodobnie nie zdążył zapłacić całej należności za folwark, dlatego w księgach wieczystych jako właściciel widniał Ernest Boelcke. Czarnecki mieszkał w dworku, w którym mieści się Szkoła Podstawowa w Tuchomiu. W czasie II wojny światowej Czarnecki z żoną i synem Zygmuntem trafili do Stutthofu i tam zginęli. Tę wersję wydarzeń podważa E. Pryczkowski, który podaje w swej książce, że Czarneccy przeżyli wojnę, a pani Czarnecka w 1990 roku odwiedziła ks. Czesława Jakusza Gostomskiego. Zob. E. Pryczkowski, *Tuchom szlachetne dziedzictwo kaszubskiej wsi*, Banino – Tuchom 2021, s. 78, 88. Por. E. Gołąbek, *Dzieje okolic Gdańska i Gdyni*, Gdańsk 2010, ss. 323, 411, 412.

Józef Wiśniewski[5] dla swojego syna Józefa. W 1934 roku Józef pojął za żonę Walerię Stenzel z Banina[6]. Zachowała się białoczarna fotografia, na której widać młodą, ładną dziewczynę (kobietę) w welonie z wiankiem z mirtu, a obok niej wysoki, przystojny mężczyzna o łagodnym spojrzeniu. Państwo młodzi zamieszkali w nowej posiadłości położnej w Nowym Tuchomiu, gdzie w miarę dobrze im się żyło. Mieli do pomocy służbę (kasz. *parobka i dzéwkę*). W 1936 roku urodziło się ich pierwsze dziecko, córka Elżbieta[7].

Mir domowy rodziny został jednak zburzony z chwilą wybuchu drugiej wojny światowej. Bardzo szybko wojska niemieckie zajęły Pomorze, w tym powiat kartuski. Przystąpiono do realizowania szeroko zakrojonej akcji wysiedleńczej. Podstawą prawną dla niej był dekret Hitlera z 7 października 1939 roku. W cztery dni później, po nadaniu pełnomocnictw Heinrichowi Himmlerowi, niemiecka policja i służba bezpieczeństwa rozpoczęła wysiedlenia ludności polskiej. Największą liczbę polskich rodzin z powiatu kartuskiego wysiedlono z Banina

---

[5] Józef Wiśniewski (ur. 11.01.1852 – zm. 18.08.1941) po I wojnie światowej osiedlił się między Osową a Chwaszczynem na tzw. Kawlach. Pochodził z Górnej Grupy, spod Świecia. Jego żona Augustyna (ur. 5.09.1869 – zm. 16.10.1952), a moja prababcia z domu Jantowska była Kaszubką. Pochodziła z Wysokiej. Mieli trzech synów: Józefa (ur. 12.07.1900 – zm. 11.03.1988) – mojego dziadka, Jana (ur. 1902 roku) i Walerego (ur. 4.11.1903 – zm.17.12.1988). Jan ożenił się z dziewczyną z domu Żaczek z Pucka. Zmarła dwa lata po ślubie w 1950 roku. Z tego małżeństwa urodziła się Magdalena. Wyszła za mąż za Zenona Knittera z Ostrowia na Jeziorze Wdzydzkim. Ich syn, Rajmund Knitter, pracuje w Muzeum Ziemi Kościerskiej. Drugą żoną Jana była Klara Gurska z Koleczkowa. Szerzej E. Gołąbek, *Wspomnienia kaszubskie i polskie*, Gdańsk 2020, s. 98. Walery ożenił się z Anielą (ur. 23.04.1915 – zm. 20.02.2001). Mieli czworo dzieci. Na gospodarstwie w Chwaszczynie gospodaruje syn.

[6] https://www.geni.com/people/Waleria-Stencel/6000000077160263828 (dostęp: 21.09.2021). Waleria z domu Stenzel urodziła się 23 lipca 1910 roku, zmarła 23.10.2011 roku w Nowym Tuchomiu. Jej rodzicami byli Aniela (ur. 29.09.1887 – zm. 31.10.1964) i Jakub Stenzel (ur. 27.07.1876 – zm. 8.06.1959).

[7] Elżbieta Wiśniewska (ur. 14.11.1936 – zm. 17.01.2012) wyszła za mąż za Henryka Strankowskiego (ur. 4.06.1936 – zm. 18.12.2016) z Lipusza, którego rodziców zamordowano w 1939 roku. Szerzej: J. Borzyszkowski, *Monografia Lipusz Dziemiany*, Gdańsk 1994. Mieszkali w Gdyni.

i Żukowa[8]. Los ten spotkał także moich dziadków Józefa i Walerię[9]. Skierowano ich na stację Kartuzy. Niestety, niewiele wiemy, w jaki sposób udało się Walerii wydostać z transportu i wrócić z córką do rodziny. W każdym razie Józef został wysłany na prace przymusowe do prowincji Pommern. Waleria nie mogła wrócić już na swoje gospodarstwo, ponieważ zostało zajęte przez Niemkę o nazwisku Weber. Wówczas udała się do rodziców męża w Wysokiej[10].

Józef, na pracach przymusowych, pracował przy koniach. Pewnego razu jeden z koni zachorował i dziadek musiał uciekać, aby uniknąć zemsty bauera. Wrócił do żony. Małżonkowie długo nie nacieszyli się sobą, gdyż otrzymał nakaz pracy[11]. Został kierowcą w straży pożarnej. W 1943 roku urodził się syn Edward. Szczęśliwie rodzinie udało się przeżyć wojnę. Nie wszystkim było to dane. Wrócili na swoje gospodarstwo opuszczone przez Niemkę Weber, która uciekała

[8] B. Hajduk, *Kartuzy i powiat w latach 1939–1945* [w:] *Dzieje Kartuz*, t. 2, Kartuzy 2001, s. 168.

[9] Jeszcze przed wybuchem wojny w kierownictwie NSDAP zapadła decyzja o szybkim usunięciu polskiej ludności napływowej z pomorskiego „korytarza" do centralnej i wschodniej Polski i sprowadzeniu na jej miejsce Niemców. Z chwilą zajęcia Pomorza przystąpiono do akcji „oczyszczania korytarza", w której brały udział jednostki SS, policji, Wehrmachtu oraz złożone z miejscowych Niemców oddziały Selbstschutzu, które już znacznie wcześniej przygotowały listy proskrypcyjne – na ich podstawie przeprowadzano aresztowania. W początkowej fazie akcję wysiedlania Polaków z Gdyni i okolicznych miejscowości prowadzono bardzo szybko i chaotycznie. Władzom III Rzeszy bardzo zależało na tym, aby nowo utworzoną bazę Kriegsmarine zamieszkiwali rodowici Niemcy, którzy dbaliby o rozwój tego ważnego dla gospodarki Rzeszy portu bałtyckiego. Podstawę prawną masowych wysiedleń ludności pozostającej w strefie okupacji niemieckiej dał dekret Hitlera z 7 października 1939 roku, którym posłużył się szef niemieckiej policji Reichsführer SS Heinrich Himmler, upoważniając 11 października 1939 roku policję i Służbę Bezpieczeństwa do rozpoczęcia wysiedleń ludności polskiej z Gdyni. https://www.polska1918-89.pl/pdf/wysiedlenia-z-gdyni-w-1939-roku,5828.pdf (dostęp: 25.10.2021)

[10] Relacja Teresy Wanke, córki Walerii, z dn. 12.02.2021 roku.

[11] Kaszubi, którzy podpisali listę narodowościową, musieli zgłaszać się do Urzędu Pracy (Arbeitsamt). Otrzymywali zatrudnienie w wielkich majątkach ziemskich, fabrykach, przy robotach ziemnych, w cegielniach itp.

przed frontem. Armia Czerwona traktowała Pomorze jak trofeum. Grabieże i skala zniszczeń była ogromna. Ucieczka Niemców z Pomorza Gdańskiego okrążonego pierścieniem wymusiła kierunek ewakuacji na wybrzeże, do Gdyni i Gdańska. Pochodzący z Kartuz i okolic kierowali się wolnymi drogami na Wejherowo, Gdynię, Gdańsk. Czy Niemka Weber zdołała uciec, nie wiemy.

Czerwonoarmiści, zdobywający Pomorze w marcu 1945 roku, zazwyczaj nie rozróżniali Kaszubów od Niemców. Ich wkroczenie szczególnie boleśnie odczuła ludność cywilna, doświadczając masowych gwałtów, rabunków, mordów. Po ustaniu walk żołnierze Armii Czerwonej zabrali młodych mężczyzn z Chwaszczyna i okolicznych miejscowości, w tym Walerego Wiśniewskiego, brata Józefa, do pracy przy pędzeniu bydła w stronę Kartuz i Kościerzyny. Walerego wraz z wieloma innymi mężczyznami wepchnięto do bydlęcych wagonów i wywieziono aż pod Ural[12]. Po dwóch latach udało się Waleremu wrócić do domu. Los też nie szczędził kobiet. Waleria wspominała, że w jej rodzinnym domu w Baninie na poddaszu schroniły się młode kobiety innej narodowości[13]. Gdy weszli Rosjanie do domu, zaczęły wyskakiwać przez okna i uciekać. Niestety, złapali je. Losy mieszkających tu Polek, Kaszubek nie różniły się od tego, co spotykało Niemki[14].

---

[12] Razem z moim wujkiem Walerym (ur. 4.11.1903 – zm. 17.12.1988) Rosjanie zabrali Walerego Lidzbarskiego. Obojgu udało się wrócić do domu. Szerzej: E. Gołąbek, *Wspomnienia kaszubskie i polskie*, Gdańsk 2020, s. 268. Nie wszyscy mieli tyle szczęścia, o czym pisał Benedykt Reszka w publikacjach *Czas zła* oraz *Ich losy*. Franciszek Lemańczyk (1900–1945) wywieziony na Ural zmarł w obozie czelabińskim. Benedykt Reszka zgromadził informacje i dokumenty dotyczące także innych osób wywiezionych przez Rosjan w 1945 roku z jego parafii Borowy Młyn. Dwóch braci jego matki wywieziono do łagrów na Uralu.

[13] Waleria wspominała, że były to Ukrainki. Dzisiaj trudno te wiadomości zweryfikować. Wiadomo, że hitlerowcy na stacji kolejowej Żukowo Wschodnie zlokalizowali obóz pracy. W obozie tym przebywały 64 kobiety w tym 55 Ukrainek. Obóz ten istniał do wyzwolenia 1945 roku. AIPN Gdańsk, sygn. IPN bu 2448/164.

[14] T. Słomczyński zajmuje się realizacją tzw. notacji – wywiadów ze Świadkami Historii, ludźmi, którzy pamiętają II wojnę światową i wkroczenie Armii Czerwonej na Pomorze http://magazynkaszuby.pl/2020/01/pomorze-1945-nieprzepracowana-trauma-czas-zaczac-o-niej-mowic-felieton (dostęp: 18.09.2021).

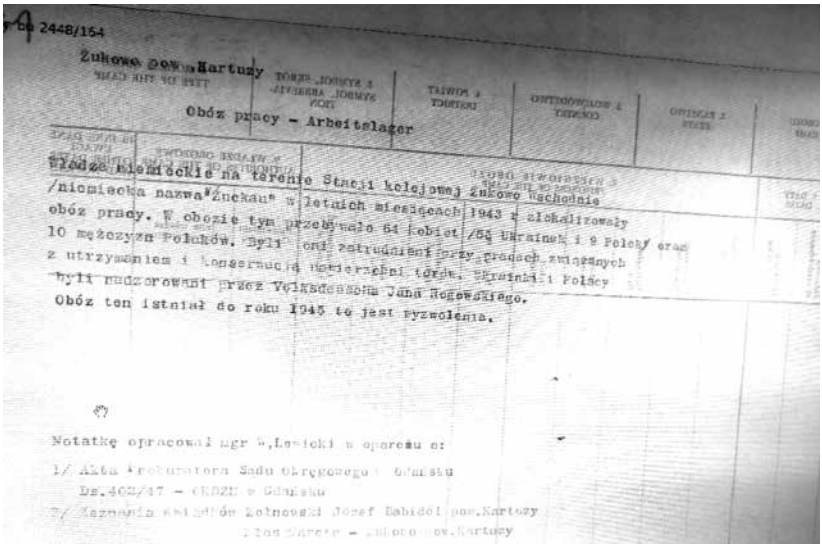

Ds 2448/154

Żukowo pow. Kartuzy

Obóz pracy - Arbeitslager

Władze niemieckie na terenie Stacji kolejowej Żukowo Wschodnie /niemiecka nazwa "Żuckau" w letnich miesiącach 1943 r zlokalizowały obóz pracy. W obozie tym przebywało 64 kobiet /53 Ukrainek i 9 Polek/ oraz 10 mężczyzn Polaków. Byli oni zatrudnieni przy pracach związanych z utrzymaniem i konserwacją nawierzchni torów. Ukraińki i Polacy byli nadzorowani przez Volksdeutscha Jana Rogowskiego.
Obóz ten istniał do roku 1945 to jest wyzwolenia.

Notatkę opracował mgr W.Lewicki w oparciu o:

1/ Akta Prokuratora Sądu Okręgowego w Gdańsku
Ds.402/47 - OKBZH w Gdańsku

2/ Zeznania świadków Żołnowski Józef Babidol pow.Kartuzy
Płos Marcin - Żukowo pow.Kartuzy

Il. 1. Notatka na temat obozu pracy w Żukowie w czasie okupacji niemieckiej

Po wojnie Józef i Waleria z dwojgiem dzieci powoli zaczęli odbudowywać gospodarstwo. W domu był ślad po czołgu, meble gdańskie ze śladami kul zachowały się do dzisiaj. Dzięki pomocy z UNRR-y (międzynarodowej organizacji do spraw pomocy i odbudowy obszarów wyzwolonych) otrzymali konia. W 1947 roku na świat przyszła Teresa. Potem, w 1952 roku, urodził się jeszcze Władysław.

Wprowadzenie w 1951 roku dostaw obowiązkowych ziemniaków, a w 1952 zwierząt rzeźnych, mleka i zbóż dla gospodarstw chłopskich i spółdzielni produkcyjnych były ogromnym obciążeniem dla wielu rolników kaszubskich, w tym Józefa[15]. Ociągających się z dostawami karano (w przyspieszonym trybie) aresztem. Los ten spotkał także mojego dziadka. W tym czasie moja mama Teresa była już mężatką. Wyszła za mąż w 1970 roku, dokładnie 13 czerwca, za Augustyna

[15] Dostawy obowiązkowe ograniczały akumulację i spożycie w gospodarstwach, mimo utrzymującego się niezadowolenia wsi z tej formy świadczeń zrezygnowano dopiero na początku 1972 roku.

Wanke. W 1971 roku urodził im się syn Wojciech[16], który w drugim miesiącu życia zmarł. W 1975 roku rodzice przejęli połowę gospodarstwa i pobudowali na nim dom i zabudowania gospodarskie. Na świat przyszło ich pięcioro dzieci. Z czasem dom stał się zbyt ciasny i podjęli decyzję o budowie drugiego, dużego domu ze spadzistym dachem, wykuszami i balkonami. Przy domu koniecznie dwa ogrody: jeden warzywny, drugi kwiatowy, a w nim malwy, nagietki, piwonie i dalie. Rodzice oprócz ziemniaków i zboża nastawili się na uprawę kapusty; były tak zwane kontraktacje. W pewnym okresie przynosiło to niezły dochód. Pozwoliło na rozbudowę niedużego gospodarstwa i poszerzenie parku maszyn. Dodatkowo Augustyn pracował końmi w lesie, wtedy Teresa zajmowała się całym gospodarstwem, do pomocy miała dzieci. Gdy synowie byli starsi, pomagali ojcu przy zrywce. Małżonkowie dzierżawili także ziemię naprzeciwko swojego gospodarstwa, gdzie dzisiaj znajduje się duże osiedle pobudowane przez jednego z gdańskich deweloperów.

Il. 2. Teresa Wiśniewska i Augustyn Wanke ślub wzięli 13 czerwca 1970 roku

[16] Wojciech Wanke, mój brat, urodził się 17.07.1971 roku, zmarł w dniu dwudziestych czwartych urodzin naszej mamy 11.09.1971 roku.

Il. 3. Waleria i Józef Wiśniewscy przed swoim domem, 1973–1974

Tak jak większość nowotuchomskich gospodarzy wykonywali różne prace polowe, sianokosy, żniwa, wykopki, ścinanie kapusty, brukwi, w każdą sobotę – młócenie zboża. Wiosną przebierało się ziemniaki w kopcach przykrytych słomą i obsypanych piaskiem. Pamiętam jeszcze, jak sadziliśmy je za maszyną – dołownikiem, która robiła dołki. Była ona ciągnięta przez konie i wykonywała dołki w rzędach. My, dzieci, ręcznie umieszczaliśmy sadzeniaki w tych dołkach, a potem przykrywaliśmy je ziemią. W końcówce lat 80. XX wieku rodzice zakupili sadzarkę. Było to znaczne udogodnienie. Pod koniec kwietnia moja najstarsza siostra obchodzi urodziny (moje przypadały na czas ścinania kapusty). Przyjechali do niej chrzestni z życzeniami i prezentem. Kiedy zapytali się o to, gdzie są rodzice, z pełną powagą poinformowałam: *sieją za stodołą bulwy*. Po latach zawsze z uśmiechem to wspominali. Nie było rywalizacji, sąsiedzi przychodzili nam pomagać przy zbieraniu ziemniaków albo sadzeniu buraków czy też kapusty. Potem my pomagaliśmy im.

Kaszuby nazywane są zagłębiem truskawkowym, jednak w tych okolicach nie było dużych plantacji. Jedna z nich została założona przez małżeństwo Ptach z Gdyni. Użyczali im ziemię Jan i Maria

Il. 4. Henryk Strankowski z Marylką Wanke i Danusią Strankowską, Nowy Tuchom 1974 rok

Kreftowie, nasi sąsiedzi. Latem z siostrami zbierałyśmy u nich truskawki. W mojej pamięci zachował się dom Jana i Marii drewniany, na podmurówce, tzw. poniatówka. Nie mieli wody. Jan Krefta przyjeżdżał do rodziców koniem z beczkowozem i brał ją z naszej studni ocembrowanej kręgami betonowymi.

Utrzymywaliśmy też łąki w Borowcu. Dawniej znajdował się tam majątek niemiecki Otokara von Carnapa, potem leśniczówka. Panowała tam cisza, spokój, znajdowało się jeziorko po żwirowni i oczywiście siano do zbiórki. Lubiliśmy to miejsce. W Borowcu, w miejscu spiętrzenia się rzeki Strzelenki, istniał młyn Cyrsonów. Obok znajdowało się wyrobisko żwirowni, w którym zagościła woda. Kąpaliśmy się tam czasami pod okiem taty.

Nasz dom był wesoły, otwarty i przyjeżdżało do niego sporo gości. W wakacje odwiedzało nas kuzynostwo z Chyloni, Brzeźna i Wrocławia[17]. Rodzice rozmawiali po kaszubsku, chyba że ktoś nie rozumiał, wtedy płynnie przechodzili na język polski. Do swoich dzieci mówili po polsku, gdyż kaszubszczyzna nie była w szkole wówczas

[17] W wakacje przyjeżdżali do nas Henryk i Wanda Ruchniewiczowie ze swoimi synami. Matka Henryka – Hildegarda – była siostrą mojej babci Walerii.

mile widziana. Wiele radości sprawił rodzicom zakup radiomagnetofonu Kasprzak. Byli bardzo muzykalni i dzięki niemu mogli nagrywać swój śpiew i wujka Edwarda na kasety. Szkoda, że się nie zachowały. Ich ulubioną audycją była ta o tematyce kaszubskiej. Odtwarzano w niej bardzo często pieśń *Gãsôrka* Aleksandra Labudy i Jana Trepczyka. Myślę, że słuchali jej, gdyż prawdziwie przedstawiała rzeczywistość, w której żyli.

Najważniejsze sprawy: życia, śmierci, narodzin były unormowane trwałymi obyczajami, które rodzice wynieśli z domu. Zwyczaje i obrzędy kaszubskie wyznaczały w naszym domu także rytm pracy. Rodzice przestrzegali, na jakiego świętego mają wyjść w pole i siać oraz na jakie święto Matki Boskiej powinni zacząć żniwa. Nie wolno było pracować w niedzielę, jedynym odstępstwem od tej reguły są do dzisiaj żniwa.

Dawniej zakupy robiło się w nieodległym Tuchomiu lub Baninie. Czasami w sobotę, wcześnie rano jeździłyśmy (ja i siostry) rowerami do piekarni do Chwaszczyna po chleb i bułki maślane – nasze ulubione. Pamiętam, jak pewnego razu wracając ze szkoły, wstąpiłam do sklepu. Był to piątek, a wtedy sklepy zaopatrywały się w mięso i wędliny. Szybko na rowerze pojechałam do domu. Przekazałam mamie, że rzucili dużo kiełbasy i parówek. Z gotówką w dłoni wróciłam do sklepu, w którym półki świeciły już pustkami. Serdelków nie było.

Najukochańszą ciocią była ciocia Anielka[18]. Robiła pyszne leczo. Często przyjeżdżała w odwiedziny do swojej siostry Walerii mieszkającej obok nas. Zawsze przychodziły razem do mojej mamy. To był wtedy czas na wspólne rozmowy i relaks przy kawie (*malckawa*). Babcia Walerka robiła najlepszą drożdżówkę. Tęsknię za nią, za jej ciastem i za domowymi śniadaniami ze świeżymi truskawkami lub pomidorami ze szklarni. Było pracowicie, ale cieszyły nas małe rzeczy. Była też dyscyplina, ale dotyczyła raczej zasad, których należało w domu przestrzegać. Rodzice nie posiadali wyższego wykształcenia,

[18] Aniela Stenzel była siostrą mojej babci Walerii. Urodziła się 17.07.1914 roku w Baninie, wyszła za mąż za Jana Dobke (1892–1967) z Gdyni. Zmarła 7.04. 2011 roku. https://www.geni.com/people/Aniela-Dobke/6000000114867050893 (dostęp: 08.03.2021).

Il. 5. Złote gody Walerii i Józefa Wiśniewskich. Na zdj. od lewej Aniela Wiśniewska, ks. Grzegorz Gólski wicerektor seminarium duchownego w Oliwie, Waleria i Józef Wiśniewscy, Franciszka Wanke

ale cechowała ich wrodzona inteligencja i skłonność do dzielenia się refleksją.

Moje dzieciństwo było szczęśliwe. Mimo że zawsze było dużo pracy (nikt nie mógł próżnować), to rodzice znajdowali czas na zabawę z nami. Graliśmy w dwa ognie. Pewnego razu tata tak mocno rzucił piłką, że i owszem – zbił zawodnika, mojego najmłodszego brata, ale z taką siłą, że ten zemdlał. Nie muszę pisać, jakie były odczucia nas dzieci i przerażenie mamy. Poza tym skakaliśmy w sznura, którym były lejce od konia. Zimą graliśmy w *Chińczyka*, który u nas nazywał się *Człowiecze nie irytuj się*, w karty: w skata i baśkę. W obie gry umiała grać także mama, bo nie było blisko sąsiadów do gry.

Życie w Nowym Tuchomiu toczyło się swoim utartym rytmem. Pewną odskocznią od codziennych zajęć były obchody wigilii św. Jana. Tradycją było, że rozpalano ogniska, a przy nich zbierali się nasi sąsiedzi. Rodzice także jeździli do Osowej, do brata taty Jana. Nad jeziorem były wianki, skoki przez ognisko i tańce. Rozrywką był także cyrk. O ile na zakupy mama jeździła do Gdyni i Gdańska-Wrzeszcza, to Kartuzy kojarzyły się nam dzieciom głównie z przyjazdem cyrku. Wtedy mnie, jako małej dziewczynce, droga do Kartuz wydawała

się strasznie długa i kręta. Z obrzędowości kaszubskiej zachował się w mojej pamięci najbardziej obrzęd pustej nocy. Śpiewanie do północy, smutek najbliższej rodziny, zaś w drugim pokoju żarty i śmiechy obcych ludzi. Moja mama spisywała pieśni pogrzebowe – żałobne, stworzyła zeszyt. Potem prosiła, abyśmy je przepisały dla większej liczby osób. Nie było śpiewników takich jak dzisiaj do nabycia ks. prof. Jana Perszona. Te zeszyty – śpiewniki rodzice trzymają jeszcze w domu. Moja mama nie należała do Róży Różańcowej, niemniej w najbliższej okolicy odmawiała za zmarłych różaniec. Chodziliśmy też po sąsiadach na śpiewy, gdy odbywała się peregrynacja kopii Cudownego Obrazu Matki Bożej Jasnogórskiej.

Należałyśmy do chóru. Chór szkolny w Baninie prowadziła pani Urszula Hejmowska. Do jego repertuaru zaczęła wprowadzać pieśni kaszubskie i popularne *Kaszëbsczé jezora* ks. Antoniego Peplińskiego. Najmłodszy brat tańczył w szkolnym zespole kaszubskim. Prowadziła go nieodżałowana śp. Grażyna Bychowska. Tata organizował dla uczniów naszej szkoły darmowe kuligi. Obowiązkowo klasa, do której chodziły jego dzieci, miała zapewnioną taką zimową atrakcję. Dawniej po księdza na kolędę jeździło się sańmi. Często dla żartu tata wjeżdżał w zaspę śnieżną tak, aby wasąg się wywrócił. Ksiądz Roman Januszewski, potem ks. Jakusz Gostomski i organista Albin znali wybryki taty i przyjmowali je z uśmiechem, o ile za mocno nie wypadli z sań. We wspomnieniach moich szczególnie zapisał się ksiądz Roman Januszewski, który był przyjacielem rodziny.

Ulubionym koniem mamy i taty była Lota. Potem tych koni tata jeszcze trochę miał, co drugi nazywał się Basia lub Kasia. Czasami użyczali je rodzinie. Dawniej nie każdy gospodarz je posiadał. Były też przydatne do wożenia piasku ze żwirowni pod budowę szkoły w Baninie.

Kaszubi są pracowici i wiele rzeczy potrafią wykonać sami. Każdy był trochę rzemieślnikiem, kowalem, stolarzem. Augustyn potrafił sam zrobić wasąg, bryczkę, wóz drabiniasty. Jeden przekazał do Muzeum Kaszubskiego w Kartuzach. Nie tylko on miał zdolności manualne. Teresa robiła piękne getry z pomponami, skarpety wełniane, szale. Potrafi haftować, pleść piękne girlandy, wieńce. Girlandami

Il. 6. Powrót z dożynek, Nowy Tuchom

udekorowała bramy weselne swych córek. Dzisiaj przeżytek, przez niektórych uważane za staromodną tradycję. Czytała dzieciom różne książki, ale najbardziej zapamiętaliśmy biograficzną (była strasznie długa) o życiu św. Bernadety Soubirous (właśc. fr. Bernarde-Marie Soubirous ur. 7.01.1844 roku w Lourdes). W 2007 roku ziściło się marzenie mamy i siostry, by pojechać do Lourdes.

W 2020 roku rodzice obchodzili złote gody. Pandemia pokrzyżowała ich plany, ale bardzo się cieszyli, że mogli je świętować w gronie najbliższej rodziny.

KARTUSKIE ZESZYTY MUZEALNE
NR 6/2021
MATERIAŁY ŹRÓDŁOWE

Edward Kolanek

CAŁA HISTORIA „NIEBIESKICH BERETÓW" W JEDNYM ŻYCIORYSIE. WSPOMNIENIA PPŁK W ST. SPOCZ. EDWARDA KOLANKA

Może warto, aby nasi wnukowie znali prawdziwą, a nie przetworzoną politycznie historię swoich dziadków. Może wówczas zrozumieją, docenią ich prawdziwe wspomnienia z okresu służby w Wojsku Polskim.

Urodziłem się w Racławicach 3 października 1931 roku. W przedwojennej Polsce zdążyłem ukończyć jedną klasę szkoły podstawowej, kiedy wojna przerwała mi naukę. Matkę i starszego brata okupanci wywieźli na roboty do Niemiec. Zostałem z ojcem, który był przewlekle chory. Mimo to byliśmy dwukrotnie pojmani w nocnych łapankach i wywożeni na roboty, z których jednak nas zwalniano ze względu na chorobę ojca.

Po wyzwoleniu kontynuowałem naukę w szkole podstawowej, a od lutego 1948 podjąłem pracę w Zakładach Przemysłu Bawełnianego w Łodzi i jednocześnie kontynuowałem naukę w Szkole Przemysłowej na wydziale tkackim.

Po trzech latach wezwano mnie do Komendy Uzupełnień w Łodzi i tak niespodziewanie zostałem skierowany do Szkoły Oficerskiej Piechoty w Elblągu. Służbę wojskową rozpocząłem w maju 1951 roku i już po 16 miesiącach zostałem promowany na podporucznika. Taki przyśpieszony tryb szkolenia wynikał z sytuacji polityczno-militarnej między dwoma wiodącymi blokami politycznymi. Oceniono wówczas, że najsłabszym ogniwem w naszym bloku, narażonym na agresję ze strony państw kapitalistycznych, jest nasza ponad 500-kilometrowa granica morska. Do jej obrony utworzono trzy Brygady Przeciwdesantowe: 2. w Kamieniu Pomorskim, 3. w Kołobrzegu i 5. w Gdańsku. Ja otrzymałem przydział do 3 kompanii 12 batalionu stacjonującego na Helu. Dla łodzianina to było dość egzotyczne miejsce. Pierwszym zadaniem, jakie otrzymałem jako młody oficer, było zaopatrzenie Brygady w słomę do żołnierskich sienników i siano dla koni. W szkole oficerskiej mnie tego nie uczono. Jednak musiałem się z tego zadania bardzo dobrze wywiązać, bo w nagrodę zostałem wyznaczony na dowódcę brygadowej kompanii gospodarczej w Gdańsku. Brałem z nią udział w ćwiczeniach brygadowych, podczas których miało miejsce rzadkie zjawisko zaćmienia słońca. U moich podwładnych wywołało to wielki niepokój. Tragiczna śmierć jednego z dowódców plutonów, który wywołał strzelaninę w Komendzie Miasta, podczas której zginął, sprawiła, że zostałem przesunięty na zwolnione stanowisko na Helu.

Zanim zostałem wyznaczony na dowódcę kompanii, zawarłem związek małżeński. Moją wybranką została energiczna Zofia pochodząca z Kościerzyny. Pracowała jako aptekarka w Sopocie. Poznaliśmy się całkiem przypadkowo, podczas robienia zdjęć w zakładzie fotograficznym. Mamy córkę i syna.

Już jesienią 1954 roku z moją kompanią brałem udział w ćwiczeniach nadzorowanych przez dowódcę POW, w których po raz pierwszy w WP użyty został napalm. Za udział w tych ćwiczeniach

zostałem awansowany na stopień porucznika i zatwierdzony na stanowisku dowódcy 3 kompanii piechoty.

Nasza Brygada oprócz normalnego żołnierskiego szkolenia realizowała swój podstawowy cel: rozbudowę brygadowego rejonu umocnionego (BRU). Z gotowych elementów betonowych budowaliśmy transzeje, stanowiska ogniowe, punkty dowódczo-obserwacyjne, stanowiska dla artylerii, czołgów, schrony dla ludzi i zaopatrzenia itp.

Po dwóch latach dowodzenia kompanią zostałem skierowany na roczny Kurs Doskonalenia Oficerów w Rembertowie, który ukończyłem w sierpniu 1957 roku. Nie wróciłem już do swojej jednostki. W wojsku odbywała się wielka reorganizacja. Skierowano mnie na stanowisko dowódcy kompanii w 6. Batalionie 5. Brygady Obrony Wybrzeża stacjonującej w Gdańsku. Naczelne dowództwo doszło do wniosku, że Brygady Przeciwdesantowe nie są w stanie zapewnić obrony polskiego wybrzeża, dlatego je rozformowano. Na bazie 3. i 5. Brygady Przeciwdesantowych utworzono 23. Kaszubską Dywizję Piechoty. Jej dowódcą został wyznaczony zdolny i doświadczony przedwojenny oficer płk Otto Roczniok, który w 1963 roku odszedł na stanowisko szefa sztabu Okręgu w Katowicach. Zanim to nastąpiło, dzięki jego wsparciu, uzupełniłem średnie wykształcenie (10 i 11 klasę).

Nowym dowódcą został płk Henryk Rzepkowski, który w sposób energiczny i przemyślany zabrał się za przeformowanie Dywizji Piechoty w Dywizję Desantową, zgodnie z Zarządzeniem MON nr 051 z dnia 8.10.1963 roku. Brałem w tym udział. Opisywanie, jak przebiegało przeformowanie, w którym brałem udział, nie wydaje mi się konieczne. Zostało to opisane w *Zarysie historii Niebieskich Beretów*.

Nie zapomnę chrztu bojowego dywizji w działaniach desantowych podczas wspólnych ćwiczeń z Armią Radziecką (AR) i Narodową Armią Ludową (NAL) Niemieckiej Republiki Demokratycznej (NRD). Panowały wówczas bardzo złe warunki atmosferyczne. Z trudem wylądował pierwszy rzut desantu. Na drugi, składający się ze sprzętu ciężkiego, nie zdecydowano się. Jego przeładowanie ze statków na barki groziło nie tylko uszkodzeniem statków, ale utopieniem ludzi i sprzętu ciężkiego. Wobec tego cztery dni krążyliśmy po Bałtyku,

czekając na poprawę pogody. Kiedy to nie nastąpiło, a zapasy żywności się wyczerpały, opłynęliśmy Bornholm i zawinęliśmy do Gdyni, gdzie nas wyokrętowano. Ja wówczas pływałem na radzieckim statku łapajewsk. Byłem dowódcą 3 kompanii desantowej (znowu 3) w 35 pułku desantowym, na etacie majora.

Płk Henryk Rzepkowski zdecydowanie dążył do tego, aby dywizja została jednostką elitarną, różniącą się od jednostek piechoty. Musiała wyróżniać się nie tylko poziomem wyszkolenia, ale również wyglądem, dlatego zostaliśmy wyposażeni w niebieskie berety (kolor morza) oraz również niebieskie emblematy z kotwicą naszywane początkowo na lewym ramieniu.

Po raz pierwszy zaprezentowaliśmy się publicznie w niebieskich beretach podczas defilady z okazji 20-lecia PRL w Warszawie 22 lipca 1964 roku. Rzut pieszy prowadził mjr Roman Frąckowiak. Nasz przemarsz wzbudził entuzjazm nie tylko na głównej trybunie, ale i wśród licznie zgromadzonych warszawiaków. Odtąd nazywano nas desantowcami. Tych defilad było znacznie więcej, nie tylko na szczeblu centralnym, ale również lokalnym: z okazji rocznicy wyzwolenia Gdańska, Dni Morza, a nawet z okazji oddania na Helu Klubu Garnizonowego. Wówczas pokazano publicznie pierwsze całkowicie polskie okręty desantowe wz. 770. W tym też 1965 roku, po inspekcjonowanych ćwiczeniach dywizyjnych i zdanej na piątkę kontroli przeglądu technicznego, zostałem awansowany na stopień majora.

Kolejna defilada, zorganizowana z wielkim rozmachem z okazji 1000-lecia państwa polskiego, odbyła się 22 lipca 1966 roku w Warszawie. Najpierw przygotowanie do defilady długo ćwiczyliśmy skoszarowani na lotnisku Zaspa. Następnie typowym eszelonem wojskowym przegrupowano nas na obrzeża lotniska Okęcie. Tam treningi odbywały się tylko w porze nocnej. Przygotowywaliśmy dwa rzuty: pieszy i zmechanizowany. Defiladę otwierał rzut pieszy w sile batalionu, którym dowodził mjr Królak. Rzutem zmechanizowanym z kolei dowódca 35 pułku desantowego ppłk Roman Romanowski. Defilowaliśmy na TOPAS-ach uszykowani w kolumnie trójkowej. Miałem zaszczyt prowadzić lewą kolumnę, środkową – dowódca pułku, a prawą – dowódca 1 kompanii desantowej mjr Henryk Śmigelski.

Znowu zrobiliśmy duże wrażenie nie tylko na władzach i ataszatach, ale przede wszystkim na ludności. Tylu dziarsko prezentujących się „niebieskich" w Warszawie jeszcze nie widziano.

Nie tylko w defiladach przyszło nam wylewać hektolitry potu. Były jeszcze ćwiczenia wojskowe organizowane z wielkim rozmachem. Przejścia wzburzonym morzem, nieraz długie, szczególnie na kutrach, nie należały do przyjemnych przeżyć. Przez brezent na głowy lała się morska bryza, a w ładowniach niesamowicie śmierdziało, nie tylko od spalin. Na szczęście nowsze typy kutrów były lepiej zabezpieczone. Bez porównania lepiej pływało się na okrętach desantowych. Tam największą niedogodnością były spaliny naszych transporterów i czołgów uruchamianych w ładowniach przed lądowaniem. Nie sposób i nie ma potrzeby wymieniania wszystkich ćwiczeń. Do ich powtarzających się kryptonimów dopisywano tylko rok, w którym się odbywały. Zwykle ich przebieg oceniany był przez przełożonych bardzo wysoko – z jednym wyjątkiem. W 1974 roku podczas desantowania na plaży w Ustce doszło do tragedii, utonęło dwóch żołnierzy z 4 pdes. Dywizję wówczas po raz pierwszy i jedyny oceniono na niedostatecznie. Były też konsekwencje personalne.

Żołnierze w niebieskich beretach byli przez społeczeństwo Wybrzeża ogólnie lubiani, cieszyliśmy się wielkim uznaniem. Żyliśmy ze sobą po bratersku. Nic dziwnego, gdy była potrzeba, pracowaliśmy dla niego z pełnym poświęceniem. Niestety, wypadki grudniowe mocno zakłóciły tę symbiozę. Wiele o tym napisano, nie zawsze rzetelnie. Czy warto rozdrapywać tę ranę? Może lepiej zastanowić się, co zrobić, aby znowu nie doszło do podobnej tragedii. Aby zdjąć odium z wojska, dowódca dywizji płk Tadeusz Urbańczyk zorganizował pokazowe ćwiczenie wojskowe na bazie 35 pdes. Przez lokalne środki masowego przekazu zaproszono na nie mieszkańców Gdańska oraz rodziny i przyjaciół żołnierzy młodego rocznika. Stawili się gremialnie. Po udanym lądowaniu desantu na plaży w Jelitkowie na płycie lotniska żołnierze młodego rocznika złożyli przysięgę wojskową, która zapewne na długo pozostanie w ich pamięci. W tym samym roku brałem udział w uroczystym złożeniu prochów mjr. Henryka Sucharskiego na Westerplatte wśród jego poległych podwładnych.

Ja już wówczas nie byłem dowódcą kompanii. W 1967 roku przekazałem ją por. Januszowi. Wyznaczono mnie na stanowisko pomocnika szefa sztabu ds. organizacyjno-ewidencyjnych. Rok później zbuntowały się doły partyjne i nie wybrały sekretarzem Komitetu Pułkowego oficera politycznego przywiezionego w teczce. Otrzymał śladowe ilości głosów. Najwięcej głosowało na mnie. Polityczni kręcili nosami, ale reasumpcji głosowania nie zarządzili. Tamta „ułomna" demokracja nie znała jeszcze tego pojęcia. Tym sposobem po raz pierwszy oficer liniowy został wybrany sekretarzem partii. Wcale tego nie pragnąłem, ale uznanie w oczach kadry i żołnierzy mile łechtało moje ego. Obowiązki sekretarza pełniłem do 1974 roku. Po tym okresie pozostałem w strukturach oficerów politycznych, przeniesiono mnie na stanowisko zastępcy dowódcy 20 dywizjonu artylerii rakietowej ds. politycznych. W tym przejściowym czasie podjąłem studia licencjackie na kierunku pedagogicznym na Uniwersytecie Gdańskim, które ukończyłem w 1975 roku. W 1977 roku byłem awansowany na stopień ppłk. i przeniesiony na stanowisko instruktora w Wydziale Politycznym. To było ostatnie z moich licznych stanowisk. W tym czasie dywizja przeszła kolejną poważną reorganizację. W 1986 roku została przemianowana na 7. Brygadę Obrony Wybrzeża. W zmniejszonym składzie dotrwała do 1994, kiedy została przeformowana na 1. Brygadę Obrony Terytorialnej im. gen. Józefa Wybickiego. Ja już wcześniej, w styczniu 1990, zakończyłem moją długą, pełną poświęcenia Ojczyźnie, służbę wojskową. Nie mam się czego wstydzić. Za moje poświęcenie i wysiłek zostałem wyróżniony wieloma nagrodami oraz Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski i kompletem medali resortowych MON.

Po przejściu w stan spoczynku moja aktywność życiowa nie ustała, wręcz przeciwnie – jeszcze bardziej wzrosła. Aktywnie działałem na wielu szczeblach w Związku Żołnierzy Wojska Polskiego i Stowarzyszenia Żołnierzy i Sympatyków „Niebieskich Beretów." Oby zdrowie dopisało. Ostatnio, niestety, nie jest z tym najlepiej. Jednak bądźmy dobrej myśli.

KARTUSKIE ZESZYTY MUZEALNE
NR 6/2021
MATERIAŁY ŹRÓDŁOWE

Tomasz Rembalski

WYKAZY DÓBR SZLACHECKICH DLA OKRĘGU KARTUSKIEGO Z LAT 1833–1834

Na mocy traktatu rozbiorowego z 5 sierpnia 1772 roku Prusy Królewskie znalazły się w granicach państwa Hohenzollernów. Wkrótce nowi władcy zaprowadzili na zdobytych terenach własną administrację, która nie nawiązywała do tej z czasów Rzeczpospolitej. W miejsce zlikwidowanych Prus Królewskich powstała prowincja Prusy Zachodnie (*Westpreussen*) ze stolicą w Kwidzynie, o znacznie zmienionych granicach w stosunku do dawnej prowincji Rzeczpospolitej. Likwidacji uległo również funkcjonujące w ramach Prus Królewskich województwo pomorskie, które zostało podzielone na trzy okręgi (*Kreis*) o dużej powierzchni: tczewski, starogardzki i chojnicki[1]. Obszar współczesnego powiatu kartuskiego objęty był granicami okręgu tczewskiego na północy i starogardzkiego na południu. Stan ten trwał do okresu wojen napoleońskich (1806–1815). Po wstrząsach i kryzysie polityczno-gospodarczym wywołanym klęską Prus w wojnie z Francją, władze pruskie przeprowadziły szereg reform, w tym administracyjne. Mocą ustawy z 30 kwietnia 1815 roku powstał nowy podział państwa na 10 prowincji i 25 regencji.

[1] M. Bär, *Westpreussen unter Friedrich dem Grossen*, Bd. I, Leipzig 1909, s. 85–133; T. Cieślak, *Pomorze Wschodnie w XIX i XX wieku ze specjalnym uwzględnieniem podziałów administracyjnych*, Olsztyn 1966, s. 8–10; J. Wojtowicz, *Ekspansjonistyczna i antypolska polityka państwa pruskiego w latach 1772–1795* [w:] *Historia Pomorza*, t. II, cz. 2, pod red. G. Labudy, Poznań 1984, s. 612; *Archiwum Państwowe w Gdańsku. Przewodnik po zasobie do 1945 roku*, oprac. Cz. Biernat, Warszawa–Łódź 1992, s. 87.

Jedną z prowincji były utworzone w 1816 roku Prusy Zachodnie ze stolicą w Gdańsku, które dzieliły się na dwie regencje: kwidzyńską i gdańską. Ta ostatnia obejmowała m.in. północne obszary Kaszub. W 1829 roku, w ramach polityki oszczędności i centralizacji, Prusy Zachodnie połączono z Prusami Wschodnimi w jedną prowincję pod nazwą Prusy (*Provinz Preußen*) z siedzibą władz w Królewcu. Swą samodzielność Prusy Zachodnie odzyskały dopiero w 1878 roku i utrzymały ją aż do początku 1920 roku, czyli ich likwidacji w wyniku przyłączenia Pomorza do odrodzonej Polski. Regencja cieszyła się stosunkowo szerokimi kompetencjami i dzieliła się na okręgi (*Kreis*), stanowiące odpowiedniki polskich powiatów, na czele których stali landraci. Do 1848 roku landraci posiadali dwoistą, państwowo-stanową pozycję, gdyż reprezentowali nie tylko interesy państwa, ale też i miejscowych właścicieli ziemskich. Byli oni reprezentantami regencji na terytorium okręgu (powiatu). Posiadali wreszcie nadzór i zarząd nad lokalną administracją w zakresie policji i porządku publicznego, policji ogniowej, budowlanej, sanitarnej, opieki społecznej, rolnictwa, lasów, spraw wojskowych, dróg itp. Od 1818 roku w skład regencji gdańskiej wchodziło osiem okręgów (powiatów): Kościerzyna, Gdańsk okręg miejski, Gdańsk okręg wiejski, Elbląg, Malbork, Starogard Gdański, Wejherowo i interesujący nas najbardziej – Kartuzy[2].

Po pierwszym rozbiorze Rzeczpospolitej szlachta zamieszkująca dawne województwo pomorskie znalazła się w całkowicie nowej dla siebie sytuacji prawnej[3]. Na 27 września 1772 roku Prusacy wyznaczyli dzień złożenia obowiązkowego hołdu nowemu władcy użytkownikom i posiadaczom gruntowym z województwa pomorskiego. Kto

[2] Por. S. Salmonowicz, *Podziały terytorialne i ustrój* [w:] *Historia Pomorza*, pod. red., G. Labudy, t. III. cz. 1, Poznań 1993, s. 55–117; T. Cieślak, *Pomorze Wschodnie w XIX i XX wieku…*, s. 20–27; J. Borzyszkowski, *Historia Kaszubów w dziejach Pomorza*, t. III. *W Królestwie Pruskim i Cesarstwie Niemieckim (1815–1920)*, cz. 1. *Kaszubi i Pomorze na drodze do kapitalizmu i społeczeństwa obywatelskiego (1815–1870)*, Gdańsk 2019, s. 31–38.

[3] Strukturę i rozmieszczenie dóbr szlacheckich na Pomorzu Gdańskim w czasach pierwszej Rzeczpospolitej omawiają: M. Biskup, A. Tomczak, *Mapy województwa pomorskiego w drugiej połowie XVI w.*, Toruń 1955; K. Mikulski, *Osadnictwo wiejskie województwa pomorskiego od połowy XVI do końca XVII wieku*, Toruń 1994.

nie mógł stawić się osobiście w Malborku, gdzie miał się dokonać ten akt wierności pruskiemu monarsze, musiał wyznaczyć zastępcę[4]. Pamiątką po tamtym wydarzeniu są spisy hołdowników, które zostały opublikowane ponad wiek temu[5].

Sposoby ewidencjonowania szlachty i ich majątków ziemskich w państwie pruskim[6]

Jedną z konsekwencji złożenia hołdu było utworzenie przez hohenzollernowską administrację spisów szlachty zwanych listami lub tabelami wasali (*Vasallenlisten, Vasallentabellen*). Najstarsze listy wasali dla okręgów starogardzkiego i tczewskiego, obejmujących ziemię kartuską, nie licząc wspomnianej listy hołdowniczej z 1772 roku,

---

[4] M. Bär, *Westpreussen unter Friedrich dem Grossen*, Bd. 1, Leipzig 1909 [reprint Osnabrück 1965], s. 38–39.

[5] Spis hołdowników podał w drugim tomie swego dzieła Max Bär (*Westpreussen unter Friedrich dem Grossen*, Bd. 2, Leipzig 1909, s. 750–759). Badacz ten jednocześnie skrytykował (s. 733–734) za rażące błędy wcześniejsze publikacje tych samych list hołdowników, które wydał E. Żernicki-Szeliga (*Vasallenliste des i. J. 1772 Preußen huldigenden polnischen Adels in Westpreußen*, „Vierteljahrschrift für Wappen-, Siegel- und Familienkunde", 1892, Bd. XX, s. 1–72; tenże, *Geschichte des Polnischen Adels. Nebst einem Anhange: Vasallenliste des 1772 Preussen huldigenden Polnischen Adels in Westpreussen*, Hamburg 1905, s. 1–49).

[6] Zagadnienia poruszane w tym podrozdziale zostały już wcześniej omówione w innych publikacjach autora. Patrz: T. Rembalski, *Władza pruska wobec drobnej szlachty kaszubskiej w świetle wybranych akt urzędowych (1772–1918)* [w:] *Szlachta i ziemiaństwo na pograniczach kulturowych dawnej Rzeczypospolitej od XVI do XX wieku*, pod red. D. Michaluk i K. Mikulskiego, Warszawa 2015, s. 196–208; tenże, *Szlachectwo w czasach zaboru pruskiego na przykładzie Borzyszkowskich z powiatu kartuskiego* [w:] *Borzyszkowy i Borzyszkowscy …z Piekła rodem*, studia i materiały zebrał i oprac. oraz wstępem opatrzył J. Borzyszkowski, Gdańsk–Bąk 2015, s. 288–299; tenże, *Analiza społeczno-demograficzna wykazów szlachty z powiatu chojnickiego z lat 1893–1903 w kontekście polityki władz pruskich wobec szlachty polsko-kaszubskiej w Prusach Zachodnich*, „Zeszyty Chojnickie", 2016, z. 32, s. 76–80; tenże, *Szlachta powiatu chojnickiego w świetle spisów landratury z lat 1893–1903* [w:] *Szlachta – granice etniczne, wyznaniowe i cywilizacyjne*, pod red. T. Ciesielskiego, K. Mikulskiego i A. Korytki, Warszawa–Bellerive-sur-Allier 2016, s. 87–90.

pochodzą z 1774 i 1776 roku. W 1911 roku opublikował je niemiecki historyk Max Bär, który wyjaśnił, iż zapisywana była do nich szlachta lub niekiedy posiadacze alodialnych (mających pełną własność) dóbr rycerskich pochodzenia nieszlacheckiego. W listach (tabelach) wasali znajdowały się informacje o nazwisku i wieku szlachciców, nazwach i wartości posiadanych dóbr szlacheckich położonych w Prusach Zachodnich, jak i poza nimi. Odpowiednia rubryka służyła odpowiedzi na pytanie o lata służby dla Prus, jak i ewentualnie długość przebywania w służbie zagranicznej. Ważnym elementem list wasali były rubryki dotyczące imion, wieku i aktualnego miejsca pobytu synów lub nieżonatych braci właścicieli dóbr rycerskich, co wiązało się z ewentualną przyszłą służbą wojskową lub państwową tych osób[7].

W aktach Generalnego Dyrektorium (*General-Directorium*)[8], czyli władz centralnych, przechowywanych w Geheimes Staatsarchiv Preußischen Kulturbesitz Berlin-Dahlem, znajdują się dwa poszyty dotyczące tabeli wasali. Jeden z nich zawiera spis szlachty, ale wyłącznie dla Okręgu Nadnoteckiego z lat 1777–1783[9], drugi zaś dotyczy formalnych wytycznych w sprawie sporządzania tabel z lat 1777–1787 oraz kosztów, jakie administracja miała ponosić na ich sporządzanie w 1777 roku[10]. Wiadomo, iż tabele wasali były sporządzane co najmniej do lat 30. XIX wieku. Informuje o tym spis czternastu takich tabel z lat 1809–1832, zamieszczony w inwentarzu

[7] Bär Max, *Der Adel und der Adlige Grundbesitz in Polnisch-Preussen zur Zeit der preussischen Besitzergreifung. Nach Auszügen aus den Vasallenlisten und Grundbüchern*, „Mitteilungen der K.Preussischen Archivverwaltung", 1911, Hf. 19, s. VII.

[8] Szerzej o kompetencjach tego urzędu: J. Wąsicki, *Zabór pruski 1772–1806* [w:] *Historia państwa i prawa Polski*, t. III. *Od rozbiorów do uwłaszczenia*, pod red. J. Bardacha i M. Senkowskiej-Gluck, Warszawa 1981, s. 46–48.

[9] Geheimes Staatsarchiv Preußischen Kulturbesitz Berlin-Dahlem (dalej cyt.: GStA PK Berlin-Dahlem), General-Directorium. Westpreussen u. Netze-District. Materien, Titel CXLIX Vasallen-Tabellen, Nr. 4 – Acta wegen der außerhalb Landes sich aufhaltenden Vasallen, welche im Depart. der Westpr. Kammer Güterbesitzer 1777–1783.

[10] Tamże, Nr. 3 – Acta wegen der nach einem neuen Schema anzufertigenden Vasallen-Tabellen von Westpreussen und dem Netzedistrict 1777–1787, k. 2–7.

archiwalnym zachodniopruskiej regencji w Kwidzynie[11]. Niestety, oryginały tych poszytów bądź ksiąg, jak można było wywnioskować jedynie z sondażowych badań, prawdopodobnie zaginęły w czasie II wojny światowej. Tak jak już wspomniano, sprawami szlachty, zwłaszcza ich posiadłościami ziemskimi na najniższym szczeblu administracyjnym, zajmowała się władza policyjna w osobie landrata, stojącego na czele okręgu[12]. To w zasadzie landraci sporządzali tabele wasali, które były następnie przesyłane do wyższych władz.

Swego rodzaju mutacją list wasali były spisy dóbr i ich posiadaczy, zwane matrykułami (*Matrikeln*), które co pewien czas, od lat 30. XIX wieku, sporządzali landraci. Zawierały one wykaz tzw. dóbr rycerskich (*Rittergüter*) i chełmińskich (*Küllmischegüter*), których posiadanie dawało specjalne uprawnienia ich właścicielom. Za pomocą list wasali i matrykuł władze pruskie starały się zachować kontrolę nad szlachtą i ich posiadłościami. Obrót ziemią na prawie rycerskim podlegał szczególnej trosce pruskich urzędników. W świetle ówczesnego prawa winna była ona znajdować się w wyłącznym posiadaniu przedstawicieli warstwy szlacheckiej. Pruski monarcha uczynił jednak w tym względzie wyjątek wobec Prus Zachodnich, w której to prowincji w 1772 roku większa część majątków znajdowała się w rękach polskiej szlachty. Szlachta pochodzenia niemieckiego stanowiła w niej niewielki odsetek. Stosunkowo szybko polska szlachta została wyzuta z intratnych starostw lub tenut (dzierżaw), nieco dłużej trwało jej rugowanie z dóbr dziedzicznych. W wyniku prowadzonej konsekwentnie polityki przeciw szlachcie polskiej, w drugiej połowie XIX wieku proporcje w stanie posiadania zostały odwrócone. Odtąd to szlachta polska stanowiła mniejszość wśród właścicieli majątków ziemskich[13]. Aby ten cel osiągnąć, Hohenzollernowie wyjątkowo tylko w Prusach Zachodnich dopuścili możliwość nabywania dóbr rycerskich niemieckiemu mieszczaństwu, a właściwie burżuazji,

---

[11] GStA PK Berlin-Dahlem, XIV. HA Westpreußen, Rep. 181, Sammelfindbuch, Nr. 4002–4015.

[12] M. Bär, *Westpreussen*..., Bd. 1, s. 373.

[13] Zob. K. Jeżowa, *Der Grundbesitz in Weichselpommern zur Zeit der Teilungen Polen und vor dem Weltkriege*, Danzig 1934, passim.

z preferencją dla wyznania ewangelickiego. Nierzadko też nabywcami dóbr rycerskich były osoby wyznania mojżeszowego.

Osobnym problemem, o którym należy tu nadmienić, w polityce pruskiej wobec szlachty na Pomorzu była drobna szlachta, występująca w zwartej masie na kaszubskim obszarze językowym, której znaczna część wiodła życie niczym nieodbiegające stylem i poziomem od gburskich czy chłopskich sąsiadów[14]. Część jej przedstawicieli, mimo niekorzystnej kondycji majątkowej, było w stanie utrzymać swe przywileje, pod warunkiem, że ich przodkowie widnieli na liście hołdowniczej z 1772 roku. Większość jednak wegetowała na skromnych majątkach.

Z powodu rozrodzenia i braku miejsca na ojcowiźnie wielu kaszubskich szlachciców jeszcze w czasach Rzeczpospolitej osiadło w dobrach królewskich bądź klasztornych, dzierżąc tam gburstwa lub może jeszcze częściej mniejsze kawałki ziemi. W świetle prawa, zarówno polskiego, jak i pruskiego, osoby takie pozbawione były przywilejów zarezerwowanych dla szlachty. Formalnie byli więc chłopami, lecz kulturowo można ich uznać za szlachtę zwyczajową. Należy bowiem przypuszczać, iż gburzy, chałupnicy czy nawet komornicy i parobcy noszący powszechnie znane nazwiska szlacheckie (często typowe dla Kaszub dwuczłonowe), w pewien sposób kultywowali w domach w jakiejś formie szlachecką tradycję swego pochodzenia[15].

Matrykuły okręgu kartuskiego

Stan zachowania i kompletność matrykuł szlacheckich przedstawia się różnie. Największym problemem dla badacza jest to, iż nie

[14] Chłopami na Kaszubach określano uboższą część społeczności wiejskiej, w odróżnieniu od gospodarzy, których nazywano gburami. Więcej na ten temat zob.: [J. Karnowski], *Ludność kaszubska w ubiegłym stuleciu (Szkic społeczno-kulturalny)*, Kościerzyna 1911.

[15] Szerzej na ten temat zob.: T. Rembalski, *O szlacheckim rodowodzie w pamięci wybranych rodzin kaszubskich w okresie zaboru pruskiego raz jeszcze*, „Nasze Pomorze". Rocznik Muzeum Zachodniokaszubskiego w Bytowie, 2017 (2018), nr 19, s. 43–62; tenże, *Predykaty „nobilis", „de" i „von" w pisowni kaszubskich nazwisk szlacheckich w kontekście historycznym*, „Acta Cassubiana" 2018, t. XX, s. 192–220.

zachowały się matrykuły z jednego czasu dla wszystkich okręgów (powiatów) całej prowincji[16]. Powodem tego stanu rzeczy były wspomniane straty wojenne w zasobach archiwalnych.

Najstarsza zachowana matrykuła dóbr rycerskich dla obszaru kaszubskiego, jaką w wyniku kwerendy archiwalnej udało się odszukać, dotyczy wsi szlacheckich okręgu kartuskiego. Znajduje się ona w poszycie wchodzącym w skład zespołu archiwalnego Naczelnego Prezydium Prowincji Prusy Zachodnie w Gdańsku, przechowywanym w Archiwum Państwowym w Gdańsku. Poszyt, którego tytuł jest nie w pełni czytelny, obejmuje sprawy „ulepszenia" matrykuły szlacheckiej okręgu kartuskiego od 29 czerwca 1829 do 18 kwietnia 1853 roku[17]. Pierwsza matrykuła opatrzona została tytułem *Nachweisung der in die Ritter-Güts-Matrikel des Carthauser Kreises aufgenommenen Güter und der Besitzer derselben*[18]. Zatwierdził ją landrat kartuski Georg von Kleist 5 lipca 1833 roku w Kartuzach. Nie licząc numeracji, posiada ona jedynie trzy rubryki zawierające nazwę dóbr, imię, nazwisko i czasami zawód lub stan/tytuł właściciela oraz adnotacje. Z kolei nie posiada ona informacji o wielkości lub wartości dóbr, lecz wylicza wszystkich, bez wyjątku, właścicieli wsi drobnoszlacheckich. Jest to o tyle niespotykane, gdyż większość znanych matrykuł przy wsiach z podzieloną własnością (drobnoszlacheckich) nie wylicza ich właścicieli z imienia i nazwiska, a jedynie ogranicza się do stwierdzenia – *Mehreren Antheils Besitzer* (liczni posiadacze

[16] Wyjątkiem jest tu wykaz dóbr szlacheckich dla departamentu kwidzyńskiego z 1806 roku (GStA PK Berlin-Dahlem, General-Directorium. Westpreussen u. Netze-District. Materien, Titel LVIII. Historische Tabellen, Nr. 42 – Acta betr. Nachweisung von den adligen Gütern des Marienwerder'schen Departaments 1806). Dane w nim zawarte zostały już współcześnie mu opublikowane. Zob. A.C. v. Holsche, *Geographie und Statistik von West-, Süd- und Neu-Ostpreussen*, Bd. 3, Berlin 1807, s. 43–64.

[17] Archiwum Państwowe w Gdańsku (dalej cyt. AP Gdańsk), sygn. 6/1259, s. 1–211.

[18] W wolnym tłumaczeniu: *Wykaz majątków i ich posiadaczy w matrykule dóbr rycerskich okręgu kartuskiego*.

cząstkowi)[19], co dla badań nad szlachtą kaszubską jest niewątpliwie niekorzystną sytuacją.

Jak każda inna matrykuła, również kartuska, podzielona została na dwie sekcje, szlachecką (*Adligen Güter* – dobra szlacheckie) i chełmińską (*Köllmischen und gleichartigen Güter* – dobra chełmińskie i podobne). Dobra szlacheckie to oczywiście majątki, które wywodziły się najczęściej ze średniowiecznych dóbr na prawie rycerskim, czasami z późniejszych przekształceń prawnych. Natomiast dobra chełmińskie pojawiły się w okresie zaborów, czyli po 1772 roku. Najczęściej zaliczały się do nich dawne folwarki królewskie lub kościelne, skonfiskowane przez państwo pruskie i nadane w użytkowanie osobom świeckim, zwykle pochodzenia niemieckiego. Na Kaszubach bardzo często włączono do nich również tzw. pustkowia, czyli posiadłości powstałe na karczunkach w okresie staropolskim (XVI–XVIII wieku) na obszarze administrowanym przez królewskich starostów. Przy tworzeniu dóbr chełmińskich kierowano się zasadą, iż majątek taki musiał posiadać ponad 6 włók chełmińskich, czyli ok. 100 ha. Dzięki temu posiadacze takich majątków wchodzili do elity danego okręgu, gdyż pozwalało im to na zasiadanie w lokalnym *Kreistagu* – sejmiku powiatowym. W dalszej perspektywie posiadacze dóbr chełmińskich weszli do tworzącej się w XIX wieku warstwy ziemiańskiej.

Co ciekawe, w momencie tworzenia matrykuły dla okręgu kartuskiego na jego obszarze nie występowały dobra chełmińskie, o czym wspominał w swym piśmie z 29 czerwca 1829 roku landrat von Groddeck[20]. Jednakowoż ten sam landrat w kolejnym piśmie z 8 lutego 1831 roku donosił, iż zgodnie z rozporządzeniem o stanie rycerskim z 17 marca 1828 roku, status dóbr chełmińskich w okręgu kartuskim

[19] Tak m.in. sporządzono matrykułę dóbr rycerskich okręgu chojnickiego w 1834 r., gdzie własność drobnoszlachecka również występowała. AP Gdańsk, sygn. 6/250, s. 55–64. Podobnie wyglądają matrykuły okręgów chojnickiego i człuchowskiego z 1841 roku, które znajdują się w archiwum w Berlinie. GStA PK, XIV. HA, Rep. 181, Regierung zu Marienwerder, Nr. 946 (Einsendung der Matrikel von den im Regierungsbezirk Marienwerder belegenen Rittergütern und deren Besitzer 1836–1876), s. 18–108.

[20] AP Gdańsk, sygn. 6/1259, s. 6.

uzyskały Mirachowo i Czapielsk[21]. Mirachowo było dawną królewszczyzną, siedzibą starosty i formalną „stolicą" powiatu mirachowskiego, natomiast Czapielsk przed rozbiorami był własnością klasztoru jezuitów ze Starych Szkotów pod Gdańskiem. W przypadku Czapielska jego status bardzo szybko uległ zmianie, gdyż na podstawie bliżej nieznanego dokumentu z 31 maja 1836 roku, majątek został przekształcony w dobra rycerskie. Tym samym został on przesunięty do sekcji pierwszej, co odzwierciedla publikowana matrykuła.

Z matrykuły wynika, iż w całym okręgu kartuskim początkowo były 54 dobra rycerskie, w których było 134 właścicieli. Po 1836 roku, za sprawą Czapielska, liczby te wzrosły odpowiednio do 55 i 135[22]. Aż 20 spośród 55 dóbr rycerskich posiadało własność podzieloną, czyli więcej niż jednego właściciela. Sześć wsi podzielonych było pomiędzy dwóch właścicieli, a 15 na więcej niż trzech. Niekiedy był to podział pomiędzy dwóch zamożnych lub względnie zamożnych właścicieli, którzy posiadali inne posiadłości, lecz charakterystyczną grupą posiadaczy dóbr na prawie rycerskim w okręgu kartuskim była drobna szlachta kaszubska. Ich majątki były niekiedy bardzo skromne, a status materialny częstokroć nie dorównywał wielu rodzinom gburskim. Tego typu majątki występowały w: Borku, Borzestowie, Bukowej Górze, Częstkowie, Cieszeniu, Grabowie Parchowskim, Gostomiu, Kożyczkowie, Mściszewicach, Podjazach, Puzdrowie, Pałubicach, Pierszczewie, Węsiorach, Żukówku czy Żurominie. Łącznie znajdowało się w nich aż 91 działów (majątków drobnoszlacheckich). Tylko w niektórych z tych wsi szlacheckich, jak przykładowo w Mściszewicach czy Żukówku, zamieszkiwali nieco bogatsi posiadacze, którzy aspirowali do warstwy ziemian. Analizowana matrykuła w żaden sposób nie naświetla problemu statusu materialnego poszczególnych drobnych posiadaczy, gdyż nie podaje ani obszaru majątków, ani ich wartości, co było praktykowane w wielu innych przypadkach przez pruskich urzędników. Należy też zwrócić uwagę na fakt, iż nie wszyscy posiadacze dóbr rycerskich legitymowali się szlacheckim pochodzeniem.

[21] Tamże, s. 9.

[22] Tamże, s. 23–27.

Szlachcice posiadali przed nazwiskiem charakterystyczny predykat *von*. Proces przewłaszczania dużych dóbr szlacheckich lub całych wsi drobnoszlacheckich przez osoby pochodzenia nieszlacheckiego rozpoczął się tuż po 1772 roku, o czym wcześniej nadmieniono. To samo zjawisko względem niewielkich działów we wsiach drobnoszlacheckich szczególnie nasiliło się po okresie uwłaszczenia, kiedy chłopi nabyli prawo do wolnego nabywania ziemi. Początki tego zjawiska są widoczne w publikowanych matrykułach.

Brak informacji o wielkości majątków uzupełnia młodsza o rok matrykuła, która również została umieszczona w omawianym poszycie[23]. Poprzedzona jest tytułem *Extrakt aus der Matrikel der zum Erscheinen in Stande der Ritterschatft befägenden Güter der Provinz Preußen. Die Matrikel selbst ist von Sr. Majestät dem Könige unterm 31ten December 1834, Allerhöchst eigenhändig vollzogen worden*[24]. Prócz trzech kolumn, które występowały w poprzedniej matrykule, obecna wzbogacona została trzema dodatkowymi. Pierwsza zawiera powierzchnię majątków według miary chełmińskiej (*Gröste nach kullmischem Maaß*), a druga sumę gruntów znajdujących się w użytkowaniu chłopskich posiadaczy (*Summa an bäuerliche Besitzer übergegangen*). Obie posiadają podział na mniejsze kolumny, w których podano odpowiednio wartość powierzchni w łanach, morgach i prętach kwadratowych miary chełmińskiej[25]. Niestety w przypadku wsi z podzieloną własnością próżno szukać wielkości majątków poszczególnych dziedziców dóbr cząstkowych, co jak wskazano wcześniej, było typowym postępowaniem pruskich urzędników. Podobnie potraktowano grunty w posiadaniu chłopów, którzy dysponowali zaledwie ok. 13% powierzchni wszystkich gruntów we wsiach szlacheckich okręgu kartuskiego, włączając w to chełmińskie Mirachowo. Dla porównania

[23] Tamże, s. 35–45.

[24] W wolnym tłumaczeniu: *Wyciąg z matrykuły ukazującej położenie rycerstwa władającego dobrami Prowincji Pruskiej. Matrykuła zatwierdzona własnoręcznie przez Jego Majestat Króla 31 grudnia 1834 roku*.

[25] Włóka = 30 morgów = 16,8 ha; 1 morga = 300 prętów kwadratowych = 0,56 ha; 1 pręt kwadratowy = 0,0187 ha. Zob. J. Szymański, *Nauki pomocnicze historii*, wyd. VI, Warszawa 2005, s. 166.

obszar uprawny wsi podzielonych pomiędzy dwóch właścicieli obejmował tylko 4,3%, a drobnoszlacheckich (więcej niż 3 właścicieli w jednej wsi) 18% ogółu powierzchni. Właściciele niepodzielonych majątków posiadali blisko 65% ziemi uprawnej, lecz również wśród nich występowały znaczne różnice. Niektórzy dysponowali rzeczywiście sporymi posiadłościami, inni zaś zbliżeni byli do drobnej szlachty. Aby uzyskać wiedzę o powierzchni majątków drobnoszlacheckich należy odwołać się do innych źródeł, jak przykładowo do katastru kontrybucyjnego czy akt dotyczących reform agrarnych[26]. Trzecia kolumna dotyczyła kwalifikacji majątków i podstawy ich określenia (*Qualität des Guts und Angabe worauf selbigen beruht*). W obecnym wydaniu pominięto ją ze względu na brak miejsca. Zresztą uznano, iż publikacja kolumny nie ma sensu, gdyż każda posiadłość była szlachecka, a podstawą do jej kwalifikacji był kataster kontrybucyjny[27] (*Adlig – Contributions Cataster*). Wyjątkiem było jedynie Mirachowo, które określono jako *wolna własność* (*Freies Eigenthüm*).

Na kolejnych stronach omawianego poszytu znajdują się zmiany własności w poszczególnych dobrach rycerskich i ich uaktualnienia w matrykule. Przykładowo w piśmie do nadprezydenta prowincji pruskiej w Królewcu von Schoena z 9 października 1839 roku, landrat von Kleist podał następującą listę nowych właścicieli wg numerów w matrykule:

7. Buszkowy Dolne – Lieutenant (porucznik) v. Zitzewitz

9. Chośnica – Gutsbesitzerin Frau (posiadaczka majątku pani) v. Zitzewitz

13. Widlino – Gutsbesitzerin Frau v. Laszewska

14. Wyczechowo – Gutsbesitzer (posiadacz majątku) Neubauer

23. Klukowa Huta – Gutsbesitzer v. Klinski

---

[26] Zob. przykładowo: T. Rembalski, *Akta podatku gruntowego pruskich urzędów katastralnych jako źródło do badań struktury społeczno-majątkowej drobnej szlachty kaszubskiej w Prusach Zachodnich (1861–1872)* [w:] *Z podatkiem przez wieki*, red. A. Łysiak-Łątkowska, T. Rembalski, „Studia Historica Gedanensia" 2015, t. VI, s. 82–112.

[27] Najpewniej chodzi o kataster kontrybucyjny, zwany też fryderycjańskim, który sporządzono na przełomie 1772/1773 roku.

26. Łączyńska Huta – Gutsbesitzerin Wittwe (posiadaczka majątku wdowa) v. Kistowska

27. Przywidz – Gutsbesitzer Piekering z Liverpoolu

28. Mezowo – Gutsbesitzer v. Lange

49. Warzenko – Gutsbesitzer Hasse

52. Zgorzałe – Gutsbesitzer Landrath (posiadacz majątku landrat) Blindow w Kościerzynie[28].

Zarejestrowanych zmian jest oczywiście znacznie więcej i warto zajrzeć do tego źródła przy pracach monograficznych dotyczących poszczególnych miejscowości bądź rodzin. W zainteresowaniu landrata był również prawidłowy w jego rozumieniu (w języku niemieckim) zapis nazw miejscowości szlacheckich. Znalazł się w nim także wykaz chłopów zamieszkujących w majątku Załęże i jego przysiółkach[29]. Być może będzie go warto opublikować przy innej okazji, gdyż wszelkie spisy ludności, nie tylko szlacheckich posiadaczy, mają dużą wartość dla badań historycznych i genealogicznych, zarówno dla badaczy profesjonalnych, jak i amatorów.

Publikowany obecnie wykaz posiadaczy dóbr szlacheckich okręgu kartuskiego z lat 1833–1834 nie jest jedynym zachowanym dla tego terenu. Na naukową analizę i publikację czekają m.in. matrykuła z początku 1892 roku[30] oraz akta dotyczące utraty bądź potwierdzenia szlachectwa, zmian pisowni nazwisk (nie tylko szlacheckich), w tym germanizacji, a także prawa do predykatu *von*[31].

[28] AP Gdańsk, sygn. 6/1259, s. 56.

[29] Tamże, s. 84–93.

[30] GStA PK, XIV. HA Westpreußen, Rep. 180, Nr. 13902, s. 345–405.

[31] AP Gdańsk, sygn. 31/22 (poszyt zatytułowany: *Verschiedene Gnade und Adelssache*); tamże, sygn. 31/23 (*Die Führung des Adel Prädikates*); tamże, sygn. 31/25 (*Namensänderungen*). Na temat predykatów szlacheckich patrz: T. Rembalski, *Predykaty „nobilis", „de" i „von" w pisowni kaszubskich nazwisk szlacheckich w kontekście historycznym…*

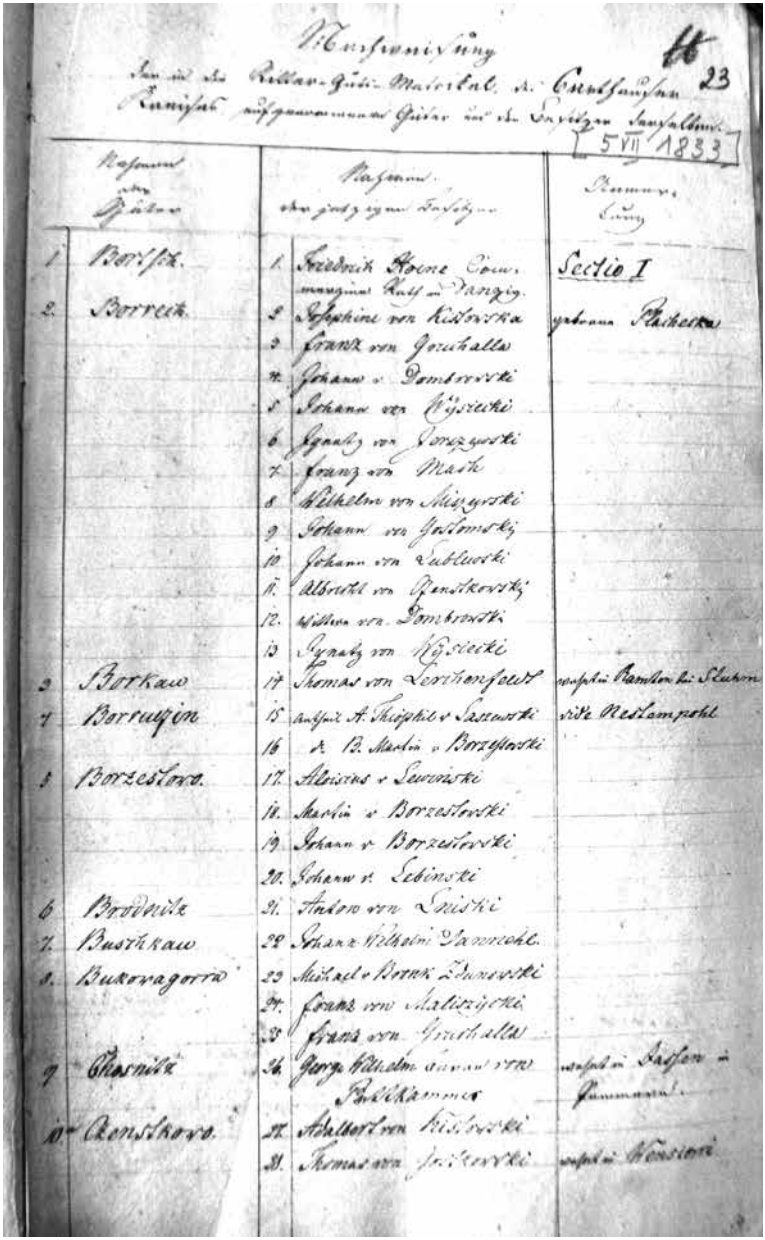

Il. 1. Pierwsza strona matrykuły szlacheckiej okręgu kartuskiego z 1833 roku. Oryg.: AP Gdańsk, sygn. 6/1259, s. 24

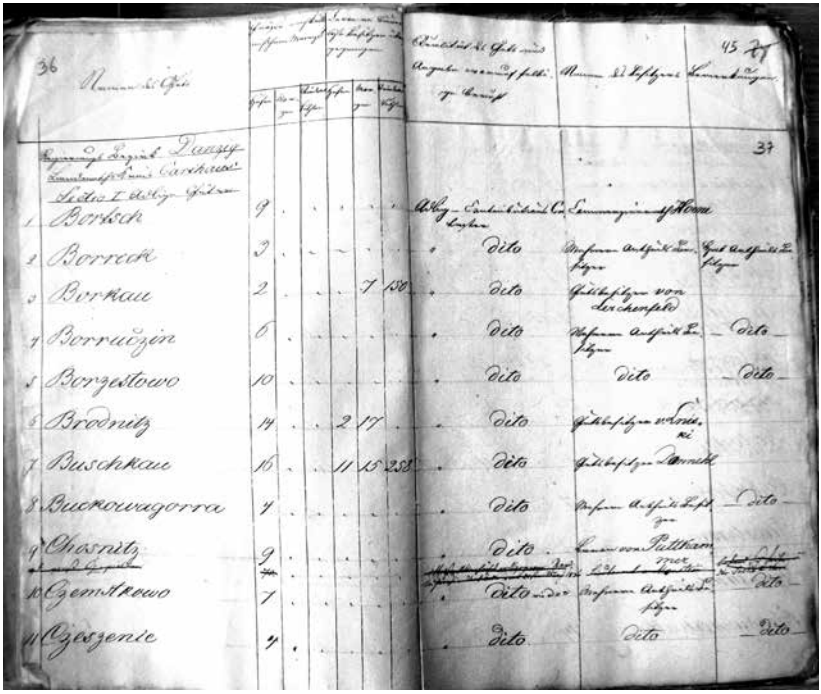

Il. 2. Pierwsza strona matrykuły szlacheckiej okręgu kartuskiego z 1834 roku
Oryg.: AP Gdańsk, sygn. 6/1259, s. 36–37

Aneks

Wykaz dóbr rycerskich i ich właścicieli w okręgu kartuskim sporządzony na podstawie matrykuł z lat 1833–1834

Oryg.: AP Gdańsk, sygn. 6/1259, s. 23–27, 35–45.
Uwagi: Matrykuła z 1833 roku nosi tytuł: *Nachweisung der in die Ritter-Güts-Matrikel des Carthauser Kreises aufgenommenen Güter und der Besitzer derselben*, z kolei o rok młodsza: *Extrakt aus der Matrikel der zum Erscheinen in Stande der Ritterschatft befägenden Güter der Provinz Preußen. Die Matrikel selbst ist von Sr. Majestät dem Könige unterm 31ten December 1834, Allerhöchst eigenhändig vollzogen worden*. Kolumny 1–2 oraz 5–6 są wspólne dla obu wykazów, natomiast kolumny 3–4 pochodzą z matrykuły z 1834 roku, zaś 7. z 1833 roku. W źródle większość nazwisk została poprzedzona szlacheckim przyimkiem *von* lub jego skrótem *v.*. W obecnej edycji ujednolicono jej pisownię bez zaznaczania. Podobnie niektóre niemieckie nazwy miejscowości zostały zapisane w dwóch różnych wersjach. Przyjęto najczęściej spotykaną w źródłach.

Objaśnienia:
wł. – włóki
m – morgi
p^2 – pręty kwadratowe
włóka = 30 morgów; 1 morga = 300 prętów kwadratowych = 0,56 ha; 1pręt kwadratowy = 0,0187 ha

1	2	3			4			5	6	7
N°	**Nahmen der Güter**	**Gröste nach kull-mischem Maaß**			**Summa an bäuer-liche Besitzer übergegangen**			**N°**	**Nahmen der jetzigen Besitzer**	**Bemerkungen**
nr	*nazwa dóbr*	*powierzchnia majątków wg miary chełmińskiej*			*suma gruntów przekazana posiadaczom chłopskim*			*nr*	*nazwisko obecnego posiadacza*	*adnotacje*
		Hufen	Morgen	Quadrat Ruthen	Hufen	Morgen	Quadrat Ruthen			
		wł.	*m*	p^2	*wł.*	*m*	p^2			
Sectio I. Adligen Güter										
Sekcja I. Dobra szlacheckie										
1	Bortsch (*Borcz*)	9						1	Friedrich Hoene Commerzien Rath in Danzig[a] [32]	

[32] Friedrich August Theodor Hoene (1776–1868), kupiec i przedsiębiorca, był synem burmistrza Lęborka Johanna Christiana (1750–1832). Był właścicielem firmy armatorskiej zajmującej się handlem z Europą Zachodnią. W 1822 r. był współzałożycielem, a w l. 1835–1849 prezesem Korporacji Kupców. Ponadto był właścicielem majątków w Oruni, Leźnie, Lnisku, Pępowie i Borczu. [M. Gliński], *Hoene Friedrich August Theodor* [w:] *Encyklopedia Gdańska*, red. nauk. B. Śliwiński, Gdańsk 2012, s. 396.

1	2	3			4			5	6	7
2	Borreck (*Borek*)	3						2	Josephine von Kistowska	geboren Plachecka[b]
								3	Franz von Gruchalla	
								4	Johann von Dombrowski	
								5	Johann von Wysiecki	
								6	Ignatz von Jerszewski[c]	
								7	Franz von Mach	
								8	Wilhelm von Miszewski	
								9	Johann von Gostomski	
								10	Johann von Lublewski	
								11	Albrecht von Czenstkowski	
								12	Wittwe[d] von Dombrowska	
								13	Ignatz von Wysiecki	
3	Borkau (*Borkowo*)	2				7	150	14	Thomas von Lerchenfeldt	wohnt in Ramten bei Stuhm[e]
4	Borruczin (*Borucino*)	6						15	Antheil A.[f] Theophil von Laszewski	vide Nestempohl[g]
								16	Antheil B.[h] Martin von Borzestowski	
5	Borzestowo (*Borzestowo*)	10						17	Aloisius von Lewinski	
								18	Martin von Borzestowski	
								19	Johann von Borzestowski	
								20	Johann von Lebinski	

1	2	3			4			5	6	7
6	Brodnitz (*Brodnica*)	14			2	17		21	Anton von Lniski	
7	Buschkau (*Buszkowy Dolne*)	16			11	15	258	22	Johann Wilhelm Dannehl	
8	Bukowagora (*Bukowa Góra*)	4						23	Michael von Bronk Zdunowski	
								24	Franz von Maliszycki[i]	
								25	Franz von Gruchalla	
9	Chosnitz (*Chośnica*)	9						26	George Wilhelm Baron von Puttkammer	wohnt in Jassen in Pommern[j]
10	Czenstkowo (*Częstkowo*)	7						27	Adalbert von Kistowski	
								28	Thomas von Gostkowski	wohnt in Wensiori[k]
								29	Johann von Rybinski	
								30	Veronica von Laskowska	nannt sich Pallubiska[l]
[10b]	[Gross Czapielken] (*Czapielsk*)	[7]						[135]	[Leutenantm von Manstein]	[.....][n]
11	Czeszenie (*Cieszenie*)	4						31	Ignatz von Lebinski	
								32	Friedrich Radant	
12	Czettschau (*Czeczewo*)	2	15					33	Gottlieb Piwko	
								34	Pauline Caroline Lesse geboren Platzmann	vide Tokkar[o]
13	Fidlin (*Widlino*)	13	15					35	August Ferdinand Hohnfeldt	

1	2	3			4			5	6	7
14	Fitschkau (*Wyczechowo*)	16						36	Pott-Cowlesche Stiftung in Elbing[33]	
15	Grabowo (*Grabowo Parchowskie*)	6						37	Joseph von Pawlowski	
								38	Wittwe[d] von Pawlowska	
								39	Joseph von Grabowski	
								40	Joseph von Grabowski	
16	Neu Glincz (*Nowy Glińcz*)	4	15					41	Albrecht von Gruchalla	

[33] Fundacja Pott-Cowle'a w Elblągu, powstała w celu utrzymania miejscowego gimnazjum na mocy testamentu filantropa Richarda Cowle, który wcześniej (1811 r.) podarował dla tej placówki przyrządy matematyczne i fizyczne po swym zmarłym szwagrze Pott'cie. Elbląski Wortal Historyczny, Wortal Historyczny – Biogram (bibliotekaelblaska.pl), [dostęp: 8.08.2021 r.].

1	2	3			4			5	6	7
17	Gostomie (*Gostomie*)	6	22	150				42	Lorenz von Grabski	
								43	Martin von Jakusch	
								44	Michael von Trzebiatowski	
								45	Albrecht von Jakusch	
								46	Joseph von Grabowski	
								47	Stanislaus von Kostka	
								48	Johann von Czieszinski[p]	
								49	Thomas von Kielpinski	
								50	Stephan von Czieszinski[p]	
								51	Joseph von Bronk	
								52	Jacob Zalmann	
								53	Anton von Borszyskowski[r]	
								54	Wittwed Stephan	
								55	Martin von Jakusch	
								56	Jacob von Kostka	
18	Kaminitza et Neudorf (*Kamienica* i Nowa Wieś)	24			15			57	Theophil von Laszewski	wohnt in Nestemphol[s]
19	Kistowo (*Kistowo*)	8						58	Theodor von Laszewski	
20	Kobissau (*Kobysewo*)	9						59	Johann Martin von Schoenborn	wohnt in Graudenz[t]

1	2	3			4			5	6	7
21	Koszitzkau (*Kożyczkowo*)	6						60	Joseph von Lewinski	
								61	Johann von Krenski[u]	
								62	Anton von Tempski	
22	Krissau (*Skrzeszewo*)	6	15					63	Anton von Sychowski	
								64	Landrathv George von Kleist	wohnt in Rheinfeldt[w]
23	Klukowahutta (*Klukowa Huta*)	4						65	Franz von Gruchalla	
24	Lappin (*Łapino Kartuskie*)	17	15					66	Christoph August Wilhelm von Windisch	
25	Lonczin (*Łączyno*)	8						67	Joseph von Tokarski	wohnt in Zarszetz im Conitzer Kreise[x]
26	Lonczinskahutta (*Łączyńska Huta*)	4			3	20	58		ist sequestirt, der Besitzer todty[34]	
27	Mariensee (*Przywidz*)	13			51	22		68	Die Erben des verstorbenen Kauffmann Carl Gottlieb Steffensz[35]	

[34] W piśmie z 8 sierpnia 1833 roku do nadprezydenta prowincji pruskiej w Królewcu von Schöna landrat kartuski von Kleist jako ostatnich właścicieli Łączyńskiej Huty określił: Annę v. Dombrowską z d. v. Gostomską i jej męża Jana v. Dombrowskiego, którzy wraz z sześciorgiem dzieci na początku 1831 roku, legitymując się paszportem królewskiej rejencji w Gdańsku, wyemigrowali do wsi „Woitowska" (?) koło Nieszawy w Królestwie Polskim. Wkrótce Dombrowski zmarł w tej miejscowości. Ich dziećmi byli: Michalina lat 21, Alojzy l. 19, Konstantyn l. 17, Felicjan l. 14, Paulina l. 10 oraz Antonia l. 7. AP Gdańsk, sygn. 6/1259, s. 32–33.

[35] Carl Gottlieb Steffens (1749–1825), kupiec, syn Jacoba, introligatora z Prabut, początkowo był wspólnikiem w firmie Johanna Wilhelma Uphagena, następnie właścicielem firmy hurtowego handlu zbożem „Carl Steffens und Söne". Jego synami byli: Carl

1	2	3			4			5	6	7
28	Mehsau (*Mezowo*)	6	10					69	Oberpostdirektor in Danzig[aa] Christian Friedrich Wernich	
29	Mischau (*Miszewo*)	1	15					70	Gottlieb Piwko	wohnt in Danzig[ab]
								71	Pauline Caroline Lesse	wohnt in Tokkar[ac]
30	Msciszewitz (*Mściszewice*)	10						72	Carl von der Marwitz	
								73	Anton Carl von Borziszkowski[ad] [36]	
								74	August von Borzistowski[ae]	
								75	Franz Thominski	
								76	Johann von Mondri Dombrowski	
								77	Die Erben des[af] Michael von Tessen Wensierski	
31	Nestemphol (*Niestępowo*)	30			4			78	Theophil von Laszewski	
32	Niesalowitz (*Niesiołowice*)	4						79	Ludowika von Jeszierska geboren von Ostau Lniski[ag]	

Wilhelm Gustav (1790–1861), Ferdinand Eduard Ludwig i Friedrich Adolph Eugen (1798–1832). [M. Gliński], *Steffens Carl Gottlieb* [w:] *Encyklopedia Gdańska*, s. 954.

[36] Informacje o rodzinie Antoniego Borzyszkowskiego i szczególnie o jego synu Alojzym podają: J. Borzyszkowski, *Dzieje rodziny w życiu historyka* [w:] *Gdańsk i Pomorze w XIX i XX wieku. Studia z dziejów i kultury regionu*, Gdańsk 1999, s. 320–323; T. Rembalski, *Szlachectwo w czasach zaboru pruskiego na przykładzie Borzyszkowskich z powiatu kartuskiego* [w:] *Borzyszkowscy i Borzyszkowy …z Piekła rodem*, t. VII, studia i materiały zebrał i opracował oraz wstępem opatrzył J. Borzyszkowski, Gdańsk 2015, s. 298–302.

1	2	3			4			5	6	7
33	Pempau (*Pępowo*)	5						80	Commerzien Rath in Danzig Friedrich Hoene[37]	
34	Podjass (*Podjazy*)	6						81	Peter von Gruchalla	
								82	Peter von Bronk	
								83	Jacob von Pallubicki	
								84	von Schedlin Czarlinski	wohnt in Bukowitz Berenter Kreises[ah]
								85	Xawer von Maleck Podjaski	wohnt in Trampken Danziger Kreises[ai]
								86	Mathias von Jakusch	
								87	Edmund von Prondzinski	
35	Pusdrowo (*Puzdrowo*)	10						88	Joseph von Dobrzewinski	
								89	Johann von Bojahn	
								90	Franz von Bojahn	
								91	Michael von Pask[aj]	
								92	Anton von Zakrzewski	
								93	Johann von Dombrowski	
36	Przewosz (*Przewóz*)	16						94	Theophil von Laszewski	vide Nestemphol[h]

[37] Patrz przyp. 32.

1	2	3			4			5	6	7
37	Pallubice (*Pałubice*)	9						95	Jacob von Bronk	
								96	Franz von Dullack	
								97	Ernst Hopp	
								98	David von Ganski	
								99	Martin von Sarnowski	
38	Pierczewo (*Pierszczewo*)	18						100	Joseph von Paraski	
								101	Andreas von Gruchalla	
								102	Lucas von Jakusch	
								103	Michael von Wensierski	
								104	Anton von Wensierski	
	[Pierszczewko]							105	die Katholische Kirche zu Berent[ak]	
39	Rheinfeldt (*Przyjaźń*)	41			3	27	168	106	Landrathv George von Kleist	
40	Schlaffkau (*Sławki*)	5						107	Wilhelmine von Puttkammer geschindene Doktor Brettschneideral	
41	Sierakowitz (*Sierakowice*)	16						108	Vincent von Laszewski	Besitzt auch einen Antheil in Pusdrowo[am]
42	Sdunowitz (*Zdunowice*)	7						109	Szolastica geb. von Lewinska, verwittwete von Laszewskian	
43	Stendsitz (*Stężyca*)	22						110	Johann George Friedrich August Osterroth	

1	2	3			4			5	6	7
44	Sullenczin (*Sulęczyno*)	18						111	Stephan von Laszewski	
45	Sykorczin (*Sikorzyno*)	16						112	Friedrich Wilhelm Cuno	
46	Tuchlin (*Tuchlino*)	9						113	Anton von der Marwitz	
								114	Matheus von Dombrowski	
47	Tokkar (*Tokary*)	15						115	Pauline Caroline Lesse geboren Platzmann verehelichte Commerzien Rath Lesse im Beistande ihres Getter Daniel Gottfried Lesse[ao]	
48	Warczno (*Warzno*)	6								wohnt in Tokkar[ac]
49	Warczenko (*Warzenko*)	1	15					116	Major[ap] Carl von Below	
50	Wensiorry (*Węsiory*)	13						117	Anton von Wensierski	
								118	Wittwe[d] von Poblocki	
								119	Wittwe[d] von Wensierski	
								120	Lucas von Jakusch	wohnt in Pierszewo[ar]
								121	Joseph von Grabowski	
								122	Joseph von Dullack	
								123	Thomas von Gostkowski	
								124	Peter von Wolski	
								125	Ignatz von Dullack	
51	Zalenze (*Załęże*)	19						126	Christoph August Wilhelm von Windisch	wohnt in Lappin[as]

1	2	3			4			5	6	7
52	Zgorszallen (*Zgorzałe*)	14						127	Ludowika von Jeszierska geboren von Ostau Lniski[ag]	wohnt in Niesalowitz[at]
53	Zukowken incl. Muelchen (*Żukówko z Młynem*)	13	15					128	Friedrich von Dombrowski	
								129	Carl von Dombrowski	wohnt in Jenkau bei Danzig[au]
								130	Carl Bosch	
54	Zurromin (*Żuromino*)	7						131	Ignatz von Grabowski	
								132	Anton von Gruchalla	
								133	Martin von Plachecki	
								134	Johann George Friedrich August Osterroth	wohnt in Stendsitz[av]
Sectio II. Köllmischen und gleichartigen Güter										
Sekcja II. Dobra chełmińskie i podobne										
1	Gross Czapielken (*Czapielsk*)	7						135	A. von Manstein[aw]	ist in die Sectio I Nro 10b aufgenommen, vide ibid.[ax]
2	Mirchau (*Mirachowo*)	51						136	August Hering	
	razem	*623*	*2*	*150*	*92*	*20*	*34*			Carthaus den 5. July 1833. der Landrath v. Kleist[ay]

Przypisy tekstowe:

[a] Radca komercyjny w Gdańsku; [b] Urodzona (z domu) Płachecka; [c] Gierszewski; [d] Wdowa; [e] Zamieszkały w Ramotach koło Sztumu; [f] Dział (część wsi szlacheckiej) A; [g] Patrz Niestępowo; [h] Dział B; [i] Małszycki; [j] Zamieszkały w Jasieniu na Pomorzu [Zachodnim]; [k] Zamieszkały w Węsiorach; [l] Nazywa się Pałubicka; [m] Porucznik; [n] Cały wpis pod nr 10b został dopisany tzw. „późniejszą ręką". Adnotacja w dużej części nieczytelna. W domyśle wynika z niej, że majątek Czapielsko został przekształcony z dóbr chełmińskich na dobra rycerskie na rzecz porucznika von Mansteina na podstawie dokumentu z 31 maja 1836 r.; [o] Patrz Tokary; [p] Cieszyński; [r] Borzyszkowski; [s] Zamieszkały w Niestępowie; [t] Zamieszkały w Grudziądzu; [u] Kręcki; [v] Landrat – urzędnik stojący na czele okręgu/powiatu (Kreis), odpowiednik polskiego starosty; w Zamieszkały w Przyjaźni; [x] Zamieszkały w powiecie chojnickim, nazwa wsi niejasna (przekręcona); [y] Majątek jest sekwestrowany (skonfiskowany), posiadacz nie żyje. W matrykule z 1834 roku jako właścicieli wskazano *spadkobierców Dombrowskiego* (v. Dombrowskische Erben); [z] Spadkobiercy nieżyjącego kupca Carla Gottlieba Steffensa; [aa] Naczelny Dyrektor Poczty w Gdańsku; [ab] Zamieszkały w Gdańsku; [ac] Zamieszkała w Tokarach; [ad] Borzyszkowski; [ae] Borzestowski; [af] Spadkobiercy Michała Tessen (Cieszycy) Węsierskiego; [ag] Ludwika Jezierska urodzona (z d.) Ostoja Lniska; [ah] Zamieszkały w Starym Bukowcu, pow. Kościerzyna; [ai] Zamieszkały w Trąbkach (nie wiadomo, Wielkich czy Małych?), pow. Gdańsk; [aj] Paszk; [ak] Parafia katolicka w Kościerzynie; [al] Wilhelmine von Puttkammer rozwiedziona doktorowa Brettschneider. W matrykule z 1834 zapisana jako Frau Dr Bredtschneider; [am] Posiada też jeden dział w Puzdrowie; [an] Scholastyka urodzona (z d.) Lewińska owdowiała Łaszewska; [ao] Pauline Caroline Lesse urodzona Platzmann zamężna radcowa Lesse w asyście jej męża Daniela Gottfrieda Lesse; [ap] Major – stopień oficerski; [ar] Zamieszkały w Pierszczewie; [as] Zamieszkały w Łapinie; [at] Zamieszkała w Niesiołowicach; [au] Zamieszkały w Jankowie Gdańskim koło Gdańska; [av] Zamieszkały w Stężycy; [aw] Wpis skasowany; [ax] Jest umieszczony w sekcji I pod nr 10b, patrz tamże; [ay] Kartuzy, dn. 5 lipca 1833 roku / landrat / v. Kleist.

KARTUSKIE ZESZYTY MUZEALNE
NR 6/2021
K R O N I K A

Barbara Kąkol

SPRAWOZDANIE Z DZIAŁALNOŚCI MERYTORYCZNEJ MUZEUM KASZUBSKIEGO IM. FRANCISZKA TREDERA W KARTUZACH ZA 2021 ROK

Muzeum Kaszubskie im. Franciszka Tredera w Kartuzach jest instytucją kultury finansowaną przez Gminę Kartuzy. Muzeum posiada następujące działy: artystyczno-historyczny i etnografii. Zadania, które muzeum wypełniało w roku sprawozdawczym, dotyczyły między innymi szerzenia wiedzy historycznej, utrwalania dorobku kaszubskiego, popularyzowania dziedzictwa kaszubskiego i rozsławiania go. Ponadto muzeum skupiało się na integrowaniu społeczności lokalnej i edukowaniu młodego pokolenia.

Działalność naukowo-badawcza

W roku sprawozdawczym, w dziedzinie upowszechniania kultury, Muzeum prowadziło na bieżąco dokumentację zbiorów etnograficznych i historycznych oraz prezentowało bogate wartości kultury kaszubskiej. W 2021 roku pozyskano – na rynku antykwarycznym, u osób prywatnych – cenne artefakty, archiwalia i wydawnictwa drogą kupna i darowizny oraz dokonywano ich wstępnego opracowania, tworząc karty ewidencyjne muzealiów. Zakupiono do zbiorów muzeum obrazy malowane na szkle autorstwa Alicji Serkowskiej, obrazy malowane techniką olejną przez kartuskiego artystę, Rajmunda

Grzenię. Muzeum powiększyło swoje zbiory także o kolekcję prasy przedwojennej, a to dzięki ponownej hojności Pani Renaty Kiedrowskiej – małżonki kaszubskiego redaktora i wydawcy – Wojciecha Kiedrowskiego. 13 marca 2021 roku, za pośrednictwem Pana Andrzeja Buslera, kartuskie muzeum otrzymało kilkanaście numerów gazety „Zrzesz Kaszëbskô". Wartość tej kolekcji podnosi fakt, że niektóre numery pochodzą z księgozbioru Franciszka Fenikowskiego. W roku sprawozdawczym Pani Alicja Serkowska przekazała w darze do zbiorów muzealnych kafle piecowe malowane ornamentami kaszubskimi, zaś Dariusz Wolski przekazał artefakty z nieistniejącego muzeum prywatnego przy ulicy Zamkowej w Kartuzach.

Działalność wystawiennicza

W roku sprawozdawczym pracownicy udostępniali zbiory muzealne w formie on-line. 16 marca odbyły się warsztaty kulinarne z Zytą Górną. Z powodu pandemii odbyły się one w Internecie.

W sobotę, 17 kwietnia, odsłonięto na budynku Muzeum Kaszubskiego tablicę pamiątkową poświęconą Wojciechowi Kiedrowskiemu (1937–2011) – kaszubskiemu redaktorowi, wydawcy i działaczowi – twórcy Oficyny CZEC. Na uroczystość odsłonięcia tablicy przybyli m.in. Renata Kiedrowska – małżonka kaszubskiego Wydawcy, Jan Wyrowiński – prezes Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, senator Kazimierz Kleina – przewodniczący Kaszubskiego Zespołu Parlamentarnego, prezesi trzech partów ZKP: z Gdyni – Franciszek Gurski, z Gdańska – Wojciech Konkel oraz z Kartuz – Kazimierz Formela, Tomasz Fopke – dyrektor Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie, Sławomir Lewandowski – redaktor naczelny „Pomeranii" oraz dawny redaktor naczelny tego czasopisma – Edmund Szczesiak. Uroczystość poprowadziła dyrektor Muzeum Kaszubskiego – Barbara Kąkol. Ze względu na obostrzenia pandemiczne uroczystość miała ograniczony wymiar. Odsłonięcia tablicy dokonała m.in. Renata Kiedrowska – wdowa po Wojciechu Kiedrowskim. Poświęcenia tablicy dokonał ks. dr Ryszard Różycki. Autorem projektu jest prof. Tomasz Sobisz – artysta-rzeźbiarz związany

z Akademią Sztuk Pięknych w Gdańsku. Wzorem zabytkowych tablic epitafijnych wykonana została z wapienia olandzkiego. Odsłonięciu tablicy towarzyszyła wystawa fotograficzna pt. „Kadry z życia Wojciecha Kiedrowskiego" przygotowana przez pracowników muzeum we współpracy z Kaszubskim Forum Kultury.

W roku sprawozdawczym odsłonięto tablicę na budynku Urzędu Pocztowego w Kartuzach poświęconą Stanisławowi Estkowskiemu przedwojennemu naczelnikowi Poczty Polskiej w Kartuzach, zamordowanego w niemieckim obozie w Borowie w 1939 roku. Inicjatorem upamiętnienia Stanisława Estkowskiego była dyrektor muzeum Barbara Kąkol. Muzeum Kaszubskie w Kartuzach otrzymało zgodę na montaż tablicy na elewacji zabytkowego budynku Urzędu Pocztowego w Kartuzach od właściciela obiektu firmy Orange oraz Dyrekcji Poczty Polskiej w Gdańsku. Tablicę z brązu, patynowaną z liternictwem z kompozytu złoto-brązowego wykonał prof. Jan Szczypka.W dniach 15–16 maja 2021 roku odbył się w Kartuzach Weekend Muzeów, który w tym roku zastąpił bardzo popularną Noc Muzeów. Było to rozwiązanie uwzględniające problem pandemii. Mimo że zwiedzanie nie odbywało się do północy, to pracownicy muzeum nie mogli narzekać na nudę. Wystawy kartuskiego muzeum cieszyły się dużym zainteresowaniem. W tych dniach bowiem muzeum udostępniło swoje podwoje bezpłatnie. Poza tym można było zapoznać się z tajnikami dawnych rzemiosł, z życiem Gotów – mieszkańców Pomorza z początku ery – a to dzięki grupie rekonstrukcji historycznej związanej z Gockim Towarzystwem Łuczniczym.

Fani mody przybyli na rozstrzygnięcie konkursu *Sëknia w twòjich rakach* i prezentację nagrodzonych sukienek. Celem konkursu była popularyzacja sztuki krawieckiej i promocji mody z lat międzywojennych. Prace uczestniczek konkursu oceniało Jury w składzie: Brygida Michalewicz, Joanna Reglińska i Bolesława Ciachowska. Spośród dziewięciu sukienek nagrodzono trzy. Do oceny brano pod uwagę zastosowanie starych technik rękodzielniczych, zastosowane szwy i dobór fasonu, a także zgodność z kanonem obowiązującej w międzywojniu mody. Pierwsze miejsce zajęła Wiktoria Bizon, drugie Agata Aponowicz, trzecia nagroda trafiła do Julii Kazany. Spotkanie

uświetniła swoim występem muzycznym Iga Pobłocka, laureatka kaszubskiego idola.

Z okazji Dnia Dziecka muzeum przygotowało mnóstwo atrakcji dla dzieci. Odbyły się konkursy, zabawy podwórkowe, a także została rozszerzona wystawa „Kaszubska współczesność z korzeni wyrasta" o elementy 3 D, z którymi dzieci wykonywały sobie selfie.

8 czerwca 2021 odbyły się w kartuskim muzeum *Ùczbë ò slépnicë*. Sokolniczka, pani Agnieszka, opowiedziała dzieciom i młodzieży o sowach, a także gościliśmy w muzeum Sticha, Gaję i Szu z osady Sowia dusza. Uczestnicy spotkania dowiedzieli się wielu ciekawych informacji o sowach, m.in. że latają bezszelestnie, mają bardzo dobry słuch i mogą kręcić głową „prawie wokół szyi".

23 czerwca odbyły się opowieści przy ognisku z Łowcami Słów (Elżbieta i Groszek Stanilewicz). W świętojańską noc słuchacze usłyszeli m.in. o Remusie, o Purtku, o Łebianach na strądzie, a także wiele innych mądrych opowieści. I w tym wypadku nie tylko ważne było, co się opowiada, ale jak. Ponadto w tym dniu otwarto wystawę linorytu Joli Wolskiej pt. „Demonologia w mitach Kaszub". Na wystawie zaprezentowano grafiki wykonane w technice linorytu. Ich tematem były kaszubskie bóstwa, demony, purtki, duchy i zjawy, jak zawsze tajemnicze, ukazane z pełną ich mroczną stroną. Wyobraźnia i talent artystki, wychowanej na Kaszubach wśród kaszubskich opowieści, pozwoliły jej stworzyć oryginalne prace – w trudnej technice wypukło druku – inspirowane dawną mitologią kaszubską.

10 lipca w Muzeum Kaszubskim w Kartuzach odbył się kolejny Festiwal Nalewki Kaszubskiej. W ramach festiwalu zorganizowano konkurs nalewek w dwóch kategoriach: najbardziej wykwintna nalewka oraz opakowanie nalewki i sposób jej prezentacji. Wręczone zostało także Grand Prix dla nalewki „najlepszej z najlepszych" w obu kategoriach. Jury oceniało ponad 30 nalewek, biorąc pod uwagę sposób zaprezentowania trunku, jego klarowność, zapach i smak. Jury w składzie: Edyta Słomczyńska, Bolesława Ciachowska, Wanda Lew – Kiedrowska wyłoniło laureatów tegorocznego konkursu:

- Grand Prix otrzymała Jadwiga Bliźniewska za nalewkę z czarnej porzeczki.

- I miejsce, w kategorii najbardziej wykwintna nalewka, zajęła Justyna Miotk za nalewkę z truskawki i mięty;
- II miejsce – Janina Sikora za lawendówkę;
- III nagroda trafiła do Honoraty Kuziemkowskiej za nalewkę z pędów sosny.

W kategorii: najładniejsze opakowanie i prezentacja nalewki:

- I miejsce zdobyła Alicja Serkowska;
- II miejsce – Bożena Kupper-Krzyżanowska;
- III miejsce – Emilia Wiśniewska.

Gości rozweselała kapela *A Matizer Noga*. W czasie Festiwalu goście mogli degustować nalewki konkursowe oraz przygotowaną przez Dariusza Wolskiego *Kartuzjankę*, która cechuje się niespotykanym zielonkawym kolorem. Zapewniono również inne atrakcje. W ogrodzie muzeum swoje stoiska prezentowali twórcy ludowi, tacy jak: Alicja Serkowska, Anna Prill, Zbigniew Stankowski, Zenon Pepliński, Jan i Mirosława Kazana. Dla uczestników wydarzenia przygotowano mnóstwo warsztatów rękodzielniczych: filcowanie na mokro, malowanie na tkaninie, plecionkarstwo, garncarstwo, przędzenie i przenoszenie wzorów na deskę. Panie z koła gospodyń wiejskich ze Staniszewa, Koloni i Długiego Krza częstowały swoimi pysznymi wypiekami. Zyta Górna przeprowadziła warsztaty kulinarne i częstowała gości waflami. Tradycyjnie Pani Elwira Formela przygotowała dla wszystkich gości tort. Festiwal zwieńczyły występy Teatru Młodych z przepięknym widowiskiem tanecznym oraz zespołu *DownTown Brass*. Muzyczne połączenie nowoczesności i tradycji zaprezentowane przez muzyków z Gdańska przypadło do gustu gościom Festiwalu Nalewki Kaszubskiej. Festiwal Nalewki Kaszubskiej uzyskał wsparcie Burmistrz Kartuz, Hotelu pod Orłem i Bemol Cafe.

18 września, w ramach Europejskich Dni Dziedzictwa, odbył się w kartuskim muzeum wernisaż wystawy pt. „Na szkle malowane" Alicji Serkowskiej. Na ekspozycji zaprezentowano kilkanaście prac artystki o tematyce sakralnej, w tym wyjątkowe dzieła: tryptyk oraz dwa różańce z obrazami przedstawiającymi jego tajemnice chwalebną i bolesną. W tym dniu odbył się także koncert Pawła Ruszkowskiego. Z wdziękiem i elegancją artysta zaprosił zebranych gości do

wędrówki muzycznej czerpiącej z zasobów kultury Kaszub, ale też Polski, Europy i świata. W roku sprawozdawczym muzeum przygotowało półkolonie zimowe (online) i letnie dla dzieci, a także zajęcia rękodzielnicze. Nadmienić także należy, że już stałym punktem w ofercie muzeum są zajęcia i kursy dla dzieci, młodzieży i dorosłych. W półroczu sprawozdawczym odbyły się spotkania związane z nauką filcowania na mokro. W czasie ferii letnich uczestnicy zajęć przygotowywali łapacze snów, tworzyli z gliny naczynia i ozdoby, malowali na koszulkach, stemplowali tkaniny.

21 października odbyło się w Muzeum Kaszubskim w Kartuzach spotkanie z Małgorzatą Wątor autorką tomu poezji *Namienionô / Przeznaczona*. Rozmowę z poetką przeprowadziła Dorota Wilczewska.

10 listopada 2021 roku odbył się wernisaż prac kartuskiego artysty Rajmunda Grzeni. Wystawa twórczości Rajmunda Grzeni była pierwszą wystawą dorobku artysty. Organizatorami wydarzenia byli: Urząd Miejski w Kartuzach, Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna w Kartuzach, Muzeum Kaszubskie, Klub Literatury i Sztuki im. Grażyny Pytki oraz syn artysty Robert.

Działalność wydawnicza

W roku sprawozdawczym został wydany drukiem 5. numer „Kartuskich Zeszytów Muzealnych". Na stronie internetowej muzeum publikowano także cykliczne artykuły o zbiorach muzeum i artykuły popularnonaukowe. W maju odbyła się online promocja 5. numeru „Kartuskich Zeszytów Muzealnych". Film dostępny jest na kanale Youtube. W 2021 roku ukazały się *Brawãdë bracy Grimm – Baśnie Braci Grimm* tłumaczone na język kaszubski w przekładzie Ireny Hirszowej. Zadanie zrealizowano dzięki dotacji Gminy Kartuzy.

30 września 2021 roku w Muzeum Kaszubskim w Kartuzach odbyła się promocja najnowszej publikacji Instytutu Kaszubskiego pt. *Gniazda gryfa. Słownik kaszubskich symboli, pamięci i tradycji kultury*. Rozmowę z prof. Cezarym Obracht-Prondzyńskim (redaktorem i współautorem) oraz dr. Tomaszem Rembalskim (współautorem) poprowadziła Barbara Kąkol. Organizatorem promocji był Instytut

kaszubski, kartuski oddział Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskeigo i Muzeum Kaszubskie w Kartuzach. W 2021 roku zrealizowano kilka projektów tematycznych: między innymi nauka szydełkowania pt. „Hekluj w muzeum" oraz manualne warsztaty z tworzenia ludowych dekoracji – pająków pt. „Magia koloru".

W roku sprawozdawczym Muzeum Kaszubskie w Kartuzach oraz Barbara Kąkol – dyrektor muzeum – zostali laureatami Medali Lecha Bądkowskiego. Uroczystość odsłonięcia w Kartuzach tablicy upamiętniającej działacza kaszubskiego Wojciecha Kiedrowskiego stała się okazją do wręczenia tej zaszczytnej nagrody. Medal jest przyznawany od 2009 roku za wybitne osiągnięcia w działalności na niwie kaszubsko-pomorskiej. Kapitułę stanowi Zarząd Gdańskiego Oddziału ZKP. Uhonorowani medalami w tym roku zostali: Jan Wyrowiński – prezes Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, Muzeum Kaszubskie w Kartuzach, Barbara Kąkol – dyrektor tej placówki oraz Renata Kiedrowska – wdowa po Wojciechu Kiedrowskim.

Muzeum każdego roku jest odwiedzane przez turystów z kraju i z zagranicy. Niestety, z powodu pandemii covid-19 muzeum w pierwszym kwartale było wyłączone ze zwiedzania. Wystawy na żywo zostały otwarte dopiero 4 maja. Ponadto w okresie od marca do czerwca nie było możliwe grupowe zwiedzanie, wszystkie zaplanowane wycieczki szkolne i biur podróży odwołały swój przyjazd. Sytuacja ta wpłynęła w znacznej mierze na frekwencję w tych miesiącach. Jednakże okres wakacji przyniósł nieoczekiwany zwrot akcji. Przybyło mnóstwo gości z kraju i zagranicy.

Z kwestii gospodarczych: wykonano wymianę nawierzchni chodników na płytki betonowe, płukane o fakturze żwirowej, niebarwione oraz ułożono nawierzchnię z kostki granitowej na terenie Muzeum Kaszubskiego im. Franciszka Tredera w Kartuzach. Ponadto zakupiono gabloty do holu muzeum celem wyeksponowania pamiątek po Franciszku Trederze. Muzeum gościło Telewizję Polską (program *Zakochaj się w Polsce*), TVP 3 Gdańsk realizującą program *Tedë Jo* i *Farwë Kaszëb*.

KARTUSKIE ZESZYTY MUZEALNE
NR 6/2021
KRONIKA

Maria Wanke

SPRAWOZDANIE TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ MUZEUM KASZUBSKIEGO IM. F. BRZEZIŃSKIEGO W KARTUZACH ZA 2021 ROK

W 2021 roku Towarzystwo Przyjaciół Muzeum Kaszubskiego wspierało działania Muzeum Kaszubskiego w Kartuzach. Było koordynatorem wielu inicjatyw związanych z organizacją czasu wolnego dzieciom i młodzieży.

W roku sprawozdawczym stowarzyszenie zgłosiło, w ramach Kartuskich Inicjatyw Mieszkańców, zadanie pn. „Montaż instalacji składającej się z instrumentów kaszubskich". W ramach zadania zorganizowano z członkami stowarzyszenia oraz lokalnymi twórcami spotkania, których celem było zaprojektowanie elementów małej architektury parkowej, uwzględniającej elementy kaszubskie. W trakcie warsztatów, które odbyły się w Muzeum Kaszubskim w Kartuzach, stworzono projekt instalacji, w który wkomponowano tradycyjne, regionalne instrumenty muzyczne. W instalacji pojawiły się: rzępiel, burczybas, rynczok, akordeon, diabelskie skrzypce i bazuna. Pomysłodawcą zadania było Towarzystwo Przyjaciół Muzeum Kaszubskiego im. F. Brzezińskiego w Kartuzach. Przedsięwzięcie zrealizowano ze środków unijnych pozyskanych na Kompleksową Rewitalizację Centrum Kartuz. Dzięki temu przy kartuskiej szkole muzycznej stoją lampy, które mają zachęcić młodych ludzi do gry na tradycyjnych instrumentach ludowych.

Ponadto Towarzystwo było współorganizatorem manualnych warsztatów z tworzenia ludowych dekoracji – pająków pt. „Magia koloru". Ludowe dekoracje zwane pająkami wykonywane były z żytniej słomy i papieru. Począwszy od końca XIX wieku stały się popularną dekoracją wiejskich chat. Zawieszone w głównej izbie pod sufitem na okres Bożego Narodzenia, miały przynieść urodzaj i szczęście w Nowym Roku. Przyozdabiano nimi wnętrza również na Wielkanoc bądź inne uroczystości rodzinne.

Podczas czterech warsztatów każdy z uczestników wykonał poszczególne elementy kolorowego pająka z żytniej słomy i kolorowych bibuł.

Il. 1. Uczniowie Szkoły Podstawowej nr 2 w Kartuzach podczas zwiedzania wystawy pt. „Kaszubska współczesność z korzeni wyrasta" z elementami rozszerzonej rzeczywistości. Fot. Barbara Kąkol

Il. 2. Zwiedzanie wystawy z elementami AR w Muzeum Kaszubskim przez Krzysia. Fot. Barbara Kąkol

Il. 3. Odsłonięcie na budynku Muzeum Kaszubskiego tablicy pamiątkowej poświęconej Wojciechowi Kiedrowskiemu (1937–2011), na zdj. od lewej Kazimierz Formela prezes kartuskiego oddziału ZKP, Jerzy Nacel wiceprezes gdańskiego oddziału ZKP, Renata Kiedrowska wdowa po Wojciechu Kierdowskim, Mieczysław Grzegorz Gołuński burmistrz Kartuz, Jan Wyrowiński prezes Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Fot. Ryszard Mielewczyk

Il. 4. Robert Grzenia podczas otwarcia wystawy prac swojego ojca Rajmunda Grzeni w Muzeum Kaszubskim w Kartuzach. Wystawa twórczości Rajmunda Grzeni była pierwszą wystawą dorobku artysty. Organizatorami wydarzenia byli: Urząd Miejski w Kartuzach, Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna w Kartuzach, Muzeum Kaszubskie, Klub Literatury i Sztuki im. Grażyny Pytki oraz syn artysty Robert. Fot. Ryszard Mielewczyk

Il. 5. Piotr Smoliński, jeden z inicjatorów zorganizowania wystawy prac zapomnianego artysty z Kartuz Rajmunda Grzeni. Fot. Ryszard Mielewczyk

Il. 6. Otwarcie wystawy linorytu Joli Wolskiej pt. „Demonologia w mitach Kaszub”. Fot. Ryszard Mielewczyk

Il. 7. Goście na wernisażu twórczości Rajunda Grzeni. Słowo o twórczości artysty wygłosili: dr hab. Adriana Majdzińska i dr Czesław Podleśny. Fot. Ryszard Mielewczyk

Il. 8. Wernisaż prac Rajmunda Grzeni w Muzeum Kaszubskim w Kartuzach. Fot. Ryszard Mielewczyk

Il. 9. Na zdj. Sylwia Biankowska wiceburmistrz Kartuz i Mieczysław Grzegorz Gołuński burmistrz Kartuz. Fot. Ryszard Mielewczyk

Il. 10. Wystawa malarstwa Rajmunda Grzeni w Muzeum Kaszubskim w Kartuzach. Fot. Ryszard Mielewczyk

Il. 11. Promocja książki pt. *Gniazda gryfa. Słownik kaszubskich symboli, pamięci i tradycji kultury* w Muzeum Kaszubskim w Kartuzach. Na zdj. prof. Cezary Obracht-Prondzyński (redaktor i współautor) oraz dr. Tomasz Rembalski (współautor).
Fot. Ryszard Mielewczyk

Il. 12. Goście muzeum podczas promocji leksykonu *Gniazdo gryfa*. Fot. Ryszard Mielewczyk

Il. 13. Festiwal Nalewki Kaszubskiej w Muzeum Kaszubskim w Kartuzach, na zdj. wolontariusze: Faustyna i Patryk. Fot. Barbara Konkol

Il. 14. Odsłonięcie tablicy na budynku Urzędu Pocztowego w Kartuzach poświęconej Stanisławowi Estkowskiemu przedwojennemu naczelnikowi Poczty Polskiej w Kartuzach, zamordowanego w niemieckim obozie w Borowie w 1939 roku. Na zdj. Barbara Kąkol dyrektor Muzeum Kaszubskiego w Kartuzach, Wojciech Jaworowski wiceburmistrz Kartuz i prof. Jan Szczypka autor projektu i wykonawca tablicy. Fot. Piotr Smoliński

Il. 15. Europejskie Dni Dziedzictwa w Muzeum Kaszubskim w Kartuzach. Tegoroczna edycja odbyła się pod hasłem Smaki Dziedzictwa. Na zdj. panie, które przygotowały potrawy do degustacji. Fot. Sylwia Wilma

Il. 16. Koncert Pawła Ruszkowskiego w Muzeum Kaszubskim w Kartuzach. Fot. Barbara Konkol

Il. 17. Wernisaż pt. „Na szkle malowane" Alicji Serkowskiej w Muzeum Kaszubskim w Kartuzach. Fot. Barbara Konkol

Il. 18. Degustacja potraw kaszubskich w Muzeum Kaszubskim w Kartuzach.
Fot. Sylwia Wilma

Il. 19. Święto Flagi Kaszubskiej, w związku z tym świętem panie z Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Kaszubskiego i Klubu Robótka prezentują własnoręcznie wykonaną flagę na szydełku

Il. 20. Artystka Alicja Serkowska w otoczeniu rodziny podczas wernisażu pt. „Na szkle malowane” w Muzeum Kaszubskim w Kartuzach.
Fot. Barbara Konkol

Il. 21. Festiwal Nalewki Kaszubskiej w Muzeum Kaszubskim w Kartuzach – występ Teatru Młodych. Fot. Barbara Konkol

Il. 22. Zabawy podwórkowe podczas półkolonii letnich w Muzeum Kaszubskim w Kartuzach. Fot. Barbara Konkol

Il. 23. Klasa 8 a z SP 2 w Kartuzach podczas zwiedzania Muzeum Kaszubskiego w Kartuzach. Fot. Barbara Kąkol

Il. 24. Klasa 8 a z SP 2 w Kartuzach podczas zwiedzania Muzeum Kaszubskiego w Kartuzach. Fot. Barbara Kąkol

Il. 25. Uczestnicy spotkania *Ùczbë ò slépnicë* zorganizowanego w Muzeum Kaszubskim w Kartuzach. Fot. Sylwia Gruchała

Il. 26–27. Konkurs *Sëknia w twòjich rakach* i prezentacja nagrodzonych sukienek podczas Nocy Muzeów w Muzeum Kaszubskim w Kartuzach. Fot. Ryszard Mielewczyk

Il. 28. Otwarcie wystawy pt. „Kadry z życia Wojciecha Kiedrowskiego” w Muzeum Kaszubskim w Kartuzach. Fot. Ryszard Mielewczyk

Il. 29. Odsłonięcie na budynku Muzeum Kaszubskiego tablicy pamiątkowej poświęconej Wojciechowi Kiedrowskiemu (1937–2011) – kaszubskiemu redaktorowi, wydawcy i działaczowi – twórcy Oficyny CZEC.
Fot. Ryszard Mielewczyk